

WILCZE PLEMIE

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

Włodzimierza Zagórskiego

— — — — —
INSTYTUT
BADAŃ LINGWISTYKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

WARSZAWA.

Nakładem księgarni Teodora Paprockiego i S-ki.

1885.

<http://rcin.org.pl>



Дозволено Цензурою
Варшава, 23 Мая 1885 года.

W Drukarni J. Sikorskiego. Warecka Nr. 6.

<http://769.org.pl>

SUROWY MATERIAŁ.

ROZDZIAŁ I,

w którym autor będzie miał zaszczyt przedstawić czytelnikowi pana Bronisława Żymirskiego, bohatera niniejszej powieści.

Szerokim gościńcem, prowadzącym ze Lwowa do Brodów, pędziły pewnego mroźnego styczniowego poranku zgrabne miejskie sanki, zaprzężone w parę dziarskich koni.

Na koźle siedział mężczyzna w sute otulony niedźwiedzie. Z pod zasuniętej na czoło baraniej krymki wyglądały tylko śronem pokryte brwi i nastrzępione wąsy, których barwy pod lodowemi soplami niesposób było rozpoznać. W sankach rozsiadł się drugi mężczyzna, również w baraniej, lecz mniej wykwintej krymce, i w kudłatym baranim kożuchu, który pokrywało grube popielate sukro. Nie było więc wątpliwości, że kawalerskim galicyjskim obyczajem pan sprawuje służbę woźnicy,—podczas gdy woźnica, rozsiadłszy się w wygodnem siedzeniu, pańskiej zażywa wygody.

Dzień był mroźny. Słońce blade i, jak gdyby chore, stało już wysoko, haftując brylantami całun śnieżny, rozpostarty na szerokiej równinie, i zabarwiając widmem tęczy parę, unoszącą się z nozdrzy parskających rumaków. Gdzieś na tle białym śniegu rysowały się szarym konturem gałęzie krzaków, gęstą pokrytych okiścią. Hen! daleko w sianej mgle widniały lasy, do których prowadziły pokluczone tropy zajęcze. Na pagórkach tu i owdzie myszkowały lisy,—przerwywając taniec swój i przystając z nieufnie podniesioną głową na dźwięk zbliżających się dzwonek, których umiejętnie dobrane głosy, rzucały w bezechową polną ciszę płaczliwe swe, minorowe akordy. Żerujące na gościńcu wrony zrywały się również przed najeżdżającymi sankami i, podleciawszy ciężkiem skrzydłem, obsiadały przydrożne drzewa i krzaki.

Atoli próżnym był popłoch i wron i lisów—podróźni bowiem nie żywili dla nich tym razem wrogiego zamiaru. Rozparty w saniach woźnica drzemał sobie w najlepsze, odsypiając nocną w mieście hulankę, a roztwierając oczy wtedy jeno, gdy go w górę podrzuciły śmigające rączym pędem sanie, zapadłszy w wybój, lub też uderzywszy się o śniegiem przyprószony kamień przydrożny. Pełniący

służbę woźnicy pan, patrzył przed siebie osowiałym wzrokiem, nieracząc nawet spojrzeć na pokluczone zajęcze tropy, ani też na wyzywającą igraszkę myszkujących lisów. Widocznie gniotło mu duszę ciężkie jakieś brzemie, bo stercząca z siedzenia dubeltówka, aczkolwiek chwilowo w pokrowiec zawinięta, świadczyła, że właściciel jej należy do rzędu tych szlachciców, którzy się nie zwykli ruszać bez broni, a korzystają z każdej zdarzającej się sposobności, by z fuzyjki swej ku własnej zabawie, a zwierza zgubie, stosowny zrobić użytek.

W istocie niewesołem było położenie pana Bronisława Żymirskiego, tak się bowiem nazywał siedzący na koźle mężczyzna. Nieukończywszy szkół, niezdobywszy żadnych wiadomości, któreby mu mogły zapewnić kawałek chleba, wisiał pan Bronisław przy rodzicach, spędzając czas na polowaniach, jarmarkach i pokątnych miłostkach,—niezajmując się żadną poważniejszą pracą, i budując całe swe nadzieje na bogatym ożenku.

Pan Bronisław był jednym z niedobitków dawnej galicyjskiej „tężyzny“. Na dwadzieścia mil naokoło—niebyło nadeń śmielszego jeźdźca i zawołańszego myśliwego. Dosiadał najdzikszych koni, powoził czwórka *arte*, palił z czworokonnego bata, jak z pistoleta,

w lot strzelał jaskółki, grał znakomicie w wista i preferansa, pił, jak bernardyn, tańczył ochoczo mazura i umiał na sąsiedzkich wieczorkach, imieninach i t. d. wybornie prowadzić kotyliona. Dodajmy do tego oną czerstwość i zdrowie, które wedle wiejskich pojęć pierwszym są piękności warunkiem, tudzież oną rubaszność układu, bez której trudno sobie wyobrazić „przyzwoitego“ galicyjskiego szlachcica, a zrozumiemy, że bohater nasz niepospolitem się u okolicznej płci pięknej cieszył powodzeniem.

Szalały też za pięknym Brońciem zaciekawione głośnemi jego romansami mężatki,—marzyły o bałamucie panny, podkochując się w nim skrycie. Atoli mimo tych powodzeń nie mógł młody Żymirski sięgnąć po rękę żadnej z licznych panien na wydaniu. Praktyczni bowiem ojcowie żądali dla córek swych lepszej rękojmi szczęścia nad tę, którą dawały szerokie plecy, rumiane policzki, zawadyacko do góry podkręcony wąsik, zręczność do strzelby i konia, tudzież ochoczy hołubiec w mazurze, a bohater nasz opierał pomimo swych dwudziestu sześciu lat wyłącznie na tych przymiotach i zręcznościach, całą swoją rację bytu w społeczeństwie.

Było w tem niemało winy pana Bronisława; było także i trochę winy jego rodziców,

a mianowicie ojca, który, dochowawszy się tak pięknie wyrosniętego darmożjada, powinien był koniecznie dążyć do tego, ażeby synowi stworzyć po za jarmarkami, polowaniami i garderobianemi romansami jakieś zatrudnienie, jakiś szlachecki proceder, legitymujący go wobec wymagań świata. Rozmyślano też o tem i rozprawiano długo i szeroko w Wilkowie,—tak się nazywał majątek rodziców pana Bronisława. Były wnioski, ażeby naszemu bohaterowi wydzielić z jakie sto morgów ziemi pod gospodarstwo, to znów aby mu oddać las i znajdujące się w nim fabryki pod zarząd samoistny, lub też wypuścić w dzierżawę cały majątek. Mianowicie popierała myśl tę pani Żymirska, wielce w gatku swoim zakochana i miłująca go bardziej, aniżeli resztę swych starszych i młodszych dzieci. Atoli wszystkie te piękne zamysły rozbijały się o upór starego Żymirskiego, człowieka dawniejszej daty, samolubnego a despotycznego, który ani słyszeć nie chciał o podobnem zarządzeniu, twierdząc, może nie bez słuszności, że woli, ażeby dziecko było na jego łasce, aniżeli żeby rodzice mieli zostawać na łasce dziecięcia.

— *Exspecta cadaver...* Czekaj na mojego trupa!—mawiał cynicznie stary Żymirski, zamykając słowy temi zwycięsko wszelką dyskusję.

Niebyło więc dla pana Bronisława dążącego do żeniaczki, a przez żeniaczkę do posagu i pozycyi, innej rady, — tylko szukać żony we Lwowie, gdzie mu piękne jego rodowe nazwisko i koligacya z licznemi, do miejscowej śmietanki należącemi rodami, otwierały drzwi do stołecznych salonów, a psuć nie mogła szyków znajomość osobistej jego nicości. Pani Żymirska nie wątpiła o tem, że Bronćcio los zrobi we Lwowie, wprowadzony w świat przez stryja Józefa, bogatego podolskiego szlachcica, spędzającego zimę co roku z młodą swą żonką w stolicy, a prowadzącego dom otwarty i życie nader wystawne. Liczyła prócz tego na osobisie zalety synalka, za którym „przepadać będą wszystkie bogate panny,” oraz na protekcyę Anusi, Kostusi, Zuzi i Madzi, — tak się nazywały arystokratyczne dewotki, wodzące rej w wielkim lwowskim świecie, a będące najlepszymi jej, z panięńskich czasów jeszcze, przyjaciółkami.

Ażeby więc umożliwić synowi tę po złote runo wyprawę, wymogła pani Żymirska na mężu swym ofiarę pięciuset guldenów, których dostarczył arendarz na rachunek propinacyjnego czynszu. Do tej sumy dołączyła jeszcze trzysta reńskich, pobranych za nabiał od pachciarza, oraz dwadzieścia dukatów w złocie, zarobionych w kobiecem gospodarstwie. Za-

opatrzywszy syna jeszcze w nową, wykwintną bieliznę, tudzież w rozliczne dla światowego kawalera niezbędne, w Brodach zakupione drobiazgi, i wręczywszy mu zebrane fundusze, wyprawiła go pocziwa staruszka w tę, tak świetnymi nadziejami wysłaną drogę, żegnając go łzami i macierzyńskim błogosławieństwem.

— A pamiętaj przywieźć mi synową, Bronciu!—szeptała wzruszona.—Spuszczam się na twój gust i roztropność... Wiem, że nam wstydu nie zrobisz... Niezapominaj, że się nazywasz Żymirski, i że matka twoja z domu Balicka... Baliccy—to karmazyni, a Żymirscy także stara szlachta... Możesz więc mierzyć wysoko... Pisałem do Anusi i Kostusi o tobie, prosząc je, aby się tobą zajęły... Pamiętaj pójść do babci generałowej... Stara, nudna i głucha, ale ma wielką w świecie pozycję!... Musisz się zwijać, abyś prędko odnowił te znajomości... Karnawał się wkrótce zaczyna, a pamiętaj, że tyle twego, co zdobędziesz w tym karnawale... Wiesz, ile mnie to kosztowało, nim zdołałam wymódlzić na ojcu te pięćset guldów... Niema wątpliwości, że więcej nie da... Śpiesz się Bronieczku złoty... A pamiętaj mi pisać, skoro ci się coś pewnego zdarzy!

Niestety, nie usłuchał dobrych rad swej matki nasz bohater,—czyli raczej usłuchał je

nadto dobrze. Dzięki protekcyi stryja i starych arystokratycznych dewotek otworzono mu drzwi wszystkich stołecznych salonów, na których gładkich parkietach parafianin nasz nie znalazł jednak tak wielkiego powodzenia, jakie zwykł był znajdować w sąsiednich szlacheckich dworkach. Na wędkę jego ochoczych hołubców, zabójczych spojrzeń, i zawadyacko podkręconego wąsika nie dała się uławić żadna z wybrednych Lwowianek. Rubaszny układ jego i dziarckość buńczuczna wyróżniały go zbyt indywidualnie, i były przeto niemiłym dysonansom w tych kołach, dostrojonych do kamertonu konwencyjonalnego szyku i ogłady. Ba! nawet i czerstwe zdrowie jego niekorzystnie, i po parafiańsku odbijało od swojego anemicznego otoczenia. Jednem słowem brakło mu szyku; — nie znał wymagań dobrego tonu, którego szczytem umieć się nudzić z dystynkcyą i powabem.

Mimo to, porwany wirem karnawałowych zabaw, dawał się bohater nasz unosić jego fali, froterując na zabój posadzki stołecznych salonów, i pijąc pełnym haustem to bujne życie, a niepomnąc wcale o celu, dla którego rzucił się w jego odmet ruchliwy. Odurzająca ta atmosfera, ten zapach wielkoświatowy, który znał dotychczas jeno z opowiadania. Nęciły go te sztuczne kwiatki, których nico-

ści poznać nie miał czasu jeszcze. Zdawało mu się, że poza tym blichтром i bielidłem jest coś, co istotnie godnem jest pożądania. Więc też oszołomiony wyciągał ręce ku temu nieznanemu dobru, sądząc, że je posiadał już w części, a ufny, że je prędzej czy później w zupełności posiędzie.

Tymczasem, korzystając z protekcji stryja i licznych matki swej przyjaciółek, nawiązywał stosunki ze złotą stołeczną młodzieżą, naśladował jej sposób życia i dostrajał się do jej kamertonu. Zamieszkał w hotelu, zapisał się do kasyna, wolne od wizyt i rautów chwile spędzał w teatrze, odrabiając najsumienniejszą pańszczyznę, na którą skazani są ludzie wielkiego świata. Wystawne to życie kosztowało go wiele; — pieniądze bowiem płynęły jak woda, jakkolwiek zrazu wynagradzało mu ubytek, szczęście przy zielonym stoliku. Aż dnia pewnego, zaszedłszy do kasyna po teatrze, spotkał w jadalnej sali jednego ze swych nowych znajomych, bogatego młodzieńca, którego szyk, i wyrobione w świecie stosunki, imponowały mu niezmiernie. Zjadłszy razem kolację, i wypiwszy butelkę szampana, przeszli do przyległego pokoju, z kąd gwar licznych głosów doleciał ich ucha, ażeby tam chwil jeszcze kilka spędzić razem, przypatrując się grającym w karty znajomym.

Zatrzymali się koło stolika, przy którym największe graczyw zebrało się grono. Grało bakarata, a bank trzymał bogaty Kocubejowicz, grając nader nieszczęśliwie, lecz zarazem i uparcie. Co chwila, rozciągali poniterzy leżące przed nimi banknoty. Mimo to nie wypuszczał uparty bankier kart ze swej ręki, uzupełniając co chwila, z grubego pugilaresu niktające zapasy. Bohater nasz nie miał zamiaru grać tego wieczora, atoli widok pieniędzy, przelatujących z taką szybkością z ręki do ręki, a ze stałem dla poniterów szczęściem, obudził chciwość, drzemającą w jego duszy. Chwilę jakąś walczył ze sobą, wpatrując się w migające banknoty. Wreszcie nie mogąc się oprzeć pokusie, dobył z pugilaresu kilkadziesiąt guldenów, i skromnie z początku, począł obstawiać karty szczęśliwszych poniterów.

Powodziło mu się zrazu wybornie,—w przeciągu niespełna pół godziny ujrzał się w posiadaniu kilkuset guldenów. Wtedy ośmielony usiadł na miejscu ustępującego ponitera, i począł grać na własną kartę. Aliści w tej chwili odwróciło się szczęście, niesprzyjające dotychczas bankierowi. Piątki, dziesiątki i setki poczęły znowu podróżować w odwrotnym kierunku, i bohater nasz, zapalając się coraz bardziej, przegrał nietylko swą wygra-

ną, ale i cały zapas pieniężny, który miał przy sobie,—to jest, z wyjątkiem pozostawionych w walizce dukatów, cały swój fundusik. Powiedzmy tu prędko ku jego pochwałce, że, zgrawszy się, nie chciał korzystać z namowy uprzejmego bankiera, i nie dał się nakłonić do grania „na słowo.“

Kłeska ta zniweczyła od razu widoki, dla których urzeczywistnienia przybył p. Bronisław do Lwowa. Kilka dni zabawił jeszcze w mieście, szukając pieniędzy, ale daremnie. Lichwiarze, których mu sprowadzali faktorzy, żądali rękojmi; — tych zaś nie mógł dać nasz bohater. Zmieniwszy podarowane sobie przez matkę dukaty, zapłacił hotelowy rachunek, i goły jak turecki święty, z ostatnią piątką w kieszeni, opuścił jeszcze przed końcem karnawału miasto, do którego kilka tygodni temu zawitał, tak piękne rojąc nadzieje.

Nic więc dziwnego, że rozbitek nasz powracał z wyprawy swojej smutny i skwaszony. Czekął go w domu ta sama zależność od ojca i te same nudy, urozmaicone tylko polowaniem i garderobianami romansami, które obecnie straciły dlań dawną swą pojętą. Nie nęciły go skromne wieczorki w sąsiedzkich dworcach,—prostota ich utraciła wszelki urok w jego oczach, przywykłych do wykwintności sa-

lonów stolicy. Nie uśmiechały mu się nawet jarmarki, za któremi niegdyś przepadał; wiedział, że nie będzie mógł na nich tej samej, co niegdyś odegrywać roli, gdyż po tak znacznej ofierze, odmówi mu bezwątpienia ojciec większych pieniężnych zasiłków. Z goryczą porównywał tryb życia, do którego powraca, ze wspaniałością żywota stołecznej młodzieży. W uszach mu brzmiały dźwięki strausowskich walców i wystrzały szampanowych korków;— w oczach migały mu blaski żyrandoli i zalotne kobiet spojrzenia;— powonienie jego pieścił zapach esbukietu i trufli;—niestety, wszystko to, wszystko stracone!

Powracał do klusek ze słoniną, do gospońskich nalewek, do skrzypiec i cymbałek kapeli starego Jaukla, — do Kasiek i Marysiek, smarujących masłem swoje warkocze. Zdawało mu się, że wyniesiony czarem jakimś w siódme niebo, zapada się obecnie w przepaść czarną, pełną trosk, a bez nadziei. Przypominał sobie, że go Muszka Zawirska jednego i tego samego wieczora dwa razy wybrała do tańca, — że mu Kola Borzycka najpiękniejszy do fraka przypięła order kotylionowy, uśmiechając się przytem znacząco, i że podczas kolacyi u jenerałowej, Belka Niedrzycka wypijała za jego zdrowie pół kieliszka szampana. Gdyby mógł był pozostać we

Lwowie do końca karnawału, — kto wie? — byłoby może przyszło do czegoś poważniejszego. Wszystkie te piękne nadzieje, zniweczyły karty! — Pograżony w tych czarnych myślach jechał nasz bohater smutny i znękany, ani zważając na zajęcze tropy i myszkowanie lisów, którym nie byłby darował życia w innym wypadku.

Tymczasem śmigwały sanie po zmarzniętym skrzypiącym śniegu, a coraz gęstsza para, unosząca się nad pędzącymi końmi, świadczyła, że nadeszła już pora dania im wypoczynku i posiłku. Pan Bronisław wielce dbałym był o swój kawalerski dobytek—i, jakkolwiek słyszał z tego, że nie żałuje koni, zażywając ich do szybkiej jazdy, — jednakże pamiętał zawsze o ich wygodzie. Niemniej wyczerpały już jego siły mróz, szybka jazda i zmęczenie. Przypominał mu się głód, którego zaspokoić zaniedbał przed wyjazdem;—więc, jakkolwiek niewiele ujechał drogi, a do domu było jeszcze dość daleko, postanowił do najbliższej zajechać karczmy, aby tam popaść konie i pokrzepić wątłejące siły.

Myśl ta oderwała go chwilowo od smutnych jego marzeń,—była to bowiem natura, przede wszystkim zmysłowa, do głębszych i trwałszych wrażeń niezdolna. Zaspokojenie potrzeb ciała było tą osiǳą, około której głó-

wnie się obracały myśli naszego bohatera, a przezorność jego i zapobiegliwość myśliwska usposabiała go do przewidywania potrzeb tych, i do wyszukiwania środka odpowiedniego, ażeby mózgi im zadość uczynić w stosownem miejscu i chwili.

— Maćku!—zawołał pan Bronisław.—Kupiłeś szynki u Adama?

— Kupiłem, proszę wielmożnego pana.

— A ile?

— Funt.

— Dlaczego tak mało?

— Zabrakło pieniędzy.

— Dureń jesteś!

Maciek kiwnął głową, jakby chciał mówić: Co dzień, to samo słyszę.

— Jest cukier i herbata? — zapytał, nasz bohater po chwili.

— Jest, proszę wielmożnego pana.

— A bułki są?

— Są.

— Ile?

— Cztery.

— Tak mało?

— Zabrakło pieniędzy.

— Dureń jesteś!... Ja będę jadł, a ty się będziesz patrzył!... Nie będę się przecie z tobą dzielił czterema bułkami. Rozumiesz?

Maciek kiwnął znowu głową, jakby chciał mówić: Wiedziałem o tem już z góry.

— A szynka dobra? — badał znowu nasz podróżny.

— Dobra.

— Kosztowałaś?

— Nie... Sięgam Bogu, że nie.

— A z kądze wiesz?

— Rzeźnik powiedział.

— Dureń jesteś! — zakonkludował pan Bronisław jowialnie.

— Hm! — mruknął po chwili sam do siebie. — Szynka jest, bułki są, a jaj przecie w karczmie dostanie... Zrobię sobie jajeczniczkę z szynką i napiję się herbaty.

I obliznąwszy na myśl tę swe lodem pokryte wąsy, skreślił nasz bohater na lewo ku przydrożnej karczmie, nad której bramą widniał napis: „Dubeltówka.“

ROZDZIAŁ II.

Jako figlarny Kupido, rozmaitej broni używając, w braku strzał morderczych w kołczanie nabija niekiedy łuk swój jajecznicą.

Nazwisko Dubeltówki miała karczma ta od pobliskiej rogatki, stojącej na węźle dwóch gościńców, z których jeden prowadził, jak wiadomo, ze Lwowa do Brodów, drugi zaś tworzył w tem miejscu odnogę, wiodącą na Rohatyn i Brzeżany do Tarnopola. Jedna i ta sama rogatka zamykała we wszystkich kierunkach oba te szlaki. Było to więc miejsce dla karczmy znakomite, przystawać tu albowiem musiał każdy, ktokolwiek jechał jednym z tych gościńców. To też, licząc na to strategiczne położenie swej austeryi, której, tak czy owak, żaden z podróźnych ominąć nie może, niewielkie mieli o wygody gości staranie dziedzic i arendarz miejscowy. Odarta i brudna chyliła się „Dubeltówka“ ku upad-

kowi, zwłaszcza od czasu, jak sąsiednia kolej żelazna, łącząca Lwów z Brodami, odebrała bitemu traktowi dawne znaczenie. Gościnne pokoje obrócił arendarz na składy rozmaitego rupiecia, a jedynym przyzwoitem dla gości schroniskiem była szynkowna izba, będąca równocześnie gospodnią kuchnią, oraz przyległy alkierz, który był mieszkaniem arendarza i licznej jego rodziny.

Zarządziwszy to, co dla wygody koni było potrzebnem, rozgospodarował się nasz bohater w szynkownej izbie, z której poprzednio wypędzono kilku sąsiednich pijaków, oraz liczne kwaczące, gdaczące, gęgające i beczące zwierzęta. Poradny, jak wogóle każdy myśliwy, zabrał się następnie do przygotowania obmyślanego posiłku, rad wielce, że mu się w opustoszałej karczmie udało zdobyć nieco masła i sześć jaj, z których wedle powziętego planu zamierzał usmażyć jajecnicę. Do-
 bywszy z zawinięcia przywiezioną ze Lwowa szynkę, pokrajał ją na podróznym talerzyku w drobne kawałki, lubując się już w myślach smakiem i wonią przyrządzić się mającej potrawy. Kazał arendarce nastawić podrózny samowarek i dobył z przywiezionego puzderka szklanekę, cukier i herbatę, które wraz z bułkami ustawił na szynkownym stole, przykrytym podrózną serwetą. Potłukłszy wreszcie

jaja, zabrał się do systematycznego ich ubicia w pożyczonym od gospodyni, lecz należycie wpierw obmytym tygielku, gdy wtem ozwał się z karczemnej sieni turkot zajeżdżającego powozu.

Pan Bronisław wielce był ciekawym z natury, tym jednak razem nie dał się oderwać od swego zajęcia, poprzestając na wysłaniu gospodarza celem zasięgnięcia języka. Niebawem powrócił poseł z wiadomością.

— Aj waj!... Dwie wielgie panie, — szwargotał zakłopotany. — Dwie hrabiny szterma końmi i karety. A furman i lokaj w luberyi... Woni proszą, coby wielmożny pan im pozwolił tu do szynkowej izby, bo wielgi bardzo mróz na dworze.

— Dureń jesteś!... Czemużeś im nie powiedział, że tu miejsca niema?

— Ny, co ja mu miał gadacz?... *Herste*, czy ja wiedział, że się wielmożny pan będzie gniewacz?... Takie wielgie panie!

— Głupiś żydzie! Przecież się im nie ustąpię na mróz; razem z niemi także tu siedzieć nie mogę..

— Aj waj! Takie wielgie panie i w luberyi! Ny, to niech wielmożny pan słucha... Wone tylo przejdą tedy; ja ich zaprowadzę do alkierza.

— Osioł jesteś!... Miałbym ich przepusz-

czać przez mój pokój, zwłaszcza teraz kiedy smażyć?...

— Ny, co jest, że pan smaży?... W one przecież wiedzą, co wielmożny pan nie kucharz, tylo wielmożny pan!

— Dureń jesteś! — odparł z gniewem pan Bronisław, w którym się odezwała parafiańska żyłka.—Ja nie chcę, żeby one wiedziały, że smażyć.

— Ny co jest? Niech się wielmożny pan z plecami odwróci.

— Oszalał!

— Albo ja wielmożnego pana zasłonę z parawanem.. Dalibóg mam taki śliczny parawan!... *Ryfke bring den Parawan heran!*—Wielmożny pan sam zobaczy co to za parawan, tss, tss, tss!

— Błazen jesteś, — fuknął pan Bronisław, który przyszedłszy do rozwagi, pokonał narzeczcie swój fałszywy wstyd parafiański.—Ja bym się miał chować za parawan przed temi babami?... Oszalałeś, czy co?

— Ny, tak co mam zrobicz?

— Ruszaj do tych pań, i powiedz im, że proszę... Djabli mi nadali te baby, — mruzczał sam do siebie zagniewany.—W istocie nie mam innego wyjścia; już i tak niegrzecznie, zem je tak długo wytrzymał na mroziel... Gdyby choć przynajmniej ładne i młode, ale

gdzie tam! Z pewnością jakieś stare dewotki... Tam do diabła! Żyd mówił, że przyjechały karetą i czterema końmi. Może to ktoś ze znajomych, a ja tutaj smażę jajecznicę!... Ha, no! stało się!... Dziej się wola nieba!... Nie porzucę przecież jajecznicy, boby mi się popsuka.

To rzekłszy, zabrał się znowu do ubijania jaj, których nie zaniedbał poprzednio posolić systematycznie. Wtem otworzyły się drzwi szynkowej gospody, i weszły dwie kobiety zawinięte w podróżne futra, chustki i woalki, tak że niemożna było rozeznaczyć ani wieku, ani rysów ich twarzy. Bohater nasz spojrzął na nie ciekawie, lecz przekonawszy się, że przybyłe nie są mu znane, nie dał sobie przerwac zajęcia. Poprzestał tylko na powitalnem skinieniu głowy, i mieszał dalej łyżeczką jaja w tygielku.

— *Ah, monsieur Żymirski! Bon jour!.. Quelle charmante rencontre!* — zawołała jedna z przybyłych, podnosząc gęstą woalkę, która przykrywała jej oczy.

Usłyszawszy swoje nazwisko, osłupiał nasz bohater. Krew mu uderzyła do głowy; rumiane policzki jego żywszym jeszcze zapłonęły rumieńcem. Trzymając w zdrewniałych rękach—tutaj tygiel z jajecznicą, a tam łyżeczkę, i przymuszając się do uprzejmego u-

śmiechu, stał zakłopotany, wpatrzywszy się wytrzeszczonymi oczyma w podróżną, której rysów twarzy nie mógł jeszcze rozpoznać.

— Jakto, pan mnie nie poznajesz? Ha, ha, ha! *c'est excellent!* — ciągnęła dalej kobieta, podając mu dłoń do powitalnego uścisku i wprowadzając tem w nowy kłopot naszego bohatera, który w pośpiechu podał jej łyżeczkę zamiast ręki.

— *Ah! ah! ah! c'est divin!* — śmiała się podróżna, spostrzegłszy zakłopotanie parafianina. — Podziwiam pańską gościnność, ha! ha! ha!... Nie poznałeś mnie pan, i witasz od razu łyżeczką... To w braku chleba i soli, nieprawdaż? ha! ha! ha!

Pan Bronisław płonął od wstydu.

— Ale muszę pana wydobyć z ambarasu... Jesteśmy *en pays de bonnes connaissances!*... Aurelia Niegodzka.

— *Ah! bon jour!* Nie poznałem pani w tym stroju.

— Prawda? zakopertowana jestem, jak mumia!... Ale bo też i mróz prawdziwie wilczy... Jadwisiu, pomóż mi się rozebrać!

Pan Bronisław poskoczył z pomocą, odstawiwszy na bok tygielek, i położywszy łyżeczkę na stole.

— Nie, nie,— zawołała śmiejąc się, podróżna.— Niech sobie pan nie przerywa zajęcia...

Widziałam, że pan coś smażył... Co pan smaży, *dites moi?*

— Jajecznice z szynką, proszę pani,— szepnął nasz bohater, coraz bardziej zakłopotany.

— Jajecznice? ha, ha, ha *c'est unique!* I pan umie smażyć jajecznice?... *Mais c'est mirabolant!*... Podziwiam pańskie talenta! ha ha ha!... Niechże pan sobie nie przerywa zajęcia, bardzo proszę!

Pan Bronisław stał jak na żarzących węglach, przeklinając w duszy myśl, która go zawiodła do tej karczmy, i naraziła na tak nieprzyjemne spotkanie. Nie lubił panny Aurelii, której zły język znanym był powszechnie, a która, — wiedział o tem dobrze — nieomieszka skorzystać z tego zdarzenia, aby wyszydzić kucharskie talenta zakłopotanego parafianina w kole swych wielkoświatowych znajomości. Raziły go ironiczne spojrzenia i uśmiechy złośliwej tej kobiety. Byłby chętnie uciekł przed niemi na koniec świata, — byłby się chętnie przed nią schował pod ziemię, niestety było to niemożliwą rzeczą! Przyciśnięty do muru, zrozumiał, że najstosowniej będzie i najroztropniej ukryć zakłopotanie, i nadrabiać śmiałością.

— Ma pani słusznosc, — odparł zatem jowialnie, — zepsułyby mi się mogła jajecznica. A mam nadzieję, że będzie wyborna, zwłaszcza

cza z tą szynką, kupioną u Adama we Lwowie... Masło już się rozpuściło; jaja są ubite i posolone... Teraz wrzucam w nie szynkę, którą pokrajałem w drobne kawałeczki... Tak!... Ach, jak to dobrze pachnie!... A teraz wszystko wrzucam do masła... Ten sposób robienia jajecznicy ja wynalazłem... Znakomity!

— Robisz mi pan oskome, panie Bronisławie. A że głodną jestem okropnie, więc i ja sobie każe zrobić jajecznicę... Panie arendarzu, proszę zrobić dla mnie i dla mojej panny taką samą jajecznicę z szynką!

— Przepraszam honorze jaśnie pani hrabiny, u nas nima szynki.

— A prawda, zapomniałam! ha, ha, ha!... To niech już będzie bez szynki, sama jajecznica; ot, tak z dziesięciu jaj... Okropnie głodna jestem.

— Jaj takż nima.

— Jakto niema?

— Było sześć, to wielmożny pan wszystko zabrał.

— A cóż można dostać?

— Mogę zarząć kurę na rosół, albo pieczenie, — rzekła brudna arendarka, mieszając się do rozmowy.

Panna Aurelia spojrzała ze wstrętem na niechlujną gospodynię. Widok jej nie mógł zachęcać do posiłku, sporządzonego jej rękami.

— Nie,—odparła, marszcząc brew z niechęcią.—Musiałabym zbyt długo czekać, a jeść mi się chce okropnie... Proszę mi zrobić herbaty, i dać kilka bułek z masłem.

— Przepraszam honorze jasnej pani hrabiny, herbaty i cukru nima, a masło zabrał wielmożny pan.

— Cóż jest?

— Jest tylko chleb razowy, śledzie i wódka... Trzymam to dla brykarzy, bo od czasu, jak pobudowali te koleje,—*geschädigt soll se werden!*—to nie zajeżdża tutaj żadne państwo, taj człowiek nima żadnej ambicye wedle traktierni.

Panna Aurelia spojrzała tęsknem okiem na tygielek, w którym pan Bronisław mieszał zawzięcie swą jajecznicę. Nasz bohater nie wydawał się jej śmiesznym w tej chwili.

— A czyjże to samowarek kipi tutaj?—spytała znowu.

— Wielmożnego pana... Wielmożny pan przywiózł także i bułki z sobą ze Lwowa.

— *Vraiment!*... Ach! jaki pan praktyczny, panie Bronisławie!—zawołała, zwracając się ku naszemu bohaterowi z wymuszonym uśmiechem.—Zazdroszczę panu tej zapobiegliwości!

Niebyło rady. Zagadniony w sposób, tak bezpośredni, musiał pan Bronisław wziąć udział w rozmowie. Wobec tego, iż się panna Au-

relia wprzód już przyznała do swego głodu, wobec stwierdzonego obecnie braku wszelkiego w karczmie odpowiedniego posiłku, niemożna było udawać głuchego. Wypadało odezwać się, a odzywając się, ofiarować pokarm zgłodniałej. Żalosem więc okiem spojrzął jeszcze raz na swą tak umiejętnie przyrządzoną jajecznicę, której zapach pieścił mu powonienie tak lubieżnie,—na kipiący samowarek,—na stojącą na stole szklanę—należące obok niej bułki, i, stłumiwszy ciężkie westchnienie, rzekł z kwaśnym uśmiechem:

— Jakżem szczęśliwy, że mogę pani być usłużnym w tej chwili... Przyjechała pani w sam czas... Jajecznica właśnie jest gotowa, a samowar kipi także... Natychmiast zrobię herbatę... Są także i lwowskie bułki... Będziecie się panie mogły posilić, a jestem przekonany, że posiłek będzie smakował... Szczęśliwy jestem prawdziwie!

— Ależ istotnie nie wiem, jak panu dziękować,—odparła panna Aurelia, uśmiechając się uprzejmie.—*Vous êtes d'une galanterie!*... Nie, naprawdę to szczęście, to łaska Boska, żem pana tu spotkała!... Musiałabym inaczej z głodu zginąć w tej obrzydliwej karczmie... A tu nagle zjawiasz się pan, tak jak *le Prince Charmant* w bajce... Ha! ha! ha! Czary prawdziwe; zupełnie tak, jak w bajce!



— Szczęście, że jajecznicą, herbata i bułki nie są bajeczką,—odparł z kwaśnym uśmiechem pan Bronisław.

— *Non, ceci est réel, heureusement très-réel!...* Ale cóż pan będziesz jadł, panie Bronisławie, bo, jak widzę, niedużo jest tej jajeczniczy.

— Ha, cóż! *A la guerre, comme à la guerre!* Słyszałem, że tu są śledzie i chleb razowy dla brykarzy... Może mi arendarz odstąpi coś z tych zasobów?

— Nie, prawdziwie! Jestem *toute bouleversée...* I, gdybym nie była tak głodną i zziębniętą, nigdybym nie przyjęła tej ofiary.

— Ależ to nie jest ofiara!—odparł pan Bronisław wyrzucając na talerz jajecznicę i wyskrobując tygielek.—I owszem to szczęście, że pani tak wczas przyjechała... Chwileczka, a byłoby już za późno, bo przyznam się, że i ja głodny jestem... Niechże pani raczy siadać... Wyborna jajecznicą... Ach, jak pabcnieli!... Moznaby nią naperfumować chustkę do nosa.

— Djabli tu nadniesli tę sekutnicę!—mruknął przez zęby, połykając ślinkę, która mu szła do gęby.

— *Magnifique! Exquise!*—wołała panna Aurelia, lubując się smakiem umiejętnie przyprawionej potrawy. Jesteś pan prawdziwym artystą... Czuję teraz dopiero całą wielkość

pańskiej ofiary... *Divine!*... Aż mi żal, że muszę coś zostawić dla Jadwisi... A jakie bułki wyborne!... To ze Lwowa, nie prawdaż?...

— Tak jest, proszę pani,—odrzekł z westchnieniem nasz bohater.

— I pan o tem wszystkiem pomyślałeś, wyjeżdżając ze Lwowa?... Podziwiam pańską praktyczność, tem bardziej, ile że sama wyjechałam z domu jak roztrzepanica, niepomyślawszy o niczem... *Que voulez vous? une demoiselle!*—dodała, mizdrząc się.—Nie jestem przyzwyczajoną do podróżowania bez opieki... Dawniej bywało, to ciocia myślała o wszystkim, a od czasu jak jestem na własnem gospodarstwie, nie nauczyłam się jeszcze niczego... Ale ty Jadwisiu, ty powinnabyś była pomyśleć o tem, aby nam kucharz upiekł na drogę kapłona, lub parę kur... No, mniejsza otol!... Prawdziwa łaska Boska, żeśmy tu pana spotkały, a ta wyborna jajecznicą jest lepsza jeszcze od pieczeni.

Bohater nasz łykał ślinkę, klnąc babę w duszy od wszystkich djabłów, a irytując się coraz bardziej, w miarę tego jak wychwalała jajecznicę, którą mu sprzątnęła z przed nosa. Zrozpaczony przywołał wreszcie gospodarza, kazał sobie podać kieliszek śmierdzącej okowity, niewymoczonego śledzia, oraz kawał razowego chleba, i zabrał się z ciężkiem west-

chnieniem do spożycia tych niewykwintnych przysmaków.

Posiliwszy się wyborną jajecznicą i rozgrzawszy ciepłą herbatą, przypatrywała mu się panna Aurelia ciekawie. W istocie niebrzydkim był ten „piękny“ Bronćcio, za którym przepadały okoliczne wiejskie szlachcianki. Czoło miał szerokie, nos, wprawdzie nie klasyczny, ale kształtny,—oczy niebieskie, fajansowe i bez wyrazu, ale ładnie oprawione, rysy twarzy pospolite, ale ze sobą harmonizujące, wreszcie policzki rumiane i czerstwem tętnące zdrowiem. Do twarzy mu było w tem strzeleckiem ubraniu, otulającym postać jego barczystą, a niekrępującem rubasznych jego wprawdzie, lecz swobodnych ruchów. Czuć w nim było mężczyznę, zahartowanego w rycerskich igraszkach, przywykłego do trudów i niewygody. Jednem słowem była to figura banalna i tuzinkowa, ale nieprzyjemnego nie robiąca wrażenia.

Panna Aurelia przypatrywała mu się z uwagą badawczem spojrzeniem znawczyni. Uczucie nasyconego głodu i ciepła wprawilo ją było w ów błogostan, jakiego doznajemy po zaspokojeniu potrzeb naszego ciała. Czuła, że jej dobrze, a poczucie to rozmarzało ją, i usposabiało jej wyobraźnię do owych snów na jawie, litych z tęsknoty i pragnienia, jakie snu-

jemy zawsze, głównie zaś w chwili zadowolenia,—pragnąc zawsze nieuchwytnego jakiegoś szczęścia, niepoprzestając nigdy na tem, co posiadamy. Wpatrywała się w pana Bronisława rozmarzona, dziwiąc się sama sobie, że, znając go od lat tylu, nie zauważyła jego fizycznych przymiotów. Nie był to ani piękny Fruś Koniecpolski, z którym przed laty tańczyła na balu w Tuileryach, ani romantyczny książę Belgiojoso, którego poznała w Rzymie, ani hrabia Brach-Munchhausen-Walgerode, który jej asystował w Wiedniu na salonach ministra, ale,—bądź, co bądź,—przystojny i dziarski mężczyzna, przytem człowiek praktyczny, zapobiegliwy i umiejący sobie radzić w każdej życia chwili.

Przed okiem jej snuła się cała jej przeszłość, sny złote, ambitne nadzieje, zawody, rozpacz! Widziała siebie dziecięciem, rosącym bez opieki, bez wychowania, narażonem częstokroć na niedostatek, na brak najkonieczniejszych potrzeb do życia,—wystawionem na obcowanie z ludźmi złego wychowania, a znoszącym ich szorstkość, i bolesne ich szyderstwa.—Były to lata ciężkiej biedy i upokorzeń bez końca, których jednakże nie czuła wtedy nawet, przyzwyczajona od dziecka do tej doli! Dnie płynęły jej bez słońca, bez ciepła, bez uśmiechów, bez pieszczot, bez dzie-

cinnej rozrywki,—zimne, szare, nudne, a tęskne i jednostajne, jak słońce!

W myśli jej przesunęły się smutne obrazy tych sierocych lat dziecięcych. Ujrzała ubogi przedmiejski dworek, gdzie je spędziła, i ojca swego, lekkomyślnego a hulaszczczego, zapominającego o niej przy kartach lub butelce, a znęcającego się nad nią, gdy zabrakło wina lub pieniędzy do grania. Widziała siebie dziewięcioletniem dziecięciem na posyłkach,—drepczącą nieraz po bruku — pomimo wiatru, deszczu i mrozu, w podartych trzewikach, w perkalikowej sukience, i wiatrem podszytym płaszczku. I widziała siebie wyczekującą w korzennym sklepie pokornie całe godziny, aż kupiec, obsłużwszy gości, raczy zwrócić na nią uwagę, — jak przyrzeczeniami, pochlebstwem i uśmiechami starała się nakłonić go, by ojcu jej nie odmówił kredytu, i jak nieraz, nieosiągnąwszy tego celu, powracała do domu smutna, wiedząc co ją czeka!

Potem rozjaśniła się dola jej sieroca. Śmierć ojca była dla niej szczęśliwym wypadkiem. Daleka bogata ciotka przygarnęła opuszczoną sierotę. Ujrzała siebie w pałacu hrabiny Porajowej, otoczoną zbytkiem i wygodą. Nie znała już niedostatku; nikt się nad nią nie znęcał, nikt z niej nie szydził, nikt

już nią nie pomiata!—Dnie płynęły jej od tej chwili jasne, słoneczne, ciepłe, a pełne uśmiechów. Przed okiem jej przesunęły się lata nauki, które pobierała wspólnie z dziećmi hrabiny,— pierwszy jej występ w wielkim świecie galicyjskiej stolicy, pierwszy hołd, złożony jej na balu przez jednego z najmłodniejszych paniczów, i rozbudzone skutkiem tego hołdu ambitne w jej umyśle marzenia!—Widziała później siebie podróżującą wraz z ciotką po Europie, i zwiedzającą główne ogniska europejskiego *fashionu*. I widziała siebie tańczącą na dworskich balach i biorącą udział w zabawach ministerjalnych i poselskich salonów,— jak rzucała w lewo i prawo zalotne spojrzenia i uśmiechy, jak się przysłuchiwała gwarowi uprzejmych grzeczności i sentymentalnych zwierzeń, łudząc się nadziejami, które się niestety nie sprawdziły.

Marząc w ten sposób i wpatrując się ciekawie w twarz swojego towarzysza, rozmawiała panna Aurelia z nim uprzejmie, wypytując go o sposób robienia jajecznicy, i poddając mu dorywcze zapytania wątek do dalszej rozmowy, ilekroć ostygła w zapale opowiadania. Nie wydarzało to się zresztą nazbyt często, i panna Aurelia nie potrzebowała się trudzić w tej mierze tak wielce,

—pan Bronisław był bowiem wielomównym z natury, jak wogóle ludzie płytkiego umysłu, a naprowadzony na temat swych kucharskich wiadomości, rad wyprowadzał na jaw całą swoją wiedzę, zadowolony wielce, że znalazł tak uważną słuchaczkę, i że się może popisać przed nią swojemi przymiotami.

Panna Aurelia słuchała go, nie słysząc wcale.—W uszach brzmiał jej tylko gwar jejgo rozmowy; — myślą snuła dalej przedzę swych marzeń. Zrobiwszy niejako bilans całego swojego żywota, i obrachunek wszystkich swych nadziei i zawodów, rozmyślała nad tem, że pan Bronisław byłby właśnie mężem, jakiego jej potrzeba.

Doszedłszy do lat trzydziestu, a niedoczekawszy się żadnego księcia ani grafa, postanowiła była nasza bohaterka przed kilku miesiącami, przyznać się otwarcie do swej pełnoletności i ująć w ręce własne zarząd mająteczku, który ciotka jej szczęśliwie ocalić zdołała z rozbicia. Dając w ten sposób niejako za wygraną polowaniu na męża w salonach wielkiego świata, osiadła tedy na wsi, w towarzystwie dalekiej krewnej, którą nazywała ciotką, a którą przy sobie trzymała dla światowych względów, aby,—bądź, co bądź,—zachować pozór jeszcze, iż się nie wyemancypowała z pod wszelkiej opieki.

Mająteczek, który pod własny zarząd wzięła, nie był wcale pańską fortuną, mógł atoli przy dobrem gospodarstwie dość znaczne przynosić dochody. Było tam około czterystu morgów pola ornego,—były łąki, rzeczka, na której można było postawić młyn o kilku kamieniach, była i propinacya, był wreszcie i las bukowy, zajmujący około sześciuset morgów przestrzeni, a względnie dobrze zaszanowany. Niebyło bowiem w majątku fabryki żadnej, a odległość kolei nie wabiła kupców na drzewo w tej leśnej zresztą okolicy. Atoli—pomimo tych rozmaitych zalet, nie przynosił majątek naszej bohaterki, która panna Aurelia szumnie „dobrami swemi“ nazywała, odpowiedniego dochodu. Wyjałowione przez dzierżawców pola dawały mało lichego plonu;—rzeczka zalewała łąki;—propinacya, to jest! dochód z karczem i walącego się młyna, śmieszne wykazywała zyski,—podczas, gdy las nie pokrywał nawet kosztów zarządu i straży. Jednem słowem, majątek potrzebował wkładów, a zarząd jego, dobrej głowy, czujnego oka i sprężystej ręki. Panna Aurelia posiadała kilka tysięcy guldenów w listach zastawnych, nie miała jednak ani wiedzy potemu, ani też odpowiedniej energii, by móżdż poprowadzić zarząd swego gospodarstwa. Wychowana w

pańskim domu i dla wielkiego świata, wiedziała tylko, że gospodarować—to znaczy trzymać rządcę, i odbierać z jego ręki uzyskane z majątku dochody, pozostawiając mu wszelki trud i kłopoty.

Objąwszy majątek pod zarząd własny, a widząc tryb życia okolicznych gospodarzy,— przysłała dopiero do odmiennego przekonania. Mimo to nie zagrzała się do pracy i pilności, niechęąc zerwać zupełnie z przeszłością. Zdawało się jej, że pracując tak jak jej sąsiedzi i sąsiadki, ubliżyłaby własnej godności. Obawiała się zestąpić z piedestału wielkoświatowej damy. Żyła więc pańskim trybem, utrzymując liczną służbę, oraz czwórkę cugowych koni i wierzchowca, na którym niekiedy wyjeżdżała w pole lub do lasu, ażeby sobie nadać pozór pilnej i sprężystej gosposi, i módz się trudem swym pochwalić w listach, pisywanych do krewnych swoich i znajomych z wielkiego świata.— W wycieczkach tych towarzyszył jej na jednym z cugowych koni chłopiec stajenny, ubrany po dżokejsku. Kobięcem gospodarstwem rządziła klucznica, męskiem ekonom, który był niegdyś lokajem, a którego „panem komisarzem“ nazywała.

Szła więc też i gospodarstwo w Olchówce,— tak się nazywała wioska panny Aurelii, —

kulawo. Wszędzie czuć było brak pańskiego oka. Dochody nie pokrywały wcale kosztów wystawnego życia, i co rok zmniejszał się żelazny kapitał naszej bohaterki. W tych warunkach był p. Bronisław dla panny Aurelii złotą partyą. Ująwszy w silne dłonie zarząd majątku, mógł przy energii swej i praktyczności, podwoić jego dochody. Bohaterka nasza znalazłaby w nim nietylko męża, ale i zbawcę,— a w każdym razie bezpłatnego rządcę dla swego majątku. Bohater nasz miał, jak wiadomo, piękne rodowe nazwisko, i tak z macierzystej jak i z ojcowskiej strony piękne koligacye, a panna Aurelia nie miała oprócz dalekiego pokrewieństwa z hrabiną Porajową, żadnej w swym rodzie ilustracyi. W każdym razie byłoby to lepiej nazywać się panią Żymirską, niż panną Niegodzką. A więc i z tego punktu widzenia przedstawiał się pan Bronisław Żymirski, jako konkurent, niezasługujący wcale na pogardzenie.

Rozpatrując się na trzeźwo w swoim położeniu, przyznawała to panna Aurelia w skrytości ducha, po cichu;— była to bowiem osoba, pełna próżności i zarozumiałości, i rzadko kiedy zdarzało jej się być szczerą, nawet wobec siebie samej.

Więc też stawał się uśmiech jej w miarę

postępu obrachunku tego coraz słodszy, i coraz aksamitniejszym jej spojrzenie. Nie przydawało to jej ani krasy, ani ponęty, bohaterka nasza bowiem nie była zbyt hojnie od natury uposażoną, a całą jej pięknoscia mogła być świeżość—kiedyś przed laty. Gorączka uciech światowych i kosmetyki zniszczyły jej świeżą niegdyś cerę, a żar tajonych namiętności i niezaspokojonych pragnień przepalił ciało jej, i wysuszył łono. Chuda, śniada, podobna była do kwiatka zwiędłego. Ręce i nogi miała zwyczajne i wcale nierasowe, lecz za to kibić kształtną, i nadzwyczaj bujne czarne włosy. Twarz jej, dosyć pospolitą, ożywiały tylko oczy malutkie i jakby świderkiem wywiercone, ale czarne i pełne złośliwego wyrazu. Ten sam wyraz złośliwy igrał około jej ust, nie obrębionych wargą, i jak gdyby jednym pociągnięciem brzytwy wyciętych. Starala się nadać uśmiechowi temu wyraz uprzejmy i dobroduszny, ale było coś fałszywego w tej dobrodusznosci, a w tej uprzejmoci coś szyderczego, co niejako przestrzegało widza, aby się miał na baczności.

Jednem słowem nosiła twarz panny Aurelii na sobie pieczęć jej duszy. A nie była to wcale dusza anielska, —o, bynajmniej! Wychowanie wygładziło może powierzchownie zbyt ostrość jej przywar, lecz nie wyprosto-

wało jej spaczonogo umysłu. Doznane w dzieciństwie upokorzenia, i przebyte w życiu późniejszym zawody, nie przyczyniły się wcale do złagodzenia wrodzonej jej złośliwości. Czuła żal do świata i do ludzi, i gdy tylko się ku temu nadarzała zręczna sposobność, wetowała na nich dawne swe upokorzenia.

Tym razem jednak starała się panna Anrelia być słodziutką i uprzejmą, jak gdyby przed nią stał nie rubaszny, i w lasach na wpół zdziczały Brońcio Zymirski, który nawet nie był nigdy w Paryżu, lecz Fruś Koniecpolski, książę Belgiojoso lub hrabia Brach-Münchhausen-Walgerode we własnej osobie. Wypytywała go o jego zamiary,—o wspomnienia, które wywiózł ze Lwowa, przesładowała go Belką Niedrzycką, Muszką Zawirską, Kolą Borzycką i innemi lwowskimi pannami; — rozmawiała z nim o przyjemnościach wiejskiego życia, o polowaniach i jarmarkach, tak jakby nigdy nie tańczyła na parkietach Tailleryów, jakby ideałem jej były baranki, krówki, kury, i inne domowe zwierzęta. Wreszcie zwierzała mu się ze swych gospodarskich kłopotów, z trudów, jakie ponosić musi, rządząc własnym majątkiem, ona, kobieta, panna, wychowana na wielkim świecie, i przywykła do tego, aby się nie troszczyć o nic, i nie martwić niczem. Położenie

swoje malowała z taką werwą i humorem, że bohater nasz, uszczęśliwiony jej uprzejmością, a oczarowany wesołością, śmiał się do rozpułku, zapomniawszy już całkiem o swoim żalu z powodu wydartej jajecznicy.

— *Suis-je folle!* — zawołała nagle, śmiejąc się wesoło. — Zagadałam się tu z panem tak przyjemnie, że całkiem zapomniała, iż nie jestem u siebie lecz na popasie, i że mi spieszo do Lwowa, gdzie chciałabym wyszukać jakiego porządnego rządcę do mego majątku.... Czas w drogę, czas!... Jadwisiu, każ zaprządz; konie popasły już z pewnością... Jaka szkoda, że pan nie jedzie do Lwowa.... Czułabym się bezpieczniejszą... Uparłam się jechać kareta, a ta droga wcale nie po temu... Prawdziwie strach mnie zbiera na myśl, jak przebedziemy Winnicką górę!

— Żałuję bardzo, że nie mogę zawrócić! — odparł piękny Brońcio z ciężkim westchnieniem. — Niestety muszę być w domu dziś jeszcze koniecznie... Inaczej służyłbym pani mojemi sankami, bo kareta istotnie trudno będzie przebyć Winnicką górę... Niech się pani jednak nie lęka, a każę staugretowi jechać ostrożnie i hamować z góry, to nie będzie żadnego niebezpieczeństwa.

— Ach mój furman! — zawołała żywo, — taki pijak! W niczem się na niego spuścić nie-

można... Kiedyś tu wysyłałam go do Bardynia po lekarza do mojej klucznicy... Lekarza nie przywiózł, ale powrócił z połamanymi saniami, pijany, jak nieboże stworzenie.... ha, ha, ha!... *J'ai failli mourir de rire!*... Byle sobie dziś znowu głowy nie zalał!

Wtem zaturkotało w sieniach;—był to powóz naszej bohaterki. Zapłaciwszy rachunek, który dzięki gościnności pana Bronisława i kucharskim jego zdolnościom, ograniczał się tylko na obrok i siano wzięte dla koni, a podziękowawszy naszemu bohaterowi za uprzejme przyjęcie, otuliła się znowu panna Aurelia w swe podróżne futro, i wsiadła z towarzyszką do karety, usadowiona tamże przez naszego bohatera.

— Do widzenia! do widzenia!—zawołała jeszcze, gdy powóz ruszał z miejsca.—*Venez me voir à Olchówka*, jak pan nie będziesz miał nic lepszego do roboty... Urządzę panu polowanie w moich lasach... Powiadają, że mnóstwo jest zwierzyny.

— Nieomieszkam skorzystać z tak łaskawych zaprosin,—odparł, kłaniając się, młody Żymirski.

Powóz ruszył z miejsca, i, kazawszy Maćkowi zaprzęgać, powrócił nasz bohater do gospodniej izby, sam sobie nieumiejąc zdać sprawy z odniesionych w tem spotkaniu wrażeń.

ROZDZIAŁ III.

Jako karetka panny Aurelii uderzyła się o poręcz dębową, i jako z pięknego panicza zrobiła się jajecznicą.

Było atoli w gwiazdach napisane, że pan Bronisław i panna Aurelia zjedną się w tym dniu raz jeszcze, i że spotkanie ich przypadkowe nie zostanie bez wpływu na dalsze ich losy. Tuż za Dubeltówką na dojeździe do gościńca był wąski mostek, mocną dębową opatrzony poręczą. Skręt był w tem miejscu dosyć przykry, i trzeba było w zwykłym czasie pewnej ostrożności i zręczności, aby, zjeżdżając na gościniec ze spadzistego pagórka, przebyć bez szwanku tę przeszkodę. Chłopskie sanie, wyjeżdżające z Dubeltówki, utworzyły były w tem miejscu zatokę. Stangret panny Aurelii, który, korzystając z popasu, a starając się zabezpieczyć przeciw zaziębieniu, niedokładnie obliczył ilość potrzebnej ku temu wódki i w zbytnej swej przezorności

przesadził nieco miarę zażytego trunku, najechał na tę zatokę z fantazją, nieuwieńczoną niestety pomyslnym skutkiem. Na śliskim torze zaluzowała się ciężka wiedeńska karetka, a tylne koło jej uderzyło o słup dębowej poręczy z takim impetem, iż oś pękła przy samej sztycy, i powóz, przebywszy jeszcze dzięki swojemu pędowi mostek, osiadł na gościńcu, tak jak fryga, wypuszczona z ręki malca, skoro impet swój wirowy utraci.

— *Aj waj, aj waj!*— wrzasnęła arendarka. wpadając do gospodniej izby. — *Szmil, loif auf den mostek, ci de hrabine... Ze hat sich tojd geschlungen .. Geszwind!*

— Co się stało?— zapytał pan Bronisław zaniepokojony.

— *Aj waj, aj waj!*... Zabiła się i z koniem, i z karetem,—biadała szynkarka.

— Kto taki?

— *Aj waj!* ta hrabina, że wielmożny pan jej dał swoją jajecznice... Zleciała z mostka i z koniem, i z karetem, i z luberjom... *aj waj*, nieszczęście, zabiła się, *aj waj!*

Pan Bronisław wybiegł z karczmy, i spojrzął ku gościńcowi. Siedząca na pudle swem karetka przedstawiała widok, istotnie rozpaczliwy. Bogu dzięki jednak niebyło nieszczęścia. Obie podróżne stały już na gościńcu ko-

ło złamanego powozu, którego uszkodzenia oglądała służba, wraz z przybyłym na miejsce wypadku arendarzem. Rżały tylko zaniepokojone konie, drżąc od zimna i przestachu, i oglądając się poza siebie, o ile na to pozwalały kantary. Zwyczajem gminu przesadziła była szynkarka doniosłość wypadku.

— Wystaw pan sobie, co za nieszczęście!— zawołała panna Aurelia, ujrawszy nadbiegającego bohatera naszej powieści. — Oś złamana!

— To jeszcze najmniejsze z nieszczęść,— odparł, śmiejąc się, pan Bronisław.—Obawiałem się czegoś gorszego... Arendarka mówiła mi, że się karetą stoczyła do rowu, i że się ludzie i konie pozabijali.. W istocie było to możliwem... Zauważyłem już tę zatokę, wjeżdżając do karczmy; ale woźnica pani powinienby także uważać.

— Ja uważałem, proszę pana, ale ta ślepa licowa spłoszyła się jakimś didkiem, taj niemożna było utrzymać,—odparł woźnica panny Niegodzkiej, którego język chodził w pantoflach.

— Dureń jesteś!.. *Pardon, mademoiselle!*... Chciałem powiedzieć: głupstwa gadasz!—rzekł na to pan Bronisław. — Co mi to za furman, co nie umie konia utrzymać!

— Sięgam Bogu, co to niemoja wina!

— Dur...—wybuchnął znowu nasz bohater, ale się zatrzymał jeszcze w samą porę.

— *Que voulez-vous? Il est ivre!...* Pijany jest, —zauważyła panna Aurelia.

— Co, ja pijany?... Sięgam Bogu, ja nie pijany!.. Żeby tak moje wrogi byli pijane, jak ja pijany... Człowiek się nabieduje, namarznie, to i jeszcze mu wymawiają, — tłumaczył się woźnica.

— No, no, no! Nie tłumacz się, nie odpowiadaj! — odparł pan Bronisław rozkazującym tonem. — Szkodę zrobiłeś, oś złamana, i pani dalej jechać nie może!

— *Ah! mon Dieu, cóż tu robić!* — zawołała panna Niegodzka.

— A cóż? Będzie pani musiała nocować w tej karczmie i czekać, dopóki tego nie naprawią, — rzekł pan Bronisław, przypatrując się szkodzie okiem znawcy.—Phi, oś na proch złamana, i koło także się ledwie trzyma... Ciekawa rzecz, czy się tu znajdzie stelmach i kował, tak dobry, aby to naprawił.

— *Ah! mon Dieu, co za nieszczęście!*... Co tu robić, co tu robić! — biadała panna Niegodzka.

— Przedewszystkiem trzeba iść do karczmy, bo się tu pani jeszcze zaziębi, — odparł pan Bronisław, biorąc na siebie narzuconą mu przez los rolę opiekuna.

— Ale cóż będziemy robili w tej brudnej karczmie?... Wieczór się już zbliża, a mnie tak pilno do Lwowa!

— W karczmie uradzimy, co dalej robić; przecież pani nie może tu stać na mrozie.

— *Vous avez raison!* Trzeba pójść do karczmy,—odparła z rezygnacją.—I, podawszy rękę panu Bronisławowi, weszła do gospody, gdzie niebawem za pomocą chłopów zaciągnięto karete.

Trudna była rada w istocie. Wedle zdania naszego bohatera wymagała naprawa uszkodzonego powozu conajmniej dzień jeden, i to w razie gdyby się znalazł materiał gotowy, oraz rzemieślnik pod ręką. Tak atoli niebyło. Najbliższy stelmach mieszkał o milę. Był on wprawdzie, jak się to na wsi zdarza, jednocześnie i kowalem, ale nikt nie umiał odpowiedzieć na pytanie, czy nie jest inną robotą zajęty, i czy może się podjąć naprawy. W karczmie niebyło sań, któreby mogły pannę Aurelię dowieźć do Lwowa. Wypadało więc, albo czekać w Dubeltówce naprawy powozu przez dni kilka, albo wysłać do Olchówki po sanie, któreby naszą bohaterkę do Lwowa dowiozły. Aliści do Olchówki było mil sześć, i sanie mogłyby ztamtąd przybyć dopiero po upływie dwudziestu czterech godzin. W najlepszym więc razie uśmiechała jej się niezbyt

wesoła perspektywa spędzenia całej doby w Dubeltówce, brudnej i ogołoconej z wszelkiej wygody. bez nadziei, aby się powtórzył cud, dzięki któremu dziś pokrzepiła swoje siły herbata, świeżemi bułkami i smakowitą jajecznicą.

Pozostawała deska ratunku, — deska, tym razem dwunożna, młoda, przystojna; — czytelnicy domyślają się, że deską ową był pan Bronisław. Tej więc deski chwyciła się panna Aurelia, — jak to mówią, — rękami i nogami, prosząc naszego bohatera, aby dokonał pięknego dzieła, które rozpoczął, ocaliwszy ją od głodowej śmierci, i dowiózł ją saniami swemi do Lwowa. Bohater nasz, którego w dobry humor wprowadziła ta przygoda, a któremu po przegraniu pieniędzy w kasynie, i rozwianiu się snów jego karnawałowych, obojętnem być musiało, kędy kroki poniesie, byłby się może chętnie podjął roli błędnego rycerza, gdyby obecne fundusze jego pozwalały mu na wybryk podobny. Aliści powrót do Lwowa, choćby tylko na kilka godzin, pociągał za sobą koszta, wprawdzie niewielkie, ale w tej chwili dla niego niedostępne. Składał się więc biedak koniecznością powrotu do domu, kłamiąc rozmaite ważne powody aby przed złośliwą swą towarzyszką nie zdradzić swego niedostatku.

— Nieszczerym pan ze mną jesteś, panie Bronisławie,— zawołała nagle panna Aurelia z wyrzutem w głosie. — Ja wiem, o co panu chodzi.

Bohater nasz spojrział na nią osłupiałym wzrokiem.

— Pani wie? — odparł, zmuszając się do uśmiechu.—Ciekawym bardzo, co też pani myśli?

— *Vous n'avez pas d'argent!* — szepnęła cicho. patrząc mu w oczy i uśmiechając się życzliwie.

Grom z pogodnego nieba nie byłby wywarł bardziej druzgocącego wrażenia nad to, które wywarły na naszego parafianina te proste słowa, tak łagodnym wyrzeczone tonem. Krew mu uderzyła do głowy, w uszach mu zaszumiało, w piersi mu zabrakło oddechu. Znicestwiony, stał przed nią, wpatrując się w jej twarz przerażonym wzrokiem, i niemogąc z ust otwartych wydobyć głosu. Zdawało mu się, że ta mała osóbka, wpatrująca się w twarz jego łaskawie i z życzliwym uśmiechem, musi być wyposażona jakąś nadprzyrodzoną potęgą. Nie mógł pojąć, w jaki sposób odgadła jego tajemnicę.

— Widzisz pan, że mam słuszość,—ciągnęła dalej dobrodusznie i z wyrzutem w głosie. —Zakłopotanie pańskie mi to powiada... Fe,

to brzydko z pańskiej strony, panie Bronisławie, że pan tak nie masz do mnie ufności... Wszakże się znamy od dziecka prawie; ciotka moja jest przyjaciółką pańskiej matki...

— Ależ, proszę pani, ja nie rozumiem...

— Nie, nie! Powinnabym się gniewać na pana... Jakto, żeby mi nie powiedzieć?... Przecież to prawdziwa przyjemność dla mnie, jeżeli będę mogła panu wygodzić.

— Ależ...

— Niema żadnych ale... Wszak zjadłam pańską jajecznicę i nie odmówiłam panu, gdyś mi ją ofiarował... Jedna przysługa warta drugiej... Mam tu przy sobie tysiąc guldenów; mogę się z panem podzielić... Czy wystarczy?...

— Nie, żadną miarą nie mogę przyjąć takiej ofiary!—zaprotestował, wracając do równowagi, pan Bronisław.—Nie mógłbym pani zwrócić, bo... bo... bo...

— Wiem już, wiem! Ojciec pański skąpym jest, i nie myśli o tem, że już doszedłeś do lat, w którychby się należało otworzyć panu drogę do samodzielności... Wszak znamy się oddawna... Czy myślałeś pan, że o tem nie wiem?... Matka pańska niejednokrotnie skarżyła się mojej ciotce na upór swojego męża. Myślałam już nieraz o pańskim położeniu, i rada jestem wielce, że nas dziś zbliżył do

siebie przypadek... Sposobności usłużenia panu nie pomnę... Nie, nie, taka już moja natura, ha! ha! ha! Jestem upartą, bardzo upartą... *Entre nous soit dit*, szkaradna to wada, ale tym razem nie zapieram jej się bynajmniej... Musisz pan przyjąć odemnie ten mały dowód przyjaźni... Stoi więc pomiędzy nami ugoda: pan pożyczasz odemnie pięćset guldaków, i jedziemy razem do Lwowa... O zwrot niech się pan nie troszczy... Oddasz mi pan, gdy się ożenisz, czego panu z serca życzę.

I kusiała go spojrzeniem i uśmiechem, i przemawiała doń z taką serdeczną dobroduszością, że, oszołomiony, usłuchał wreszcie jej namowy.—W istocie cóż mu pozostawało? Nie mógł przecie opuścić kobiety w tej brudnej karczmie—wśród niewygody i kłopotów—bez opieki i ratunku. Jeżeli dotychczas uchylał się od tego obowiązku, to jedynie dlatego, że nie miał pieniędzy na pokrycie wynikających ztąd wydatków, a nie chciał się przed nią przyznać do swej golizny. Atoli wzgląd ten usunęła, odsłaniając brutalnie jego tajemnicę, a niedyskrecyę swą złagodziła taką serdecznością i dobroduszością, że bez narażenia się na śmieszność, niesposób było nie przyjąć jej ofiary. Innym razem, na zimno, byłby może odrzucił tę pomoc, pochodzącą od znajomej mu wprawdzie, lecz obcej kobiety. Miał bowiem

pan Bronisław wrodzone poczucie taktu i honoru,—pewną szlachecką dumę, dzięki której pomimo swego głodu życia i używania, a nieodpowiadających głodowi temu funduszów, szedł przez życie, unikając wszelkich dwuznacznych położeń, i niejasnych czynności. W tej chwili jednak nie był pan Bronisław samym sobą. Z jednej strony nęcił go ten Lwów, niby czara miodna, od której oderwać musiał usta, skosztowawszy zaledwie jej nektaru. Wszystkie jego nadzieje, wszystkie sny, przyszłość cała, przywiązane były do pobytu w murach tego miasta, z którego uciekać musiał, zgrawszy się w kasynie. Z drugiej strony przerażała go myśl, że musiałby wrócić na wieś, gdzie go czekały nudy, bezczynność, zły humor ojca i wyrzuty matki, której zawiódł nadzieje.

Zresztą wyprowadziły go były z równowagi i wrażenia, w ciągu dnia dzisiejszego odniesione. Umysł jego, niezbyt wykształcony, podobnym był do łódki, kołysanej wiatrem na pełnym morzu, a pozbawionej sternika. Imponowała mu zawsze panna Aurelia swym wielkoświatowym tonem, swemi wysoko położonemi znajomościami, swemi podróżami i doświadczeniem życia, spędzonego za granicą na parkietach dworskich i ministeryalnych salonów. Skonfundowany dziś przez nią po

dwakroć, raz, gdy go zastała, sporządzającego jajecznicę, a drugi raz, gdy odgadła jego goliźną, czuł się wobec niej małym, słabym, upokorzonym, tak jak koń poskromiony wędzidłem, lub jak wyżeł schłostany przez myśliwego, w czasie polowania. Serdecznością swą i dobroduszą pokonała go ostatecznie, tak iż bezwolnym był zupełnie wobec jej pokus i namowy. Zapomniał o tem zupełnie, że przyjmuje upokarzające zobowiązanie, że zaciąga dług wdzięczności, którego może nie będzie mógł odpłacić, i że się stawia w położeniu, wielce dwuznacznem, a niemającym naturalnego wyjścia.

Kto wie, czy, wykolejony chwilowo, nie byłby jeszcze dzięki swej dumie powrócił do równowagi i nie odtrącił pomocy ofiarowaną, atoli sprytna panna Aurelia, nie pozostawiła mu chwili jednej do namysłu, zajmując go nieustannie rozmową, w którą umiała tchnąć ciepło jaknajserdeczniejsze. Była naprzemian dobroduszną i naiwną, to znów dowcipną i złośliwą, nieprzekraczając jednakże złośliwością swą właściwej miary. Objawiała najserdeczniejsze współczucie dla jego położenia, oburzała się skąpstwem i surowością starego Żymirskiego, iż nie daje synowi możności pracowania, i zmusza go do marnowania energii i sił lat najlepszych, w gnuśnej

bezczyrności. Kreśliła jego oczom obraz wspaniały życia czynnego & niezależnego, oraz wewnętrzznego zadowolenia, jakie się znajduje w takim życiu. Jednem słowem zdawała się czytać w myślach jego, tak zręcznie pochlebiała wszystkim jego tajonym wstrętom i pragnieniom. A wszystko to czyniła tonem tak serdecznej przyjaźni, dotykając ran jego tak miękko, że bohater nasz zapomniawszy zupełnie, iż rozmawia ze znajomą wprawdzie, lecz obcą mu prawie kobietą, poddawał się z całą ufaością dobroczynnemu wpływowi tej serdecznej rozmowy.

— Jak też to mylą pozory, — myślał pan Bronisław, wpatrując się w nią życzliwym spojrzeniem.—Szkoda, że nie ładniejsza i nie młodsza, bobym korzystał z tej sympatyi, jaką dla mnie czuje... Byłaby to właśnie żona, jakiej mi potrzeba... Tak jednak nie ma nawet i myśleć o czem... Stara jest!.. Kiedym był dzieckiem, była już panną na wydaniu... Szczyściem że nie ma żadnych już pretensyi... Wszak głośno się z tem odzywa, że nie myśli wcale o małżeństwie... Tem też dziwniejszą jest sympatya, którą mi okazuje, iż nie można jej posądzić o interesowną rachubę... Ktoby się jednak po niej tego spodziewał?... Jak też to nieraz mylą pozory!

— Mam go,—myślała panna Aurelia, śle-

dząc na jego twarzy wyrazu uczuć, które rozmową swą wywoływała. — Głupi jest ten wiejski baranek... Zrobię z nim co mi się podoba... Oczy ma ładne, ale jakież w nich wyraz cięły!.. Rozfantazowałam go przyjaźnią i pięciuset guldenami... Jak dodam jeszcze pięćset, to go poprowadzę do ołtarza!..

ROZDZIAŁ IV.

Jako, podróżując razem, znaleźli się nagle pan Bronisław i panna Aurelia na śliskiej i niebezpiecznej drodze, i jako panna Aurelia ocaliła sytuację tem, iż nie zapomniała w gębie języka.

Tymczasem przeładował Maciek walizy panny Aurelii na sanie pana Żymirskiego, wedle odebranego w tej mierze rozkazu. Bohater nasz wyszedł, aby się przekonać, czy wszystko zrobione, jak należy, i zarządzić to, co potrzeba, celem naprawy uszkodzonej karety. Postanowiono polecić Jadwisi dozór nad końmi, powozem i ludźmi. Panna Aurelia oświadczyła, że, mając zamiar zajechać do cioci Porajowej, może się obejść bez usługi swej kamerystki. Pan Bronisław biorąc na seryo rolę opiekuna i gospodarza, nieomieszkał przy tej sposobności przymilić się pannie Jadwidze, która go już oddawna pożerała oczyma, a wyłajac i za uszy wytargać woźnicę panny Aurelii, ażeby wiedział, co go czeka,

w razie, gdyby nie wypełnił otrzymanych rozkazów jak należy, lub stał się nieostrożnością swoją powodem nowego wypadku. Wreszcie zajęły sanie naszego bohatera, i z wesołością naiwnej trzpiotki, a z udaniem zakłopotaniem pensyonarki usiadła panna Aurelia na koźle, obok siedzenia, na którym miejsce zajął pan Bronisław, pragnący zwyczajem swoim, pełnić służbę woźnicy.

Było tam śmiechów, i wzdragania się, i gadaniny co nie miara,—sprytna kokietka bowiem nie zaniedbała żadnej sposobności, ażeby uwydatnić wrażenie, jakie jej rzekomo sprawia drastyczność tego nowego dla niej położenia. Aliści i ten epizod nie trwał zbyt długo, trzeba się było bowiem zdecydować na wszystkie następstwa raz już przyjętego programu, a bohaterka nasza zbyt wielkoświatową była damą, ażeby nadmiernie przeciągnąć stronę paraflańskich ceregielów. Wręczysz panu swemu lejce, i otuliwszy niedźwiedziem futrem nogi jego, rozsiadł się Maciek w tylnem siedzeniu; pan Bronisław klasnął językiem, i konie ruszyły, uwożąc podróżnych naszych z miejsca, na którym przypadek zbliżył drogi losów ich do siebie.

Milczeli zrazu. Prąd ostrego powietrza tamował im oddechy. Niepokoiły wreszcie pannę Aurelię historyczna zatoka i mostek, które

spowodowały niedawno temu szwank jej karety. Aliści dla tak wprawnego woźnicy, jakim był pan Bronisław, igraszką była taka przeszkoda. Przejechał niebezpieczne miejsce, niedopuszczając nawet do tego, by panna Aurelia znalazła powód do okazania swej obawy, a wjechawszy na gościniec, puścił wolniej lejce koniom, które, parskając ochoczo, jęły pożerać przestrzeń w rączym biegu. Słońce miało się już ku zachodowi, i mróz zwolnił był nieco. Żaden wietrzyk nie poruszał przydrożnych drzew i krzaków, pokrytych okiścią; tylko prąd powietrza, wywołany pędem szybkiej jazdy, uderzał o twarze naszych podróżnych, muskając zlekka ich skronie.

— Co za rozkoszna jazda!—zawołała panna Aurelia, przerywając milczenie.—W istocie potrzeba być roztrzepanicą, taką jak ja jestem, aby się wybrać w podobną drogę ciężką kareta... *Mais que voulez-vous? une femme!...* Czy to ja się znam na tem!... Ciocia zepsuła mnie swoją troskliwością; nie umiem się obejść bez opieki... Zresztą nie żałuję wcale, że się wybrała kareta.

— Dlaczego?—spytał machinalnie pan Bronisław.

— Jakto dlaczego?—odparła żywo.—Gdybym się nie była wybrała kareta, byłabym może minęła „Dubeltówkę“, i nie miałabym

teraz przyjemności jechania z panem... A przyznam się otwarcie, że ta wspólna podróż bawi mnie ogromnie... Ha, ha, ha! co też tam powie ciocia, gdy się dowie, że pan mnie przywiozłeś do Lwowa.

— Może się będzie gniewała?

— *Quelle idée?* A to dlaczego?

— Może znajdzie, że to nie wypadło?

— Niewypadało!... Jakim sposobem?... Miałamże nocować w brudnej „Dubeltówce“ i czekać na naprawę powozu kilka dni?... *Merci!*... Ciocia owszem wdzięczną panu będzie, że mnie wzięłeś pod swoją opiekę, a co się tyczy tego, co ludzie powiedzą, to...

— To?—zapytał pan Bronisław.

— To, *je m'en fiche et je m'en refiche!*—odparła rubasznie.—Zresztą zbyt wysoko stoję, a żebym się miała obawiać kompromitacyi, i oglądać na to, co ludzie powiedzą.

— Pan przyjdiesz jutro do cioci,—dodała po artystycznej pauzie.

— Nieomieszkam służyć.

— Trzeba koniecznie.... Tylko nie z etykietałą wizytą!... Przyjdź pan tak po obiedzie, o ósmej... *J'y tiens*, żeby podziękować panu wspólnie z ciocią raz jeszcze za pańską uprzejmość i opiekę... Nie uwierzysz pan, jak ciocia pana lubi... Pisała mi, że otrzymała list od pańskiej matki, i że pan byłeś u niej

z wizytą... Przyjaźń swą dla pańskiej matki przeniosła zupełnie na pana.

— Teraz się dopiero domyślam, z kąd pani wiesz o moich domowych stosunkach!

— Od cioci, oczywiście!... I nie naturalniejszego, że, mając tyle życzliwości dla pańskiej matki, szczerze się zajmuje pańską osobą, i że, uważając mnie niemal za swoją córkę, a znając moją dyskrecyę, zwierza się ze wszystkim przedemną.

— Prawda!... A ja myślałem...

— Co pan myślałeś?

— Nie, nie mogę pani powiedzieć.

— *Dites! dites!* bardzo proszę.

— Myślałem,—rzekł, śmiejąc się, ośmielony pan Bronisław—że pani chyba przez świętego, lub innego jakiego ducha dowiedziałaś się o wszystkim, i przyznam się pani, że mnie to napełniało przestrawem.

— Ha, ha, ha, ha!

— Pani się śmieje, a jednak, jeżeli mam być szczerym?...

— Bądź pan szczerym.

— Jeżeli mam być szczerym, — powiem pani, że i teraz nie jestem wolnym od wszelkiej trwogi... Bo, że pani wiesz o domowych moich stosunkach, dowiedziawszy się o nich od swojej ciotki, to rozumiem; ale z kąd się pani dowiedziałaś o tem, że wymawiam się od

przyjemności odwiezienia pani do Lwowa dlatego jedynie, że nie mam pieniędzy?

— Ha, ha, ha! *Que vous êtes jeune, bon Dieu! bon Dieu!*—zawołała, śmiejąc się i przypatrując mu się ciekawie.—To strach, jaki pan jesteś młody!... Nie domyślasz się, w jaki sposób to odgadłam?

— Nie, słowo honoru daję, że się nie domyślałam.

— A jednak to rzecz prosta!.. Twarz pańska była tym razem pocziwszą od pana, i wyznała przedemną pańskie kłopoty... Nie nauczyłeś jej pan kłamać jeszcze... A potem czyż to nie rzecz jasna... Przybyłeś pan do Lwowa, aby tam spędzić karnawał; nie prawdaż?

— Tak jest!

— Miałeś pan przytem pewne zamiary, czy tak?

— Nieinaczej.

— No i wyjeżdżasz pan ze Lwowa w samym środku karnawału, i do tego jeszcze przed kawalerskim balem, na którym z pewnością będą i Kola Borzycka, i Belka Niedrzycka, i Muszka Zawirska, i wogóle wszystkie lwowskie panny, które poznałeś... Cóż pana mogło nakłonić do tego rozpaczliwego kroku, jeżeli nie brak pieniędzy... *C'est clair, comme bon*

jour!... Niepotrzeba na to mieć znajomości z duchami, aby się wszystkiego domyśleć.

— Podziwiam domyślność pani, i bystrość jej umysłu...

— Kiedy już jesteśmy *sur le chapitre* szczerości i przyjaznych zwierzeń, to przyznaj mi pan: prawda, że przegrałeś pieniądze, wzięte z domu na opędzenie karnawału?

— Tak jest.

— Ile?

-- Wziąłem z domu osiemset guldenów; spędziłem we Lwowie cztery tygodnie, a resztę przegrałem.

— I nie zostawiłeś pan we Lwowie długów?

— Nie, ani centa.

— *Mais vous êtes un Phénix!*... Można pana za przykład postawić wszystkim młodym ludziom... Cóż to znaczy osiemset guldenów dla kawalera w czasie karnawału!... Dziwi mnie, że pana wyprawiono z domu z tak małym funduszem, i pojmuję bardzo, że, pragnąc go powiększyć, zasiadłeś pan do zielonego stolika... *C'est très-pardonnable!*... Ale teraz grać pan już nie będziesz, nie prawdaż?... Bo i na co?... Masz pan u mnie kredyt otwarty, gdybyś potrzebował jakich kilkuset guldenów.

— Ależ proszę pani! .

— Mówiłam panu raz, że niema żadnego

ale!... Przyzwyczajona jestem do tego, by mnie słuchano... Zresztą cóż to znaczy kilkaset guldenów?... *Une petite bagatelle, un rien!*... Przyjemnie mi będzie, jeśli będę mogła panu zrobić dogodność, a gniewałabym się na śmierć, gdybyś pan się nie odwołał do mojej przyjaźni.

Bohater nasz milczał.

— No i cóż? — zapytała natarczywie. —
Przyrzekasz pan?

— Przyrzekam.

— Słowo honoru?

— Słowo honoru!

— Dobrze, jestem szczęśliwa!...—A teraz powiedz mi pan, co ze sobą zrobisz we Lwowie?... Porobiłeś pan wizyty?

— Porobiłem.

— A zapisałeś się do kasyna?

— Zapisałem.

— Będiesz na kawalerskim balu?

— Oczywiście.

— *En ce cas c'est charmant!* Zamawiam sobie u pana kadryla i mazura... Słyszałam, że pan doskonale tańczysz mazura.

— Ach! wdzięczny pani jestem niezmiernie.

— *Bon!*... Nie zapomnij pan, pierwszy kadryl i drugi mazur.

— A kotyliona pani nie ma do rozdania?

— I owszem,—odparła, śmiejąc się.—Tylko

może to będzie za wiele jednego wieczora...
Pan wiesz, ten Lwów—to takie plotkarskie
miasto... *On jaserait!...*

— I cóż to szkodzi?... *Qu 'on jase!*

— Ta! mnie na tem nic nie zależy... Ale
w każdym razie byłoby to może za wiele!...
Spotkamy się gdzieindziej... W kotylionie ja
pana wybiorę.

I rozmawiali sobie w tym tonie dalej:—ona
swobodna i niby roztrzepana,— on chmurny i
widocznie niezadowolony z siebie. Uśmiecha-
ła mu się myśl, że powraca do Lwowa, i że
go przypadek wydobył z tej przepaści, w którą
go wrzuciła przegrana w kasynie. Lecz z dru-
giej strony bolało go to, iż ratunek zawdzię-
cza kobiecie. Myśl ta upokarzała jego du-
mę. Obcą mu była dotąd panna Aurelia,
jakkolwiek znał ją od lat dzieciennych. Była
starszą od niego o lat kilka, i niegdyś, w cza-
sach owych, gdy wdzięki jej mogły jeszcze wy-
wrzeć na niego urok jakiś, odtrącała go swą
dumą, traktując z góry młokosa. Później, gdy
podróżowała za granicą, stracił ją zupełnie
był z oczu, a gdy powróciła pełna wspomnień
balów dworskich, i chełpiąca się powodzeniem
swojem na wielkim świecie, nie było mostu po-
między bohaterką stołecznych salonów, a wycho-
wanym na wsi parafianinem. Upojona tryumfa-
mi, a żywiąca ciągle jeszcze ambitne nadzieje,

spotykając go na wsi ęu krewnych swoich, lub wspólnych znajomych, lekceważyła go, gdy się do niej zbliżał, i nie szczędziła mu onej ironii, którą zaściankowców zwykli przygniatać ludzie wielkiego świata. Więc też, jakkolwiek sobie z tego nie zdawał sprawy, nie był pan Bronisław wolny od wszelkiej nieufności ku swojej nowej, a tak wielce serdecznej przyjaciółce. Czuł, że ta nadmierna życzliwość nie jest naturalną, i tłoczyło go, i zasępiąło to instynktowne poczucie.

Ciekawą też była gra panny Aurelii, która, niby swobodna i roztrzepana, zdawała się czytać w myślach naszego bohatera, i, nie spuszczać ani na chwilę celu swego z oka, kierowała rozmową tak, aby pokonać jego nieufność, i zażegnać jego niepokój. Umiała skorzystać ze wszystkiego, zmierzając ku temu celowi. Zachwycała się dzielnością jego koni i dobrem utrzymaniem uprzęży, wypytywała go o sposoby, jakimi dojść można do takiego porządku w stajni i masztarce, i zasięgała jego rady, unosząc się nad jego praktycznością, energią i porządkiem.—Ach! ta praktyczność, wyborną była w tej chwili kartą w jej ręku. Szydziła z siebie, iż, wychowana w wielkim świecie, a oszołomiona bajnem jego życiem, nie umiała jej dotąd cenić należycie. Teraz dopiero, skazana na gospodarstwo, któ-

reby właściwie potrzebowało męskiej ręki i męskiego oka, poznała całą wartość tego nieocenionego przymiotu. Ubolewała nad tem, że rodzice jego nie dają mu sposobności ku temu, aby mógł zużytkować swoje przymioty, i wskazywała mu bogatą żeniączkę, jako drogę do osiągnięcia tego celu. Dawala mu do zrozumienia, że teraz dopiero poznała całą wartość jego, i że przyjaźń, którą mu okazuje, opartą jest na szacunku. Jednem słowem wbiła go w dumę, czyniąc się wobec niego małenką, i odgrywając rolę pełnej podziwu i uwielbienia uczennicy.

Niekiedy znowu, zwracając rozmowę na inne tory, a wypytując go o jego we Lwowie zamiary, narzucała mu się w charakterze mentora i podawała mu rady, natchnione życzliwością starszej siostry, a oparte na wielkiej znajomości świata. Prześladowała go Muszką Żawirską, Belką Niedrzycką, i Kolą Borzycką, chwalać panny te, lecz w sposób taki, iż o każdej z nich umiała coś złego powiedzieć. Ofiarowała mu swą protekcyę, czyniąc zręczną wzmiankę o wysokich swoich znajomościach i rozlicznych stosunkach, oraz o korzyściach, które z nich wyciągnąć może człowiek młody i sprytny, a u początku swej karyery stojący. Słowem, ofiarowując mu przyjaźń swoją, kładła nacisk na wartość tej przyjaźni, i

na korzyści, jakieby mógł z niej wyciągnąć dla siebie, w nadziei, iż koniec pieśni sam sobie dośpiewać potrafi.

Tymczasem pędziły sanie, mijając rąco góry, doliny, lasy pokryte okiścią, i wsie o dymiących kominach. Słońce znizyło się było ku zachodowi, rumieniając szczyty okolicznych, śniegiem pokrytych pagórków. Po dolinach i jarach snuły się mgły przejrzyste, jak to zwykle bywa ku wieczorowi, w dzień mroźny a słoneczny. Ciężkim lotem powracały z zero-wiska stada wron, które, kracząc i bijąc się z sobą, obsiadały szczyty nagich drzew po sadach, i dzwonnice cerkiewnych trójramienne krzyże. Wreszcie zapadło słońce za góry, rozpalając szeroką lunę na zachodzie, która niebawem zagasła, tonąc w wieczornym zmierzchu. Na pogodnem niebie, poczęły gwiazdki zapalać swe migotliwe światelka: najprzód jedna, potem druga, trzecia;— po chwili gorzał już cały sklep niebieski gwiazdami, niby morze cennych klejnotów.

Był to widok rozkoszny, a jednak nie mieli oczu dla tych cudów, zatopieni w rozmowie:—ona trzeźwa, odgadująca myśli jego, i wyłączenie grą swą zajęta,— on roztargniony i bezwolny, dający się unosić jej wymowie. Tak wdrapali się na stromą Winnicką górę, i wjechali w bór senny i głuchy, mijając co

chwila, ciężkie ładowne bryki, popędzane przez bałagunów o zuchwałych, podejrzanych twarzach. Jak lęклиwe dziecko, tuliła się wtedy panna Aurelia do swego towarzysza, udając zaniepokojenie. Pan Bronisław śmiał się z tej trwogi, strasząc ją opowiadaniem o dość częstych w tej okolicy napadach i rabunkach, to znówu uspakajał ją, zapewniając, że pod jego opieką nic się jej złego stać nie może. Nagle przy zjeździe z nieco przykrzejszego pagórka zaluzowały się sanie na małej, lodem pokrytej zatoce, którą przeoczył był pewny siebie, a rozmową zajęty woźnica.

— Ach! — zawołała panna Aurelia, przechylając się jeszcze bardziej, ku swemu towarzyszowi, który przerzuciwszy w mgnieniu oka lejce w prawą rękę, ujął w pół przełkniętą, aby ją zabezpieczyć od wszelkiego wypadku, a przede wszystkim aby uspokoić jej obawę. Ruch jego był całkiem machinalny i nieumyślny, aliści pan Bronisław, miał z czasu swych garderobianych romansów donzuanowskie nawyknięcia, które się u niego w drugą zmieniły naturę. Skoro więc na ramieniu uczuł brzemień ciała swej towarzyski, przycisnął zaleknioną do piersi, niemal bezwiednie, lecz silnie i dłużej, aniżeli tego wymagała sytuacja.

Panna Aurelia drgnęła pod tym uściskiem.

Zaszumiało jej w uszach, w oczach jej stały dwa wielkie świetlane kręgi, w łonie uczuła dziwnie błogi żar, który ją słodką rozemdlewał lubością. Zdawało jej się przez chwilę, że kona rozkosznie, — ale tylko przez chwilę! Niebawem zapanowała nad sobą.

— Ha! ha! ha! ha! — parsknęła głośnym śmiechem, aby pokryć swoje wzruszenie. — *Comme vous y allez?*... Powiedziałeś mi pan, że pod pańską opieką, mogę być bezpieczną, ale jak widzę, to ta opieka niebezpieczniejszą mi jest od wszelkiego niebezpieczeństwa.

— *Pardon, mademoiselle!* — zawołał, bełkocząc skonfundowany. — Obawiałem się wypadku... Noc tak ciemna, a droga taka śliska...

— Istotnie, że na śliskiej jesteśmy drodze, ha! ha! ha! — zawołała wesoło i tonem w którym niebyło czuć zagniewania. — Powinnam była pomyśleć o tem niebezpieczeństwie... ha! ha! ha!

— Mogę panią zapewnić, — rzekł, ośmielając się pan Bronisław, — że największe niebezpieczeństwo grozi raczej mnie.

— Ha! ha! ha! *Vraiment? vous croyez?* -- No powiedz pan! w jaki sposób, panie opiekunie?

— *Mais... mais... mais...* to się przecież samo z siebie rozumie.

— Ha! ha! ha! samo się rozumie, powiadasz

pan? — ciągnęła dalej nieubłagane; lubując się jego zakłopotaniem. — Jak się to samo z siebie rozumie?

— No tak po prostu, że mi się pani podoba... że pani sprzyjam... że... że... że...

— No co — że?...

— Że panią kocham.

— Ha! ha! ha! *allez donc!*... Tak nagle?.. Szkoda, że niema świecy, abym mogła się przypatrzeć, jak pan to mówi, ha! ha! ha!

— Mówię szczerze, — odparł nasz bohater. — Daję pani na to słowo honoru.

— Wierzę Panu! W tej chwili tak pan myślisz... Jesteśmy z sobą sami, siedzimy tak blisko, rozmawiamy z sobą poufale, więc też w tej chwili niema dla pana prócz mnie innej kobiety na świecie.

— Ręczę pani...

— Nie ręcz pan za siebie... Człowiek nigdy za nic ręczyć nie może... Ja sama za siebie nie ręczę.

— Ach, jakaż pani niedowierzająca!

— Bom widziała już wiele, i znam świat i ludzi... Młody pan jesteś i żywy, a widzisz, że ci sprzyjam... Nic więc dziwnego, że chwilowo mogłeś uczuć pociąg jakiś serdeczny... Ale uczucie to nie ma głębi, i mieć jej nie może... Więc też nie miałabym żalu do pana, gdybyś wytrzeźwiony, spostrzegł, żeś się lu-

dził, i cofnął jutro również szczerze to słowo, jak szczerze je dziś wymówiłeś.

— Ależ, pani!

— Nie przerywaj pan!... Mówię otwarcie, bo jestem zawsze szczerą, i mam serdeczną przyjaźń dla pana... Co do mnie, wyszłam już z lat pensyonarskich, kiedy się to marzy o wulkanicznych uczuciach... Stałam się praktyczną, i nie wymagam niemożliwości... Mam majątek, który przy dobrym zarządzie ładne mógłby przynosić dochody... Świat mnie już znudził, i nie tęsknię do jego uciechy... Pragnę spokoju i wygodnego bytu, do jakiego przy majątku moim mam prawo;—nic więcej!.. Serce i rękę oddałabym mężczyźnie, któryby mi się podobał, miał ładne imię, a pracą swoją i energią mógł mi zapewnić spokój i wygodę... Byłoby to więc po prostu rozumowe, konwensyjne małżeństwo, jakkolwiekby wcale nie wymagała majątku od tego, któryby został mym mężem... Poślubiając mnie, znalazłby u mnie pole do pracy, samodzielność i byt dostatni, o ileby go energią swą i pracą dostatnim uczynił... Byłoby to zastosowanie nowych zasad ekonomicznych: połączenie pracy z kapitałem!.. Niktby tu nie był wyzyskanym, nikt upokorzonym, bo każdy wniósłby ze swej strony równą część do spółki... Oddałabym nadto mężowi moje koligacje, stosunki, a wre-

szcie i serce, które nie jest wcale najgorszą częścią mojego wiana... Oto jest to, co bym przyniosła mężowi, i czego bym od niego żądała!... Widzisz pan, że mówię jasno i otwarcie, tak jak kupiec, przystępujący do interesu... Gdybyś pan uznał dogodność tych warunków, — moglibyśmy o tem pomówić innym razem.

Zgłupiał. Nie słyszał nigdy kobiety mówiącej w taki sposób. Słowa jej ostre jak brzytwa, a zimne jak lód, otrzeźwiły go z chwilowego zapomnienia. A jednak to, co powiedziała, było tak rozsądnem, tak trzeźwem, tak uczciwem, że mu zaimponowała ta kobieta, rachująca tak jak bankier, a przemawiająca tak jak lekarz lub adwokat, gdy rozpatrują sprawy trzecich, dla innych może zajmujące, lecz dla nich zupełnie obojętne. Miał to wrażenie, jak gdyby mu skalpelem przejechała po duszy. Czuł się wobec niej upokorzonym, małym i bezwładnym. A jednak zaimponowała mu; nie mógł jej odmówić szacunku.

Jechali chwilę, milcząc. Aliści panna Aurelia zbyt sprytną była, aby swego towarzysza czas dłuższy pozostawić pod wrażeniem zimnego tuszu, którym oblała zapęd jego chwilowy, dorywczy i niemal bezwiedny. Swobodna więc i wesoła, tak jak gdyby nic nie zaszło pomiędzy nimi, rozpoczęła po chwili o-

bojętną rozmowę, którą jednak niebawem umiała ożywić dowcipem swym i wesołością. Niewychodząc z podziwu, odpowiadał bohater nasz z razu leniwie, i niemal machinalnie, — wkrótce jednak ożywiły go wesołość jej i swoboda. Gwarząc i śmiejąc się, minęli roгатkę, gdzie im temat do żartobliwych dowcipów nastęrczyło zapytanie strażnika: ażali nie wiozą jakiej kontrabandy, i wjechali do miasta, pędząc z góry jak szaleńcy, lub zbiegi, szeroką gazowemi rewerberami oświetloną ulicą.

ROZDZIAŁ V.

Jako panna Aurelia poznała wrodzone zdolności pana Bronisława, i jakie na tem oparła rachuby.

Szósta biła na zegarze ratuszowej wieży, gdy wjechali w bramę jednego ze wspanialszych domów przy Jagiellońskiej ulicy. W domu tym zajmowała hrabina Porajowa obszernie pierwszopiętrowe mieszkanie. Panna Aurelia zajeżdżała tam zawsze, ilekroć przybywała do Lwowa, zaproszona raz na zawsze przez krewną, która dla niej w swoim mieszkaniu na ten wypadek dwa obszernie w ciągłym pogotowiu utrzymywała pokoje. Pan Bronisław zeskoczył z kozła i podał rękę naszej bohaterce, która wysiadłszy, podziękowała mu wdzięcznym skinieniem głowy, i serdecznym dłoni uściskiem. Zbudzony ze snu Maciek wraz z odźwiernym, wyjęli w mgnieniu oka z sanek walizę naszej podróźnej, po którą już przybyła służba hrabiny, przywołana dzwonkiem odźwiernego.

— Pani hrabina w domu? — zapytała wesoło panna Aurelia ufraczonego kamerdynera, który ją witał niskim ukłonem.

— W domu, jaśnie pani.

— Ach! jak to dobrze, — rzekła wbiegając, na stopnie, prowadzące do drzwi szklanych, zamykających wschodową klatkę.

— *Adieu, mademoiselle!* — zawołał za nią nasz bohater.

Zatrzymała się zdziwiona.

— Jakto, pan nie idziesz ze mną?.. Przecież trzeba, żebyś się pan ogrzał troszkę... Chodź pan każę nastawić samowar.

— Dziękuję pani serdecznie.... Nie jest mi zimno.

— Ależ chodź pan!.. Jakżeby to wyglądało?

— Nie jestem ubrany!

— *La grande affaire!*... Jesteś pan w podróży... Przecież nie mogę pana tak odprawić jak pocztyliona, ha! ha! ha!... No, *venez donc*, bez ceremonii!... Nie chciałabym, żebyś się pan źle cioci zaprezentował.

Pan Bronisław zrzucił futro, kazał Maćkowi odprowadzić konie do hotelu, i podawszy rękę swej towarzyszce, pośpieszył razem z nią do mieszkania hrabiny. Niezatrzymując się w przedpokoju, gdzie czekał sążnisty drab

w liberyi celem zapowiadania przybywających gości, przebiegli szereg mdlawo lampami oświetlonych pokojów, i wpadli jak burza do salonu, gdzie w zimie zwykle spędzała hrabina poobiednie godziny.

Wielka, abażurem przyémiona lampa oświetlała chorym swym blaskiem ten przybytek, którego ciemne draperye i tapety, ponure czyniły wrażenie. Ścianę naprzeciwko drzwi ozdobiło kilka religijnych obrazów, oprawionych w rzeźbione z drzewa dębowego ramy, oraz olbrzymi hebanowy krucyfiks, na którym wisiał ze spuszczoną na piersi głową przecudny Chrystus ze słoniowej kości,—prawdziwe arcydzieło starego włoskiego rzeźbiarstwa, a spadek familijny po jednym z Porajów, który umarł biskupem. W jednym z rogów pokoju stał wielki dębowy, granatowym aksamitem wybity klęcznik, wraz z ołtarzykiem, przed którym płonęła lampa. Duży ten pokój wydawał się niemal pustym, tak mało w nim było mebli; jedynie tuż przy kominku, koło stoła, na którym stała lampa, kupiło się kilka staroświeckich fotelów oraz wygodny, safianem wybity szeslong. Na szeslongu tym spoczywała hrabina.

Całość tego umeblowania robiła wrażenie posępne, klasztorne i niemal ascetyczne. Żadna złocona listewka, żaden bronz, nie wrzu-

cały wesołej swej nuty w tę popielcową symfonię. Czuć było, że tam mieszkać musi stara, skostniała, a dumna i bezmiłosna dewotka. Wchodzący odnosił wrażenie, że się weszło do zimnej jakiejś i pustej kaplicy;—przyjemne jedynie ciepło, które rozlewał płomień palącego się ognia, i miękkość dywanu, którym wybita była posadzka, łagodziły to przykre wrażenie.

Hrabina była wdową. Córka bogatego hreczkosieja, który się na gorzelni i wołach milionowej dorobił fortuny, wydaną została w dziewiętnastym roku życia za hrabiego Poraję, hulaszczego i lekkomyślnego kawalera, posiadającego wprawdzie ładny, lecz mocno zadłużony majątek. Hrabia był typem galicyjskiego szlachcica z czasów pańszczyzny i obroków. Serce złote, lecz głowa nietęga, a natura żądna życia i użycia;—jadł, pił, hulał z bracią szlachtą po jarmarkach, handlował konikami, polował i grał w karty, podejmując gościnnie w zamku swym każdego, kto go raczył odwiedzić, a mało sobie waząc tytuł hrabiowski, który został dany Porajom z powodu jakiegoś tam drażkowego kasztelana, uświetniającego niezbyt w senatorów obfite genealogiczne ich drzewo. Za to młodej hrabinie, której, jako córce dorobkiewicza, wielce imponowała hrabiowska korona, zajechało pań-

stwo furą siana do głowy. Postanowiła podnieść chwilowo przyćmioną świetność rodu Porajów, i zreformować tryb życia swego małżonka, który zdaniem jej, popularyzując się zbyt, nie odgrywał skutkiem tego onej w społeczeństwie roli, do jakiej go uprawniały: nazwisko, tytuł, koligacye i majątek.

Udało się jej to na razie i częściowo. Zakochany w młodej swej małżonce hrabia porzucił na czas jakiś jarmarczne hulanki, wymykając się tylko kiedy niekiedy i cichaczem z domu na partyjkę do któregoś z dawnych swych towarzyszków. Nejtyczanki i węgierskie wózki przestały zajeżdżać do sosnowieckiego zamku, — tak się nazywała rezydencya hrabiego. Na dziedzińcu nie rozlegał się już huk strzałów pistoletowych i trzask czterokonných biczków. Rozproszoną po komnatach uprzęż przeniesiono do masztarni, — broń, która niegdyś wszystkie zalegała kąty, złożono w zbrojowni, podziurawione od kul pistoletowych ściany, zatynkowano i oblepiono tapetami, — w przedpokoju wreszcie osadzono draba w liberyi, którego zadaniem było zatrzymywać przybywających gości, wypytywać ich o nazwisko, cel przybycia, i zdawać państwu sprawę z otrzymanych odpowiedzi. Rzecz naturalna, że dom tak utrzymywany mi-jać poczęło myśliwskie hrabiego towarzystwo.

Tak trwało lat kilka. Alisci natura ciągnie wilka zawsze do lasu, i hrabia, przykrzywszy sobie te pańskie nudy, począł coraz częściej wymykać się z domu na jarmarki, i coraz liczniejsze ztamtąd, a coraz hałaśliwsze do zamku ściągać towarzystwo. Zniecierpliwiona hrabina opuściła dom mężowski, chcąc uchronić podrastające dzieci od gorszącego przykładu. Lato spędzała we własnych dobrach, których zarząd odebrała mężowi, zimę zaś dla wychowania dzieci we Lwowie, gdzie — dzięki tytułowi i koligacyom męża, — liczne zawiązała stosunki, a otoczywszy się aureolą pobożności i cnotliwości, dominujące w tamtejszej śmietance zajęła stanowisko. Atoli pobożność ta i świątobliwość zewnętrzną tylko była i wielkoświatową. Chodziło o uzyskanie miru w pobożnych arystokratycznych kołach, o prawo obywatelstwa w sferach modnej świątobliwości, o rozgłos, jaki nadaje praktykowanie umundurowanego miłosierdzia, — o ugarniowanie wreszcie salonu fioletami prałatów, oraz czarnemi sutannami modnych spowiedników i kaznodziejów. W gruncie rzeczy była to natura pospolita, umysł jedynie podszeptom pychy dostępny. W jałowej tej i bezmiłosnej duszy zamieniła się religijność w ocet zjadliwy, objawiając się przeważnie surowością sądu o ludziach i

rzeczach, a bezlitosnem potępianiem wszelkiej ludzkiej słabości.

W onym to czasie umarł ojciec panny Aurelii, i hrabina, która przez matkę swą z Niedogdzkimi była spokrewnioną, przygarnęła opuszczoną sierotę, — z początku dlatego jeno, ażeby tym czynem miłosiernym pozyskać poklask świata, i zatkać usta ubogim swym macierzyńskim krewnym, którym wzbronionym był wstęp do domu hrabiny, i którzy, mszcząc się swego upokorzenia, zbyt głośno narzekali na jej bezlitośność i pychę. Obie te natury pospolite przypadły jednak niebawem do siebie. Młoda dziewczynka, przyuczona do pochlebstw, w czasie gdy się przymilać musiała kupcom, żądając dla ojca kredytu, znalazła wkrótce łaskę w oczach dumnej hrabiny. Protektorka odczuła w pupilce swojej pokrewną duszę, ożywioną temi samemi ambitnemi instynktami, powodującą się tymże samym samolubstwem, i kroczącą z tąż samą bezwzględnością do zamierzonego celu. Hrabina przywiązała się do tego sobowtóra, i zajęła się wychowaniem panny Aurelii, które jeno wydoskonalilo i wygładziło zbytnią szorstkość wad jej charakteru. Uporządkowawszy następnie, zaniebane jej majątkowe interesa, wywiozła ją wraz z synami dla ukończenia wychowania, i obycia się w

świecie, za granicę, sądząc, iż tamże pomiędzy wielkoświatowymi kawalerami łatwiej znajdzie męża dla swej wychowanicy.—Należy oddać słuszość pannie Aurelii, iż wdzięczną była swojej dobrodziejce za tę opiekę nad wszystkie wyrazy. Kochała ją, ubóstwiała nawet, podziwiając jej rozum, spryt i energię, i starając się naśladować ją w każdym względzie. Było to jedyne silne i rzetelne uczucie, które w sercu swem żywiła nasza bohaterka.

Po ożenieniu syna, który, nawiasem mówiąc, jako kawaler *comme il faut*, świetną zrobił partyę, i po śmierci męża, osiadła hrabina Porajowa we Lwowie, gdzie utrzymywała jeden z salonów, będących Mekką dla modnie pobożnego świata. Tam się wydawało wyroki, potępiające lub uniewinniające, od których już niebyło apelacyi; tam fabrykowano patenta na cnotę, — tam wreszcie roztrząsano wszelkie sprawy, wchodzące w zakres bieżącej kroniki skandalicznej. Prałaci, modni kaznodzieje i spowiednicy, bywali tam codziennymi gośćmi; świat wykwintny przyjmowała hrabina co czwartek, i każdy śpieszył tam, aby obecnością swoją zamanifestować uległość dla groźnej fabrykantki pobożnej opinii.

Hrabina spoczywała, jak wiemy, na szeslongu przy płonącym kominku, w chwili

przybycia naszych pederóżnych. Gustowny ekranik oddzielał ją od buchającego żarem ogniska. Była to osoba, lat może sześćdziesięciu, wzrostu słusznego, a kształtów ciała pełnych i okrągłych. Rysy twarzy miała ostre, i jak gdyby nożem w drzewie wycięte, cerę mocno rumianą i czerstwą, a wyraz twarzy pospolity. Istniało między nią a panną Aurelią pewne familijne podobieństwo. Miała te same przenikliwe i sprytne maysie oczy, i także same ironiczne wolterowskie usta. Tylko szeroka jej kwadratowo wykrojona broda, dzikszą i bardziej zwierzęcą znamionowały energię, a uśmiech, igrający około jej ust, zdradzał pewność siebie onej dumy, która już doszła do celu, i osiągnęła zadowolenie. Spojrzenie jej było zimnem jak ostrze sztyletu, a uśmiech jej miał coś jadowitego, i odstraszał wtedy właśnie, kiedy chciała być przyjemną. Od śmierci męża nie zrzucała hrabina żaloby. Otulona w tumakową *frileuse*, leżała, wspierając się na miękkiej haftowanej poduszce. Siedząca przy lampie lektorka czytała jej „Życie Chrystusa“ przez Veuillot'a.

— Ciociu, cioteczko!—zawołała panna Aurelia, przyklękawszy i ująwszy obie jej ręce, na które gorące kładła pocałunki.—Niech cioteczka patrzy, z kim przyjeżdżam.

-- Ach, pan Bronisław Żymirski,—odparła Hrabina, podnosząc głowę, i przypatrując się ze zdziwieniem i niechęcią myśliwskiemu ubraniu naszego bohatera.

— Tak jest, pan Bronisław Żymirski, który mnie dzisiaj dwa razy ocalił: raz od głodowej śmierci, a drugi raz od przymusowej kwarantanny w brudnej żydowskiej karczmie... Niechże mu ciocia za to podziękuje.

— Nic nie rozumiem,—odparła wzruszając ramionami Hrabina.—ale na twoją odpowiedzialność gotowam dziękować... *Soyez le bien venu, Monsieur*,—dodała, podając mu rękę protekcyjonalnie i dłonią na dół, z wyraźną wskazówką, żeby ucałował, czego też nasz parafianin uczynić nieomieszkał.—Siadajcież państwo i powiedźcie, co mi sprowadza przyjemność, że razem was oglądam?

— Awantury arabskie! — zawołała panna Aurelia, która, zrzuciwszy przy pomocy lektorki, futro i szal podróżny, usiadła obok ciotki na szeslongu, i ujęła, pieszcząc jej rękę.—Bajki z tysiąca i jednej nocy, tyle tylko, że prawdziwe!... Niech ciocia posłucha... Natychmiast po otrzymaniu ciocinego listu, wybrałam się w drogę, jak roztrzepanica... To ciocia temu winna, bo mnie zepsuła swoją dobrocią i troskliwością, a teraz stałam się nieprakty-

czną i nie umiem sobie w niczem poradzić... Ach, jak to dobrze było, gdy ciocia myślała o wszystkim i za wszystkich!... Nie potrzebowałam się o nic troszczyć... A teraz spadło mi na głowę gospodarstwo, do któregooby męskiej lub ciocinej potrzeba głowy, i trudy, i kłopoty!... Głowa mi pęka! Z niczem sobie sama rady dać nie umiem, a co tylko zarządzę, to zawsze tak, jakby kula w płot.

— Hm,—pomyślała Hrabina,—dokąd też ona zmierza z tą przedmową?

— Więc wybrałam się w drogę karetą i czterema końmi, niewziąwszy z sobą żadnego posiłku. Jechałam szkaradnie, bo droga pod sanie wyborna, ale przykra dla ciężkiego powozu. Wlokąc się, jak gdyby z garnkami, dojechałam wreszcie do brudnej Dubeltówki. Konie się pomęczyły, jam zziębła i zgłodniała, a tu niebyło co jeść. Szczęściem spotkałam tam pana Bronisława, który, rozumniejszy i praktyczniejszy odemnie, zaopatrzył się we Lwowie w herbatę, cukier, bułki, szynkę, jaja, masło, filiżanki, szklanki, talerze, samowar,—no, jednym słowem we wszystko, czego potrzeba, aby się posilić, i posilić wygodnie, tak jakby się niebyło na popasie... Ach, ciociu, ciociu, jakże zazdroszczę panu Bronisławowi tej przezorności i zapobiegliwości!...

Teraz dopiero wiem, jakim nieocenionym przymiotem jest praktyczność!..

— W istocie,—rzekła Hrabina sentencyonalnie,—praktycznością podwoić można majątek, podczas gdy niepraktyczni tracić tylko umieją.

— O, z pewnością!—zawołała żywo paana Aurelia. — Praktyczność więcej znaczy, niż Bóg wie, jaka fortuna... Ale wróćmy do rzeczy. Otóż *figurez vous, chère tante*, że pan Bronisław z przywiezionych ze Lwowa wiktuałów wyprawił mi lukulusowską ucztę.. Jak żyję, nie jadłam tak doskonałej jajecznicy z szynką, jak ta, którą przyrządził.

— Jakto, sam?

— Sam, własnymi rękami... *Oh, c'est un artiste, un cordon bleu!*

— Ależ pani w łasce swej przesadza!—rzekł, śmiejąc się, nasz bohater. — Była pani głodną, i dlatego tak pani smakowało.

— Nie, nie, nie, nie, nie!... To był półmisek królewski!... A największa wdzięczność należy się panu za to, żeś z siebie zrobił ofiarę, i sam będąc głodnym, odstąpił mi swoje śniadanie.

— Ależ mówiłem pani, że to nie ofiara... Zresztą znalazłem w karczmie posiłek, którym powetowałem mniemany uszczerbek.

— Tak, kieliszek chłopskiej wódki, chleb razowy, i nieprzyprawionego śledzia!...

I dalej opowiadała przygody dnia dzisiejszego, wychwalając uprzejmość, praktyczność i energię naszego bohatera, a szydząc z własnej nieporadności.

— Hm, — pomyślała Hrabina — miałażby ona zamiary jakie co do tego ruralisa?... W istocie byłaby to dla niej w dzisiejszych jej warunkach świetna partya... Ale cóż na to powiedzą Żymirscy? Co przedewszystkiem powie Józia, która polecając mi tego gagatka, wyraża się w swym liście tak, jak gdyby się spodziewała dla niego conajmniej arcyksiężniczki... Ach! ba, od czegoż jest spryt? Od czegoż moje w świecie znaczenie? od czegoż stesunki?

I, przymusiwszy usta swe do słodziutkiego uśmiechu, zaczęła rozmawiać z naszym bohaterem uprzejmie i łaskawie, wypytyując go o tę kochaną Józję, „którą codziennie wspomina,“ i nazywając go od tej chwili „Bronciem“ i „kochanym“ z tytułu dawnej znajomości, i wielkiej dla matki jego przyjaźni. Bohater nasz miał nadto taktu, aby zbyt długo przeciągnąć tę przypadkową wizytę. Jakkolwiek więc Hrabina dlań coraz serdeczniejszą się stawała, pożegnał obie panie natychmiast po wypiciu podanej dla podróżnych herbaty.

— Przyjdź do nas jutro, Bronciu!... Jesteś zawsze miłym gościem w moim domu,—rzekła Hrabina, ściskając mu dłoń przyjaźnie.

— Umiem ocenić łaskę pani hrabiny.

— Tak, tak, niech pan przyjdzie jutro, bez ceremonii, gdy pan nie będziesz miał nic lepszego do roboty,—dodała z uprzejmym uśmiechem panna Aurelia. — Polecam opiece pańskiej powóz mój i konie, skoro powrócą do Lwowa.. Wszak pan mi tego nie odmówisz?... Zresztą konie moje będą stały również u Żorża.

— Ależ oczywiście; zajmę się nimi, jaki własnym dobytkiem.

— No, więc do jutra!... Nie wyjdę nigdzie wieczorem,—dodała, odprowadzając go do drzwi.

— Do widzenia!

— Do widzenia!

I uścisnęli sobie ręce, jak dwaj serdeczni przyjaciele.

— Ty go kochasz?—zapytała hrabina pannę Aurelię po odejściu naszego bohatera.

— *Quelle idée!* Jaby miała kochać takiego grubopłaskiego parafianina? ha, ha, ha!... Jak ciocia może przypuścić coś takiego, znając mnie tak doskonale?

— No, ale masz, co do niego, jakieś zamiary? — rzekła, śmiejąc się, hrabina.—Przecież

nie bez kozery chwaliłaś tak praktyczność jego przedemną!... Chodziło ci o to, abym była dla niego uprzejmą.

— Ach! jaki ciocia ma spryt ogromny!... Ciocia mnie zrozumiała odrazu... Jestem cioci wdzięczną niezmiernie.

— No więc masz zamiary?

— Oczywiście!

— Jakie?

— Będzie moim mężem.

— Czy ci się oświadczył?

Machnęła ręką.

— Prawie!... Ale ja nie przykładam żadnej wagi do takich dorywczych wybuchów.

— No, więc jak?

— Będzie moim mężem, bo ja tak chcę.

— A więc jesteś nim przecie zajęta?

— Ani troszeczkę... Chcę, aby został moim mężem, bo sobie rady z gospodarstwem dać nie mogę... Ma piękne nazwisko, jest porządnym, praktycznym, energicznym... W dzisiejszych moich warunkach mogę to nazwać dobrą partją. *Un faute de mieux, voilà tout!*

Zachwycone sobą wzajemnie, padły sobie w objęcia, nauczycielka i wychowanica.

— Ale, — rzekła nagle hrabina, podnosząc głowę, — nie znamy go jeszcze bliżej, nie wiemy, co to za człowiek!... Powiadasz, że będzie pracował; lecz czy zechce?

— Będzie musiał.

— Ale czy potrafi?

— Nauczy się.

— Ach! moja droga!.. Widzisz wszystko w tak różowych kolorach. Potrzeba rzecz pierwszej zbadać, potrzebaby go poznać bliżej... Jakież możesz mieć gwarancje szczęścia w tym związku?

— Będę z nim tak szczęśliwą, jak...

— Jak?...

— Jak szczęśliwą była ciocia z wujaszkiem.

— Ba,—odparła hrabina. — Mąż mój miał tytuł,—zadłużony wprawdzie, lecz wielki majątek,—i słaby charakter, którym można było powodować...

— On nie ma wprawdzie tytułu, ale ma piękne nazwisko; a co do charakteru, — słuchać będzie, kto słabszy, a panować, kto mocniejszy... Zresztą mam przykład cioci,—dodała z brzydkim uśmiechem,—potrafię go naśladować!...

— Ach! gdyby nie był taki goły!

— Nie jest on tak bardzo goły, jak się wydaje... Rodzice jego mają znaczny majątek...

— Ba!.. Józia mi pisała, że stary Żymirski nie chce nic z rąk wypuścić..

— To już do nas będzie należało!...

— Jakto?... Czyż sądzisz, żeby zdołał!...

— Sprytny jest, próżny, energiczny, a żą-

dny użycia... Człowiek taki, pod kierunkiem wszystko zrobić potrafi...

Hrabina zamysliła się głęboko.

— Hm! — rzekła po chwili, — masz rację... Wprawdzie innej się dla ciebie spodziewałam partyi, ale i ta nie jest tak złą, jakby się wydawało... Trzeba tylko rozumnie rzecz poprowadzić, a w tej mierze można już polegać na twej główce... Przecież się z nim nie zaryzykowała?...

— *Quelle idée!*... To właśnie on jest w mojem ręku...

— Tak?...

— Musi zrobić, co zechcę. — powiedziała czyniąc ręką ruch energiczny, — bo inaczej go zdruzgocę...

Hrabina patrzyła z dumą i zadowoleniem na swą uczennicę.

— Dobrze jest, że jutro tu przyjdzie... Zobaczymy, czy będzie się umiał zastosować do naszego towarzystwa.

— Ani wątpię o tem.. Ma dużo wrodzonego sprytu; brak mu tylko ogłady i rutyny... Surowy to jeszcze materiał, ale dobry...

— W każdym razie napiszę do Tola, żeby przyszedł jutro na herbatę i starał się go wybadać.

Panna Aurelia wzruszyła nieznacznie ramionami.

— *Bonne nuit, chère tante!* — rzekła, całując rękę hrabiny.

— Dobranoc ci, moje dziecko! — odparła hrabina, całując ją i robiąc krzyż nad jej czołem. — Niech Bóg błogosławi twoim zamiarom!...

VI.

Jako pan Bronisław, wlaższy pomiędzy wrony, krakał odrazu tak jak i one, nauczywszy się od panny Aurelii wroniego języka.

Powróciwszy do hotelu, i niezaniebawszy wpierrw odwiedzić swych koni, a wytargać u-szy Maćkowi, który niewszystko zarządził wedle jego myśli, pośpieszył nasz bohater, nie-przebrawszy się nawet, do jadalnej sali, aby się tam posilić po całodziennym poście. Głodny był jak wilk;—przywołałszy więc garsona, i kazawszy sobie upiec całe prosię, zabrał się do zmiatania przekąsek rozmaitych, ku wielkiemu zdziwieniu restauracyjnej służby, nieprzywykłej widywać gościa, cieszącego się takim apetytem, a zwłaszcza już o tak wczesnej porze. Wyłącznie głodem swym zajęty, nie zważał pan Bronisław wcale na wrażenie, wywołane swoim koncertem. Sala była niemal pusta; — przy jednym tylko stoliku siedziało trzech, już nieco podochoconych ofi-

cerów, popijających szampana, i rozmawiających głośno o zaletach jakiegoś angielskiego folbluta.

Zaspokoiwszy pierwszy głód swój, począł nasz bohater myśleć o zdarzeniach dzisiejszego dnia. Hurtem wzięwszy, uznał że nieprzyjemne mu pozostawiła wspomnienie dziwna jego przygoda. Imponowała mu sprytem swym panna Aurelia, która zdawała się czytać w jego duszy, jak w otwartej księdze, i, lubo pod pozorem życzliwej przyjaźni, tak brutalnie zrywała zasłonę z jego tajemnic. Upokarzała go jej pomoc, narzucona mu tak obcesowo. Wstydziło go to, iż przyjął tę ofiarę z rąk kobiety niemal obcej, a niepokoila myśl, że kobietą ową jest osoba jak się przekonał, tak wielce trzeźwa, praktyczna, i wyrachowana. Czuł, że, przyjąwszy z jej rąk pożyczkę pięciuset guldenów, zaciągnął wobec niej dług, niemal niewypłacalny, i że się oddał w niewolę, a przynajmniej w zawisłość kobiecie, o której bezinteresownej przyjaźni nie miał rzetelnego przekonania. Gniewało go, iż, trawiony żądzą użycia i powrotu do Lwowa, uległ jej namowom. Nie mógł sobie wreszcie wybaczyć, że, uniesiony donżuanowskim jakimś zapędem, dał jej powód do wynurzeń, i uprawnił ją do nadziei, których urzeczywistnienie nie miał w tej chwili najmniejszego zamiaru.

Z drugiej strony pochlebiała próżności zaściankowego donżuana, myśl, iż zrobił wrażenie na tak wykwintnej i wielkoświatowej kobiecie. Ta swobodna poufałość, którą pomiędzy nim a nią, bohaterką europejskich salonów, wytworzyła dzisiejsza przygoda, przyjemnie łechtając jego dumę, a myśl, że go oddana pannie Aurelii przysługa zbliżyła do groźnej hrabiny, dodawała mu wartości we własnych oczach. Z zadowoleniem przypominał sobie, jak mu nowa jego przyjaciółka dłoń ścisnęła serdecznie, jak, udając niepokój, tuliła się do jego piersi. W uszach mu brzmiały jej przyjazne wyrazy,—w oczach mu stały jej cukrowe uśmiechy i zalotne spojrzenia. I wmawiał w siebie, że wszystko to nie było z góry obmyśloną i obliczoną grą kokietki, lecz oczywistym objawem nieświadomego może siebie jeszcze, lecz tkliwego i głębokiego uczucia. Tak tedy z jednej strony przygnębiony wspomnieniami dzisiejszego dnia, czerpał pan Bronisław pewne z drugiej strony w nich zadowolenie, które od czasu do czasu wywoływało na jego usta uśmiech tryumfujący.

Wtem otworzyły się szklane drzwi przyległego pokoju, i ze szkiełki w oku, a fantazją w każdym ruchu, wszedł do jadalnej sali jeden z kasynowych filarów: hrabia Józef

Przedrzymirski, główny aranżer przyszłego kawalerskiego balu.

— Jak się masz, Bronciu!... *Bon jour!*—zawołał odedrzwi, spostrzegłszy naszego bohatera. — A mówili w kasynie, żeś wyjechał ze Lwowa, zgrawszy się do Kocubejowicza, i że już nie powrócisz na nasz bal.

Bohater nasz zarumienił się po same uszy.

— *Quelle idée!* — zaprzeczył, śmiejąc się.— Przegrałem kilkaset reńskich, ale nie miałem zamiaru opuszczać Lwowa przed końcem karnawału.

Hrabia spojrział na jego strój myśliwski.

— Wyjeżdżałem na wieś,—ciągnął dalej pan Bronisław, który pochwyił, i zrozumiał to spojrzenie,—bo miałem ważny i pilny interes. Jednakże udało mi się go śpiesznie załatwić, i oto właśnie powracam.

— Hm, tak! To dobrze!... No, patrz co to ludzie zmyślają!... To strach, co to za plotkarskie gniazdo ten Lwów... Dziura, która udaje stolicę!... *Garçon!* co tam jest do zjedzenia?

— Co pan hrabia rozkaże?

— Coś lekkiego!

— Może być salmi z jarząbka...

— No, to daj mi salmi z jarząbka, i wina!.. Co ty pijesz, Bronciu?

— Ja, dotychczas nic, ale miałem zamiar kazać dać butelkę szampana.

— No, to dobrze,—rzekł hrabia, zwracając się do garsona.—Przynies mi salmi z jarzabka, i wstaw do lodu *Cristal-Roederera*, tego, co zwykle pijam... To pan Żymirski płaci!

— Uf!—ciągnął dalej, zdejmując rękawiczki.—Zmęczony jestem, jak koń fiakerski... Ty-le mam korowodu z tym balem, że to strach... *A propos*, czy się zapisałeś?

— Nie jeszcze!... Nie wiedziałem, czy wrócić potrafię.

— No, ale będziesz?

— Oczywiście!... Mam nawet już zaangażowane tańce.

— Zapisać cię?—pytał dalej hrabia, wyciągając listę z kieszeni.

— Proszę cię.

— Płacisz oczywiście zaraz!

— I owszem, — rzekł nasz bohater, dobywając setkę z pugilaresu, w którego wnętrze nie zaniedbał hrabia rzucić ciekawego spojrzenia. — Zdaje mi się, że tyle składka wynosi?...

— Tak jest, właśnie tyle!... Ale za to będziemy mieli balik, co się nazywa... Nie uwierzysz, ile mnie to kosztowało bieganiny... Uf, nóg już dziś nie czuję... *Ma foi*, nie wiem co to będzie, jak przyjdzie tańce aranżować.

Wtem przyniesiono salmi z jarzabka na małym talerzu, i na olbrzymim półmisku pieczone prosię, którego skórka rumiana i świecąca miała barwę przydymionego złota. Hrabia spojrział na naszego bohatera okiem, w którym się malowała ciekawość i podziwienie.

— Masz niezły jak widzę apetyt, — rzekł uśmiechając się ironicznie.

— Ba, — odparł jowialnie nasz bohater. — Cały dzień nic nie jadłem w podróży.

— Dopiero teraz przyjechałeś?

— Przed trzema godzinami!... Punkt o godzinie szóstej!.. Ale musiałem wstąpić do hrabiny Porajowej.

Hrabia spojrział zaciekawionym wzrokiem.

— W tem ubraniu?

— A jakże!... Miałem pilny interes, — odparł pan Bronisław, którego uwagi nie uszło wrażenie, jakie na jego towarzyszu wywarła ta wiadomość.

— Czy znasz ją bliżej?

— Od dzieciństwa!... Jest najlepszą przyjaciółką mojej matki, — przytem zaszczyca i mnie życzliwemi względami, za co jej bardzo wdzięczny jestem.

— Hm! W takim razie masz dobre plecy, ale ci ich nie zazdroścę.

— Dla czego?—spytał pan Bronisław ciekawie.

— Bo Porajowa należy do tych osób, które chętnie omijam... Jeżeli ci rzetelnie sprzyja... ale na to potrzeba, abyś jej zapisał duszę!... w tym razie możesz na jej protekcyi zrobić interes... Nikt tu we Lwowie nie może być młodemu człowiekowi pomocniejszym do zrobienia kariery, bo nikt nie posiada tyle sprytu, tyle energii, i tyle bezwzględności, co ona... Ale gdybyś się jej kiedy naraził, toś przepadł, kochanku, jak ruda mysz... Najbezpieczniej jest stać zdaleka od osób tego rodzaju...

Dreszcz zimny przeszedł po skórze naszego bohatera.

— Czy ma hrabina jakie, co do ciebie, zamiary?—ciągnął dalej hrabia niedbale.

— Nie... To jest, nie wiem!... Ale gdzież tam!... Jest poprostu przyjaciółką mojej matki, i z tego powodu mi sprzyja,—bełkotał pan Bronisław, widocznie zmięszany.

— *Au fait* co mnie to obchodzi?... Już i tak może za nadto wiele ci powiedziałem.

Na takie *dictum acerbum* stracił nasz bohater resztę apetytu. To prawda, że zjadł już był połowę niemal prosięcia, zmiotłszy poprzędnie, i na poczekaniu dwa talerze rozmaitych przekąsek. Kazał więc podać *giardinetto*, zło-

żone z owoców, ciast i *strachina*, które spożyli obaj towarzysze, popijając szampana, i rozmawiając o dalszych karnawałowych widowiskach. Około jedenastej rozeszli się wreszcie po czarnej kawie i koniaku. Hrabia pospieszył do kasyna,—bohater nasz zaś udał się na spoczynek, przygnębiony wielce wrażeniami dnia.—Zadowolenie, które mu sprawiała niedawno temu próżność jego, rozwiały słowa, wypowiedziane przez jego towarzysza. Czuł nad sobą jakąś niewidzialną rękę, trzymającą nic jego losów, a poczucie to napełniało go niepokojem. Widział, że się postawił w położeniu, z którego niema wyjścia. Czuł, że, przyjmując pewne zobowiązania wobec panny Aurelii i jej ciotki, stał się bezwolnem narzędziem w ręku kobiet, które nie przebierają w środkach, gdy im chodzi o dopięcie zamierzonego celu, i które gotowe są zmiążdżyć go, w razie gdyby stanął oporem ich woli. Czarne te myśli, oraz zbyt suta kolacya, długo nie dawały zasnąć naszemu parafianinowi.

Panna Aurelia łudziła się, niezdając sobie sprawy rzetelnej z uczucia, które miała dla pana Bronisława. Myśl o nim nie dawała jej również zasnąć długie godziny. Nie kochała go wprawdzie jeszcze, ale była nim mocno zajęta, tak jak zajęty jest jakąś niezwykłą zwierzyną, którą stropił w kniei, i zewsząd

sieciami edcina zamiłowany myśliwy, rozmyślający bez przerwy, co też należy uczynić, ażeby sobie na wszelki wypadek zabezpieczyć powodzenie upatrzonego połowu. Myśl ta poczęła jednak rozmarzać ją powoli, malując oczom jej obrazy, zaostarzające pożądlivość jej, i nadające jej coraz bardziej zmysłową cechę. Co chwila, stawał jej przed oczyma zamaszysty parafricanin, ze swym otyłym karkiem i rumianemi policzkami. Widziała go, krzątającego się przy ognisku gospodnej izby w swem opiętem strzeleckiem ubraniu, z którego szwów tryskać się zdawały męska siła, i czerstwe, rubaszne zdrowie. Porównywała w myślach tego barczystego szlachcica z wielkoświatowymi kawalerami, których widziała w świecie, a porównanie to wypadało na korzyść naszego parafricanina. Zdawało jej się, że od tej brusowatej postaci wieje woń jakaś, której technienie ją upaja, krew jej rozżarza, i zawraca głowę. Spostrzegła, że wzdycha mimowoli, ilekroć myśl swą zwróci ku pięknemu Bronciowi. Wtedy wzruszała niecierpliwie ramionami, i szydziła z własnego dziwactwa.

Dzień następny spędził pan Bronisław w części w kasynie, w części odrabiając wizytową pańszczyznę w domach, gdzie już tańczył lub też spodziewał się jeszcze tańczyć w przeciągu karnawału. Między innymi był u Mu-

szki Zawirskiej, gdzie go przyjęto doskonale, i u Koli Borzyckiej, gdzie, zastawszy Belkę Niedrzycką, która w wybornym była humorze, spędził niemal całą godzinę, bawiąc się znakomicie. Figlarna blondynka kokietowała go widocznie, namawiając, ażeby wieczorem poszedł do teatru, gdzie towarzyszyć musi jakiejs z wsi przybyłej ciotce, i odwiedził ją w loży podczas przedstawienia. Pan Bronisław byłby chętnie uczynił zadość tym zaprosinom, tembardziej że czuł pewną słabość do zalotnej Belki. Niestety, nie rozporządzał już sobą; zaprosiny panny Aurelii i jej ciotki były dlań w warunkach, w których się postawił, niemal rozkazem.

Około godziny ósmej wsiadł więc z westchnieniem do dorożki i kazał się zawieźć do hrabiny Porajowej. Zastał tam dość liczne i ożywione towarzystwo. Był niski i otyły prałat w fioletach, mający również fioletową, apoplektyczną cerę i krótkie, grube, ale białe i pulchniutkie rączki, które bezustannie całowało kilka arystokratycznych dewotek. Był i drugi ksiądz, nadzwyczaj chudy, mający ostre rysy, rzadkie, siwe i długie włosy, cerę twarzy gliniastą i długie, chude, zatabaczone ręce, a stawy u palców, zgrubiałe od reumatyzmów. Oczy jego, jakgdyby przez mgłę patrzące, wyraz cierpienia na chudej, nieogolo-

nej twarzy, a bardziej jeszcze zaniedbanie, w jakim się znajdował czarny habit jego, przypruszony tabaką i świecący się na szwach swych od tłuszczu, wskazywały, że kapłan ten musi być wielce świątobliwą osobą.

Przywitawszy uprzejmie naszego bohatera, przedstawiła go hrabina najprzód duchownym, a potem reszcie towarzystwa. Pan Bronisław ucałował podaną sobie rękę prałata, lecz, spojrzawszy na zatabaczone palce zakonnika, podane mu również do pocałowania, zdębił się nagle, i, odsunawszy rękę księdza, którą już do ust podnosił, uściśnął ją tylko bez wszelkiej oznaki szacunku, za co mu się z oczu hrabiny piorunujące dostało spójrzenie. Przeszyty tym gromem zakłopotał się wielce nasz bohater;—aliści panna Aurelia nie dała mu upaść na duchu, przybywszy mu wczas z pomocą, i zawiązawszy z nim żywą rozmowę, która się niebawem w poufne zamieniła *a parte*.

— Cóż pan zrobił najlepszego?—szepnęła z cicha, przekonawszy się, że towarzystwo zajęte rozmową, słyszeć jej słów nie może.

— Ja, pani? — odparł nasz bohater zdziwiony.

— A pan!... Uściśnąłeś pan rękę księdza Koromesło tak, jakbyście się znali z jarmarku.

— Chciałem pocałować,—rzekł pokornie,—

ale nie mogłem się zdecydować. bo ma palce, brudne od tabaki.

— I cóż ztąd? — odparła, śmiejąc się figlarnie.—To dowodzi, że ten człowiek myśli tylko o zbawieniu duszy, a zapomina wcale o ciele, wyrzekłszy się świata.

— I mydła, — dodał śmiejąc się pan Bronisław, rozweselony jej żartobliwym tonem.

— Mniejsza o to, — ciągnęła dalej. — Trzeba ten błąd naprawić!

— Ależ, pani!...

— Konieczniel... Pan nie wiesz, o co tu chodzi!... To człowiek święty!... Był misjonarzem w Afryce pomiędzy ludożerczymi murzynami...

— I nie zjedli go?

— Podobno że go nadjedli trochę... Resztę zostawili, bo był za chudy... Jeżeli panu wypadnie siedzieć przy nim w czasie herbaty, zacznij pan z nim rozmowę o polowaniu na lwy i tygrysy.

— Nigdy nie polowałem na nie i nie wiem, jak się na nie poluje, bo nie czytałem żadnej podróży.

— To niel... On będzie panu opowiadać bez końca... Był cztery lata w Afryce, i widział jak się to robi... Bardzo miły staruszek... Musisz pan powiedzieć, że to pana jako myślowego bardzo zajmuje, i potem zaraz cmok

w rękę, tak żeby ciocia widziała. . . Pamiętaj pan; *c'est l'essentiel!*

— Będę pamiętał—westchnął pan Bronisław—cóż mam robić?

— Co się tyczy prałata, tego biorę na siebie.

— Czy tego także nadjedli murzyni? — zapytał śmiejąc się.

— *Quelle idée!*... To owszem onby ich pozjadał... Ma dobry apetyt... Powiem mu, jak pan wybornie umiesz przyprawiać jajecznicę .. *Cela vous mettra dans ses petits papiers.*

I, śmiejąc się, rozmawiali tak z sobą dalej ku wielkiemu zdumieniu pana Bronisława, który z jednej strony lubował się jej złośliwym dowcipem, z drugiej nie mógł pojąć tej kobiety, wyszydającej po cichu to, czemu głośno cześć oddawała. Wychowanego w wiejskim szlacheckim dworze, i przyzwyczajonego do przykładu swej rzetelnie pobożnej matki i siostry, zastanawiała, i niemal raziła w ustach kobiety ta zuchwała swoboda, zaostrzona jakąś sceptyczną ironią. Zadawał sobie pytanie, czy też rzeczywistą jest ta pobożność i świątobliwość, tak ostentacyjnie okazywana oczom świata. Niemogąc znaleźć odpowiedzi na to pytanie, wytlómaczył sobie, że takie muszą być zwyczaje w wielkim świecie,—że szczerosć i prostota, do której był przyzw-

czajony w domu, są śmiesznemi parafiańskiemu przymiotami, i że dobry ton polega na tem, ażeby zewnętrznemi oznakami czci i szacunku maskować to, co się czuje w głębi duszy, a zaś poufnie i w skrytości szydzić z tego, czemu się hołd oddaje.

Panna Aurelia nadto miała taktu, aby zbyt długo przeciągnąć to poufne *a parte*. Pouczywszy pana Bronisława krótkimi słowy, jak ma się zachować w tem towarzystwie, i co ma powiedzieć każdemu z gości, których dowcipne i złośliwe mu skreśliła sylwetki, zachęciła go do wzięcia udziału w ogólnej rozmowie, i spróbowaniu lotów swych wedle odebranej wskazówki.

Rozweselony jej dowcipną paplaniną, pochwycił więc nasz bohater najbliższą sposobność do zabrania głosu z wielką swobodą. Rozmawiano właśnie o cudach w Loretto i Rimini. — Pan Bronisław nakręcił zrećźnie rozmowę na ojczyście łaskawe miejsca, a mianowicie na te, które słyną w jego okolicy, i jął prawić z wielkiem namaszczeniem o ich dawniej tak częstych, a obecnie z powodu ludzkiej nieprawości i niewiary, rzadszych już łaskach.

Zrobił doskonale wrażenie! — Arystokratyczne dewotki patrzyły z rozrzewnieniem na pobożnego młodzieńca, a tłusty prałat,

któremu panna Aurelia zachwaliła kulinarne jego talenta, rozpoczął z nim rozmowę, o najlepszym sposobie przyprawiania szynki z dzika. Bohater nasz zachwycił przewielebnego, zwłaszcza gdy, przeszedłszy na inny temat, jął zalecać polędwiczkę z rocznych warchlaków, odgotowaną w białem *Bordeaux*, na wzór białej sztuki mięsa, i podaną z tartym chrzanem, bez żadnej innej przyprawy. Wreszcie, zwalczywszy wstręt swój, zażył pan Bronisław misyonarza, ściśle wedle podanej recepty, która się wielce okazała skuteczną. Otrzymał bowiem uśmiech uprzejmy, i łaskawe spojrzenie od hrabiny, która w głos powiedziała. „*Il est parfaitement bien*“, co też potwierdził fioletowy prałat, i wszystkie czarne i popielate dewotki.

Przed herbatą przyszedł syn gospodyni, hrabia Witold Poraj, który, wychowany przez matkę w próżności, a ożeniony bogato, chorował na magnata, prowadząc na sposób zagraniczny życie nader wystawne, tak w mieście, jak i w dobrach swych na Podolu. Spostrzegłszy swobodę, z jaką się poruszał pan Bronisław, i zauważywszy powodzenie jego debiutu w tem towarzystwie, rozpoczął z nim rozmowę o polowaniu, koniach i wyścigach, którą nieustannie strzepił angielskimi wyrazami: *Hurdle-Race, handicap, canter, walkover, stop,*

broken-dam, manager, condition i t. d. — Konie i polowanie były, jak wiadomo, specjalnością naszego bohatera, który, naśladowując hrabiego, jał również mieszać do rozmowy wszystkie słowa angielskie, jakie kiedykolwiek słyszał w życiu. Wymawiał je oczywiście najdziwaczniej, ale, że hrabia nie znał dokładnie angielskiego języka, i sam nie był pewny swej wymowy, więc mu to uszło wybornie.

Zachwycili się sobą tak dalece, że hrabia zaprosił pana Bronisława do dóbr swych na polowanie *par force*, które zamysła urządzić z „darowanemi mu przez księcia Solms *biglami*, na sprowadzonych z Angli od lorda Lavrance *hunterach*“.

Panna Aurelia zachwycona była swoim uczniem!—Jak troskliwa matka, nie spuszczała zeń oka, śledząc pilnie wszystkie jego kroki, i radując się jego powodzeniem. Od czasu do czasu zwracała się w rozmowie ku niemu, rzucając mu to dowcip jakiś, to znowu słówko zachęty, i starając się wyczytać na jego twarzy, jakie też na nim wrażenie robi to niezwykle dlań towarzystwo?

Wrażenie było jaknajlepszem!—Pan Bronisław miał poczucie swojego tryumfu, i rósł tak, jak ciasto na drożdżach, we własnej opinii. Był wesołym i swobodnym;—rzekłoby się, iż

urodził się w tym świecie, do którego kamer-tonu przy wrodzonym sprycie umiał się do-stroić bez trudności. Lęk, który go ogarniał przed chwilą, rozwiął się był zupełnie, a sło-wa, wyrzeczone wczoraj przez hrabiego Józia, wyszły mu całkiem z pamięci.—O w pół do dwu-nastej rozeszło się towarzystwo,—surowość bowiem kościelnego regulaminu, nie dozwala-ła duchownym, przeciągnąć zabawy poza pół-nocną godzinę.

— *Vous étiez charmant!* — szepnęła panna Aurelia, ściskając mu rękę na odchodnem — prawie namiętnie — *et vous seriez divin*, gdy-byś pan asystował księżom przy wsiadaniu do powozu.

— Biegnę!—zawołał pan Bronisław, śmie-jąc się wesoło.

Nazajutrz przyszły konie panny Aurelii z Dubeltówki. Oglądnąwszy je i zarządziw-szy, co potrzeba, poczuł się nasz bohater do obowiązku zdania sprawy ze swych zarządzeń właścicielce. Zauważywszy, że bohaterka nasza może korzystać z koni i powozu swej ciotki, zaproponował, aby dla oszczędzenia kosztów odesłać konie i ludzi do Olchówki, pozostawiając tylko karete pod dozorem Maćka w hotelowej wozowni. Wniosek ten zyskał ogólne uznanie, i zdobył mu poklask hrabiny, która nie mogła znaleźć słów dosyć

gorących, by pochwalić praktyczność wnioskodawcy. Zatrzymano go znowu na herbacie.

Trzeciego dnia przysłała mu hrabina grzeczny i wonny bilecik, prosząc go, aby się rozmówił z właścicielem domu, w którym mieszkała. Chodziło o jakieś naprawy w stajni, która, jak się pokazało, źle była na zimę zaopatrzona. Zlecenie to mógłby był doskonale wykonać kamerdyner hrabiny, i niepotrzeba było uciekać się aż do grzeczności naszego bohatera. Mimo to trudno było nie uczynić zadość tak uprzejmej proźbie, i zrzec się zaszczytnego zaufania. Pan Bronisław, który miał właśnie zamiar popisać się końmi swemi i sankami na lwowskim *corso*, gdzie się spotkać Belkę Niedrzycką spodziewał, musiał zaniechać tego zamiaru. Pospieszył więc do hrabiny, zarządził, co potrzeba, i poszedł jej zdać sprawę ze swej czynności. Zatrzymano go na obiedzie, a że to był właśnie piątek, więc, aby go ochronić od możliwego złamania postu w restauracyi, zaproszono go raz na zawsze na piątkowe obiady. Czwartego dnia spotkał na ulicy ciotkę panny Aurelii, powracającą z kościoła piechotą. Szła z trudnością, lekki bowiem mroźnik pokrył był chodnik śliską powłoką. Przystąpiwszy do niej i powitawszy ją uprzejmie, wyraził zdziwie-

nie, że tak mało dba o wygodę, puszcza-
jąc się w taką drogę piechotą. Odpowiedziała
mu z namaszczeniem, że to sobota, i że w dniu
postne nie zwykła używać powozu. Podał jej
więc rękę, na której się wsparła łaskawie,
uprzejmą z nim zawiązując rozmowę. Szli
tedy ulicą razem, mijając znajomych, którzy
ich witali kłaniając się nisko, zaciekawieni
widocznie łaskawą poufałością, którą nasze-
mu bohaterowi okazywała groźna hrabina.
Wrażenie, które wywoływał, nie uszło bacz-
ności naszego parafianina. Rad z siebie
wielce, zaprowadził swą towarzyszkę aż do
jej domu, a potem po wschodach aż do drzwi
mieszkania.

— Nie pójdziesz powiedzieć „dzień dobry“
Aurelci? — zapytała łaskawie.

— I owszem! bardzo chętnie... Jeżeli tylko
wolno — odparł z pośpiechem.

— Czemużby nie?... Musiała już wstać od
dawna... Znajdziemy ją w jej saloniku —
dodała z tajemniczym uśmiechem. — Zajęta
jest z pewnością przygotowaniami na bal ju-
trzejszy.

— Ach, prawda, że to jutro! — rzekł pan
Bronisław, idąc za nią szeregiem gustownie
umeblowanych pokojów, po dywanach, któ-
rych miękkość tłumiała odgłos ich kroków.

— Aurelciau!... Pan Żymirski!... Czy przyjmiesz? — zapytała hrabina, uchylając drzwi saloniku panny Aurelii.

— *Mais comment donc?*... Bardzo proszę!

— Widzisz pan, jak mało jestem kokietką — zawołała, podając mu rękę z zalotnym uśmiechem. — Zastajesz mnie pan przy ostatnich przygotowaniach do jutrzejszego balu... Suknia balowa—to coś niby plan strategiczny; niepowinnabym go panu wyjawiać... Ale ja się takimi nie kieruję względzikami.

Zaśmiała się.

— W istocie samą mnie nieraz dziwi, że tak mało jestem kobietą!... Zresztą nie uważam pana za obcego — dodała, rzucając mu powłóczyście spojrzenie.

— Wdzięczy panu jestem niezmiernie.

— Chcesz pan popatrzeć na jutrzejsze moje *atours*?

— I owszem.

— Jadwisiu, pokaż panu moją tualetę.

Była to gazowa *bouton d'or* suknia, na atłasie tejże barwy, — prawdziwe arcydzieło krawieckiego kunsztu, popodpiwane bukietami sztucznych trójkolorowych bratków. Atłasowy *bouton d'or* stanik suto był obszyty koronką, i ozdobiony wspaniałym bukietem trójko-

lorowych również bratków. Atlasowy *bouton d'or* wachlarz, i także trzewiczki uzupełniały tę tualę.

— *Charmant!* — wołał pan Bronisław w zachwycie, uśmiechając się, i mrugając na Jadwisię, która się weń wpatrywała okiem zachwałego pazika. — Co za gust znakomity!... Ale zdaje mi się że trudno dobrać będzie bukiet stosowny.

— A prawda, nie pomyślałam o bukiecie.

— Pani pozwoli, że ja wyręcę.

— *Voudriez vous?* — rzekła słodziutkim głosem panna Aurelia.

— Bardzo proszę.

— A więc przyjmuję z wdzięcznością.

— *Charmant!* — zawołał pan Bronisław raz jeszcze za odchodzącą Jadwisią, która mu figlarne z ukosa rzuciła spojrzenie. — Biegnę teraz do ogrodnika... Trójkolorowe bratki i białe kamelie, nie prawdaż?

— *Merci* — odparła panna Aurelia, zegnając go uśmiechem i spojrzeniem.

Twarz jej zamroczyła się po jego wyjściu.

— Oddalę tę Jadwisię — pomyślała. — Nie chcę mieć skandalu w domu... Wypędzę ją, skoro mi się oświadczy...

Westchnęła głęboko.

— Znowu? — szepnęła ze smutnym uśmiechem. — Miałabym być o niego zazdrosną?... *Quelle idée!...* A jednak gniewa mnie sposób, w jaki patrzył na tę Jadwisię... *Suis-je bête? bon Dieu! bon Dieu!...* Zadurzyć się w takim parafianinie!

ROZDZIAŁ VII.

Jako pan Bronisław doznał niemiłego zawodu, oparłszy swe rachuby na kotylionie, a niewciążnawszy panny Aurelii w rachunek.

Tak tedy w logicznem następstwie zaciągniętych względem panny Aurelii zobowiązań afirmował się pan Bronisław coraz bardziej w roli konkurenta. Bywał codzień w domu hrabiny, spełniał jej zlecenia, asystował naszej bohaterce i ciotce jej, ilekroć panie te spotkał na ulicy. Tak wypadło z tonu istniejącego pomiędzy nim a domem tym stosunku. Przypuszczony do tajemnic tualetowych swej przyjaciółki, nie mógł jej nie ofiarować balowego bukietu, jakkolwiek czuł, że go ten dar wiąże, znał bowiem o tyle zwyczaje świata, że wiedział, iż się kobiecie tego stanowiska nierobi podobnych grzeczności, jeżeli się względem niej niema poważnych zamiarów.

Szły tedy rzeczy naturalnym biegiem, wi-

kłając coraz bardziej pana Bronisława w sieci naszej bohaterki, która nie potrzebowała wcale wyteżać sprytu, aby kierować krokami naszego parafianina wedle swego zamiaru. Codzienne wizyty jego, usługi, i grzeczności przyjmowała jako rzecz prostą, i z wzajemnego ich przyjaznego stosunku wynikającą, nie dając wcale do poznania, iż jakąkolwiek większą przywiązuje wagę do jego uprzejmości. Postępując w sposób taki, opanowywała go coraz bardziej, i usypiała jednocześnie jego skrupuły. Była z nim swobodną, serdeczną i poufałą, mentorowała mu swem doświadczeniem, forytowała go w swoim towarzystwie, i cieszyła się jego powodzeniami, które sama przygotowywała—z przyjaźni! Bohater nasz widział w tem wszystkim dowód siostrzanej życzliwości, nie więcej. Czasami tylko zdawało mu się, że spostrzega w jej oczach jakiś błysk namiętniejszy, w jej zachowaniu jakieś rozdrażnienie, na jej twarzy jakiś żywszy rumieniec, w uścisku dłoni jej jakąś niezwyczajną energię. Aliści sprytna kokietka umiała panować nad sobą, i hamować te niewczesne wybuchy.

Mimo to ciężył mu ten stosunek jak pęta ołowiane, tem bardziej, ile że się karnawał zbliżał ku końcowi, że pieniądze płynęły jak woda, i że mu coraz bardziej do serca wra-

stała zalotna Belka, która tak słodko na niego patrzyła, ilekroć ją w świecie spotykał. Figlarna blondynka najoczywiściej zarzucała wędkę na wesołego i zuchowatego szlachcica, który sprytem swym donżuanowskim odgadywał, że w oko wpadł panience, i że powinienby żelazo kuć, dopóki gorące. Aliści czyż mógł to uczynić, zapraszany wiecznie do hrabiny, uprzejmie zatrzymywany przez pannę Aurelię i wiecznie sprawunkami obu tych pań zajęty? Tak stały rzeczy w dzień oczekiwanego kawalerskiego balu, na którym pan Bronisław postanowił, bądź co bądź, przypuścić szturm do serca, ręki i posagu zalotnej Belki.

Lwowskie bale kawalerskie jaśniały podówczas nadzwyczajną świetnością. Były to lata, nader obfite w posażne panny na wydaniu. Kawalerów, gotowych do żeniaczki, było także co niemiara, a że szlachta miała wtedy jeszcze, jeżeli nie trochę pieniędzy, tedy przynajmniej więcej kredytu, więc bawiono się ochocho przy winie, i pasztetach, a nie, jak dziś, przy ciasteczkach i postnej herbatce. Wywdzięczając się towarzystwu, dawali kawalerowie co roku w końcu karnawału bal składkowy, którego gospodyniami bywały pannie, zajmujące w społeczeństwie najwybitniejsze stanowisko. Ruchliwy hrabia Józef Prze-

drzymirski zebrał był ośmdziesiąt podpisów po sto guldenów—było więc za co pohulać.

I rzeczywiście równie świetnego balu dawno nie widziała nadpełtwiańska stolica. Bohater nasz osłupiał z podziwienia, gdy, wszedłszy do sali, ujrzał cuda, jakich mu się niezdarzyło widzieć w życiu. Olbrzymie żyrandole gorzały tysiącem świec, których niemal dienne światło odbijało się w złocistych bronzach, i załamywało w kryształowych ozdobach, tęczowe rzucając blaski. Wspaniałe zwierciadła, ozdobione kwiatami, podwajały efekt tego oświetlenia. W zagłębieniach murów pod oknami, stały misternie ugrupowane klomby krzewów i roślin egzotycznych. Wzdłuż ściany ustawione były kanapki, czerwonym wybite aksamitem. Na galeryi przystrojonej w kwiaty, siedzieli muzykanci jednego z konsystujących we Lwowie pułków, w pogotowiu, i oczekiwali hasła do rozpoczęcia inauguracyjnego walca. Przez podwoje otwartych drzwi przechodziło się do konwersacyjnych salonów, oświetlonych matowem światłem lamp, których mleczone kule podobne były do pereł, rozsypanych na tle soczystej kwiatów zieleni.

Aliści stokroć piękniejszemi od tego egzotycznego kwiecica były żywe ludzkie kwiaty, które chwytaly oko tęczowemi barwami

strojów, mile pieściły ucho śpiewnym szczebiotem, i odurzały zmysły dziwną jakąś wonią bujnie tętniącego życia, młodości i uciechy. Ich czarne i niebieskie oczy płonęły szczerą ochotą, ich karminowe usteczka uśmiechały się tryumfująco, ich łona drżały niecierpliwem oczekiwaniem, i obietnicami rozkoszy. Przelatując, niby łakome muszki, od kwiatka do kwiatka, i chwytając w przelocie, tutaj uśmiech zalotny, tam słodkie wejrzenie, snuły się wśród tego kwietnego kobierca czarne fraki, których surowa powaga plamiła niejako tęczowej gamy tej uśmiechy.

Olśniony blaskiem, wdziękiem, i przepychem, zachwiał się niemal na nogach p. Bronisław. Zdawało mu się, że tonie w jakimś morzu rozkoszy bez granic. Oprzytomniał jednak niebawem, i spostrzegłszy Belkę Niedrzycką, z którą miał tańczyć pierwszego walca, pospieszył do niej, by ją przywitać.

Miała niebieską gazową, w srebrne muszki suknię, na białym atłasie, popodpinaną bukietami z polnych kwiatów. Stanik, takimże bukietem ozdobiony, a mocno wycięty, odsłaniał trochę zanadto jej za mało pełny gors, i nieco chude ramiona. Pod zbyt utrefionemi włosami nikła jej drobna twarzyczka. Słowem źle była ubraną, i niedobrze wyglą-

dała tego dnia. Mimo to była wesołą, i trzpiotowatą, jak zwykle. Rozmawiała właśnie z hrabią Józefem, przypatrując się z zajęciem porządkowi tańców, i starając się go przymocować do rączki swego bukietu. Była to miniaturowa książeczka, w kształcie końskiej podkowy, opatrzona lusterkiem, i ołówczkiem,— dar balowego komitetu, a prawdziwe cacko introligatorskiej sztuki.

Bohater nasz powitał niskim ukłonem panią Niedrzycką, matkę panny Izabeli, i rozkwieciwszy usta swe jaknajśłodszym uśmiechem, podał rękę Belce, która odwzajemniła uścisk jego serdeczny, i zalotnem obdarzyła go wejrzeniem. Wiadoma rzecz, że panny bywają wielce uprzejme przed rozpoczęciem balu. Nienależy palić za sobą mostów, jeżeli się jeszcze nie wie, jak bitwa wypadnie.

— Ach, Brońcio! — zawołał hrabia, ścisnąc mu rękę.—Widzi pani, że nie można o wszystkim pamiętać...[Zawsze się o czemś zapomni.

— Cóż takiego?—spytała panna Izabela ciekawie.

— Znając jego gusta, chciałem mu dogodzić — ciągnął dalej, uśmiechając się złośliwie.—Ale na śmierć zapomniałem, i dopiero teraz spostrzegłszy go, przypomniałem sobie moją opieszałość.

Niewiedząc, o co chodzi, patrzył na niego nasz bohater z uprzejmem zdziwieniem.

— Cóż takiego?—powtórzyła panna Izabela.

— Brońcio pasyami lubi pieczone prosięta... Sam widziałem, jak zjadł całe prosię na kolacyę.. Wybacz, Bońciu, że zapomniałem kazać upiec jedno dla ciebie.

Pan Bronisław zachnął się niecierpliwie.

— No,—ale *Christal-Koederer* jest? — zapytał z przekazem.

— Jest.

— Bogu dzięki! Bo ty podobno lubisz go pieć, zwłaszcza gdy inni płacą.

— Oczywiście — rzekł z przymusem hrabia. — Taki jest najsmaczniejszy!

— Hm, — pomyślał, — odciął się!.. Jest pewnym siebie.. Czuje widocznie plecy Porajowej.. Trzeba z nim być ostrożniejszym w przyszłości.

— Z kim tańczysz pierwszego kadryla? — zapytał po krótkiej chwili uprzejmie.

— Z panną Aurelią Niegodzką, — odparł nasz bohater.

— Czy masz już *vis à vis*?

— Nie mam jeszcze .. Właśnie chciałem się o jakie postarać.

— A więc ja cię proszę.. Tańczę z panią. Panna Izabela drgnęła nerwowo.

— Dziękuję ci, — zawołał bohater. — Ach!

jakże to dobrze!... Jakim szczęśliwy!—dodał, kłaniając się, i wpatrując się w Belkę, czułem spojrzeniem.

Odśmiejnęła mu się z widocznym przymusem.

Wtem zabrzmiała muzyka. Melodyjne dźwięki introdukcji sztrausowskiego walca, rozległy się po sali. Hrabia pośpieszył do swej tancerki, a pan Bronisław ujął silnem ramieniem pannę Izabelę, i w jednej z pierwszych par, puścił się z nią w szalony wir rokosznego tańca. Ziemia im znikła z przed oczu. Przegięta na jego ramieniu, leciała razem z nim, jakby niesiona melodyjną falą. Dłoń jej drżała w jego ręku; tchnienia ich mieszały się z sobą. Wirem uniesieni, pędzili i milczeli. Czasem tylko słówko jakieś urwane wymknęło się z ust jego bezwiednie,—ona mu na nie odpowiadała machinalnie, i niemal bez myśli, bo nie mieli innego poczucia w tej chwili, — tylko poczucie tonów, które im pieściły ucho, poczucie wiatru, który im muskał skronie, i poczucie lotu, wiru i zawrotu.

Aliści siła tych wrażeń zmęczyła ją niebawem; — nierozruszała się była jeszcze, nie roznamiętniła. Zwisając na jego ramieniu szepnęła mu: dosyć! Zwolniwszy więc pęd, i zmieniający w lewo, odprowadził ją, wirując ciągle, aż do miejsca, gdzie siedziała jej matka,

i, okręciwszy raz jeszcze, usadowił, przytrzymując z lekka i z gracją na kanapie.

Rozwinąwszy wachlarz, jeła panna Izabela, chłodzić twarz swoją, a pan Bronisław tętniący jeszcze wirem szalonego tańca, rozpoczął z nią rozmowę o rokoszach walca. Wtem uczuł gdzieś w powietrzu pozasobą ów prąd magnetyczny, owo dziwne tajemnicze lechtanie, jakiego doznajemy pod wpływem uparcie do nas przykutego wzroku. Zwrócił głowę w tę stronę bezwiednie, jak automat pod naciśnięciem sprężyny, i ujrzał dwoje małych czarnych oczu, świdrujących go spojrzeniem, a płonących, jak węgiel żarzący. Były to oczy panny Aurelii, która, wszedłszy z hrabiną Porajową do sali, w chwili właśnie gdy kończył szalonego walca, spostrzegła go w przelocie, i zmierzała w tę stronę.

Pod wpływem wzroku tego zmieszany, usiłował pan Bronisław przyozdobić usta swe jak najslodszy uśmiechem. Ukłonił się nisko hrabinie, i podał rękę pannie Aurelii do powitalnego uścisku. Bohaterka nasza odwzajemniła uścisk jego dłoni, i odśmiejnęła mu się uprzejmie. Było atoli coś złośliwego w jej uśmiechu, — coś, co zaniepokoiło naszego parafianina.

— Ty tu zostaniesz, Aurelcu? — spytała hrabina.

— Tutaj, ciociu! Siądę koło Belki.

— To dobrze. — Ja idę tam do księżnej. *Ça fait* że młodzi będą z młodymi, a starzy ze starymi, *c'est la loi de la nature!*

— Panie tak późno? — zaczął pan Bronisław, aby coś powiedzieć.

— Późno powiadasz pan? — odparła panna Aurelia, witając pannę Izabelę uśmiechem, i dłoni uściskiem. — Sądziłam właśnie, że za wcześnie!

— Jakto, wszak już po walcu!... Za chwilę rozpocznie się kadryl, który mam zaszczyt tańczyć z panią... Gdybyście się panie były spóźniły...

— Gdybyśmy się były spóźniły, to, bawiąc się tak dobrze, nie miałbyś pan powodu żałować.

Powiedziała mu to banalnym tonem, i uśmiechając się uprzejmie, ale oczy jej mówiły co innego.

— Owszem! — zawołał skwapliwie, rumieniąc się zaniepokojony. — Żałowałibyśmy oboje, ja tancerki, a panna Izabela przyjemnego *vis à vis!*

Bohaterka nasza zlustrowała jednym spojrzeniem tualetę sąsiadki. Uśmiech złośliwego zadowolenia przeleciał po jej twarzy.

— Droga Belciu!... *Mais c'est charmant!*... Jakżem kontenta!...

I poczęła jej prawie tonem serdecznej przyjaźni grzeczności zatrute, wychwalając gust jej sukni i twarzową fryzurę. Panna Izabela znosiła te szpilkowe ukłucia, tracąc widocznie na humorze, nie miała bowiem światowej rutyny swej prześladowczyni. Wychowana na wsi, nie znała tajemnic tej podziemnej wojny, którą z cukrowym uśmiechem na ustach prowadzić z sobą zwykły kobiety wielkiego świata, a w której tak celowała panna Aurelia. Przybywszy dopiero przed trzema laty do Lwowa, gdzie ojca jej w jakiejś autonomicznej instytucji na wysokie powołano stanowisko, przyniosła z sobą pewną wiejską naiwność i zyczliwość, które pociągały ku niej, i zjednywały jej serca bardziej, aniżeli jej parafiańska nieco twarzyczka, i pospolite trochę wdzięki. Posagu wielkiego nie miała, a swoją w śmietance lwowskiej rację bytu, zawdzięczała raczej urzędowemu ojca stanowisku, aniżeli majątkowi, imieniu i koligacji.

Układ wreszcie jej był swobodny, ale pozabawiony dystynkcyi. Jednem słowem była to miła, lecz gąskowata trochę parafianeczka, co może właśnie było powodem, że pan Bronisław w niej, a ona w nim szczególniejsze znajdowali upodobanie.

Panna Aurelia nienawidziła ją serdecznie, prześladując ją od chwili pierwszego jej wy-

stępu w lwowskiem towarzystwie, i dając jej uczuć wyższość swoją przy każdej sposobności. Nie mogła jej darować młodszego o jakie sześć lat wieku, i powodzenia, które jej zjednywała, niewymuszona wesołość, i naiwna prostota. Obecnie dolewała zazdrość o pana Bronisława oliwy do tego tłumionego żaru.

Opryskliwie przez pannę Aurelię przyjęty, pograżył się nasz bohater w niewesołej zadumie. Pod miódowemi jej uśmiechami i spojrzzeniami, odgadł zatrute żądło zjadliwej osy. Bohaterka nasza objawiła mu się znowu taką, jaką ją znał dawniej przed swą przygodą, — złośliwa, pyszna, samolubna, i bezwzględna! Przypomniały mu się słowa hrabiego Józefa, powiedziane mu przed kilkoma dniami w hotelowej restauracyi, i widmo onej ręki, trzymającej nici jego losów, które raz już ujrzał nad sobą, zarysowało się znowu w jego oczach, groźne, i nieubłagane.

Z czarnych tych myśli wyrwały go dźwięki, muzyki, dające hasło do rozpocząć się mającego kadryla. Pan Bronisław podał rękę naszej bohaterce, i stanął z nią w kolumnie; — na przeciw nich zajęli miejsce hrabia Józef, i panna Izabela.

— Pan, jak widzę, seryo jesteś Belką zajęty? — rzekła panna Aurelia z słodkim uśmiechem.

— Istotnie, że mi się bardzo podoba.

— Podziwiam pańską praktyczność.

— W czem, proszę pani?

— W tem, że pan zawsze umiesz się zaopatrzyć w to, czego panu potrzeba... Winszuję panu serdecznie.

— Nic nie rozumiem.

— Popatrz pan na jej obojczyki... Widzisz pan te dwa dołki?... istne solniczki!... Do jednej pan nasypiesz soli, a do drugiej pieprzu... *Ça fait*, że, jak pan zechcesz gotować jajecznicę, to będziesz miał wszystko, co potrzeba, pod ręką.

Pan Bronisław spojrział na biust panny Izabeli. W istocie miała słuszność panna Aurelia; — uderzyły go po raz pierwszy braki, których nigdy nie widział. Niemile uczucie sprawiło mu to spostrzeżenie. Przedmiot, którego wartość cenił przed chwilą tak wysoko, wydał mu się mniej gołym pożądaniam. Był to bowiem człowiek próżny, do samodzielnego sądu niezdolny, samolubny, a jak każdy parafianin, na to, co powiedzą ludzie, wrażliwy. Dobrze go musiała znać panna Aurelia, skoro się nie zawahała zażartować z jego ideału w ten sposób niesmaczny.

— Ach, jaka pani złośliwa! — rzekł z kwaśnym uśmiechem.

— Znajdujesz pan? — odparła, śmiejąc się wesoło.

I, zadowolona z siebie dowcipkowała dalej, kokietując hrabiego, docinając Belce, a drażniąc naszego bohatera. Po skończeniu tańca uścisnęła serdecznie rękę panny Izabeli, ale już z nią nie powróciła na dawne miejsce. Kazała się odprowadzić do konwersacyjnego saloniku, i usiadła obok hrabiny Porajowej.

— Ach, jakżem się bawiła wybornie, — zawtała chłodząc się wachlarzem, i śmiejąc się nerwowo. — Wdzięczna panu niezmiernie jestem za to przyjemne *vis à vis*.

— Istotnie? — odparł nasz bohater, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Tak jest, — rzekła złośliwie... — Ale mam już tego dosyć... Wyborne to jest, lecz w małej dawce... Jak pan zobaczysz księcia Świdrygiełło, z którym pierwszego tańczyć ma zura, to mu powiedz, że tu jestem.

I, zaczepiwszy jakiegoś starszego mężczyznę o arystokratycznej minie, a z angielską wygolonej twarzy:

— *Bon jour comte! On ne vous vit donc plus chez la tante!* — żywą z nim i poufałą zawiązała rozmowę.

Stropiony i rozdrażniony, odszedł nasz bohater powitać inne panie i panny, z którymi miał tańczyć tego wieczora. Po drodze wy-

wiązał się z polecenia panny Aurelii, spotkawszy księcia, asystującego młodej jego stryjence. Zbliżywszy się do Koli Borzyckiej, z którą miał tańczyć pierwszego mazura, związał z nią rozmowę;—ale mu nie szło wcale, myśli jego były gdzieindziej. Dopiero rytm obojętnego tańca rozgrzał w nim krew zakrzepłą;—począł skoczne wybijać holubce i koguciki, ku wielkiemu zdziwieniu towarzysztwa, nieprzywykłego do widoku tak zamaszystego tańca w salonie. W jednej z figur przyszło mu tańczyć chwilę z Belką.

— Nie jestem panu wdzięczną za dzisiejsze *vis-à-vis*,—rzekła zadąsana.

— Dlaczego, proszę pani?

— Nieznośna jest Aurelka!... Nieuawidzę jej!

— Ależ, pani, to niemoja wina!... To przecież Józio...

— Do niego nie mam żalu, ale do pana,—odparła naiwnie.

Spojrzał na nią, ale mu się wydała brzydką z tym wyrazem nieukontentowania na drobniutkiej twarzyczce. Chciał jej coś odpowiedzieć uprzejmego, ale nie mógł znaleźć słów, podniósłszy bowiem oczy, spotkał uparte spojrzenie panny Aurelii. Wpatrywała się w twarz jego z sardonicznym uśmiechem. Wydało mu się, że słyszy jego rozmowę i czyta

w jego duszy, a myśl ta pozbawiła go fantazyi. Szczęściem wybawił go z kłopotu tancerz następny, odbijając mu tancerkę.

Kilka razy jeszcze w ciągu wieczora, zarzany tańcem odzyskiwał pan Bronisław wesołość i swobodę. Tak usposobionego, zbliżał los kilkakroć do panny Izabeli, która również odzyskała była zwykłą swą ochotę. Atoli, ilekroć zabawa, wspólne ich gusta, i wspólne ku sobie sympatye przywracały zakłóconą między nimi harmonię, dodając fantazyi naszemu parafianinowi, i zachęcając go do czulszych wynurzeń, zawsze powściągało zapęd jego chwilowy ironiczne, a zimne spojrzenie panny Aurelii.

Byłże to przypadek? Byłoz to rozmyślną grą jego przyjaciółki? Bohater nasz nie umiał sobie z tego zdać dokładnie sprawy. Przypomniały mu się wprawdzie wynurzenia panny Aurelii wczasie ich wspólnej podróży,—aliści od tego czasu nie okazała mu niczem, iżby jakiegokolwiek, co do niego, żywiła zamiary. Wydawała mu się dotychczas życzliwą, szczerze bezinteresowną, przyjazną, nic więcej. Dziś dopiero po raz pierwszy miało jej zachowanie się coś w sobie niezwyyczajnego. Miałażby zająć w niej jakaś zmiana? Miałażby o niego być zazdrosną? Ale nie! Ta złośliwość była w jej naturze. Wszakże taką ją właśnie znał

przed laty, nim ich do siebie zbliżyła dziwna ich przygoda. Cokolwiekbądź, niepokoiło go zachowanie się panny Aurelii, odbierając mu fantazję.

Podczas drugiego mazura przyszedł jednak do przekonania, że tylko kaprys chwilowy, a może jakaś osobista niechęć ku panie Izabeli, były powodem dziwnego zachowania się jego przyjaciółki. Tańcząc z nim, była przyjazną, serdeczną, wylaną, jak nigdy. Dowcipkując, i bawiąc go żywą rozmową, starała się go rozweselić i uspokoić, co się jej też wybornie udało. Po skończonym tańcu powiedziała mu, że byłby czas coś przekąsić, i poprosiła go, aby odszukał hrabiego Tola.

— Przyrowadź go pan tutaj,—dodała z uśmiechem.—Pójdziemy potem z cicią wszyscy czworo do bufetu... Tak pan doskonale tańczysz, że muszę wypić zdrowie pańskie szampanem.

Hrabia Tolo nudził się w przyległym salonie na zabój, popadłszy w ręce starego Nie-drzyckiego, który go bawił rozmową o potrzebie reformy ludowego szkolnictwa. Przywitał więc naszego bohatera, jak gdyby zbawcę, i, ująwszy go pod ramie, pośpieszył zadość uczynić wezwaniu panny Aurelii.

Poszli tedy *en famille* do przepysznie urządzonego bufetu, którego stoły uginały się nie-

mał pod ciężarem bogatych kandelabrow, wazonów z bukietami, tortów, cukrów, pasztetów i piramid zagranicznych owoców. Bohater nasz lubował się w tem towarzystwie, tembardziej, że panna Aurelia nie zaniedbywała sposobności, by pochlebić jego miłości własnej i próżności. Rozkosze tej uczy przerwały dopiero dźwięki kadryla, które naszą bohaterkę do balowej powołały sali. Pan Bronisław pośpieszył również do Muszki Zawirskiej, i stracił wśród wiru tańca z oczu swą przyjaciółkę, która dziwnym trafem tańczyła znowu *vis-à-vis* panny Izabeli.

Dopiero po skończeniu kadryla spotkał ją znowu pan Bronisław. Miała twarz rozpromienioną.

— Wracamy do domu!—zawołała, ujrzawszy naszego bohatera.

— Jakto, już?... Przed kotylionem?

— Ciocia zmęczona... Nie mogę przecie narażać jej zdrowia... Zresztą zaczyna tu być nudno.

— Jaka szkoda!

— To jedź pan do nas... Tolo nas odprawia... Każę zrobić herbaty, i będziemy we troje gawędzili do rana.

— Nie mogę, proszę pani... Tańczę kotyliona z panną Niedrzycką.

— Właśnie dlatego! ..

— Pani żartuje... Nie mogę przecie odjechać, zaangażowawszy ją do tańca.

— Nie będzie tańczyła... Żle się jej zrobiło w kadrylu.

— Czy pani wie z pewnością?

— Jakże?... Tańczyłam z nią *vis-à-vis*.

Panu Bronisławowi zamajaczyło w głowie nieokreślone jakieś podejrzenie.

— Może to coś przemijającego? — rzekł z westchnieniem.—Muszę czekać, skorom ją zaangażował... Mogłaby mieć do mnie słuszny żal.

— Cóż to pana obchodzi?... Odjechałeś pan, myśląc, że zachorowała.

Panu Bronisławowi żal się zrobiło odjeżdżać przed końcem balu.

— Chodź pan,—napierała, uśmiechając się słodko.

— Nie mogę!

— Odmawiasz mi pan?

— Muszę przynajmniej znaleźć na wszelki wypadek dla panny Izabeli zastępcę.

— Nie, nie!—zawołała, śmiejąc się brzydsko.—Zostań pan... To był tylko kaprys z mej strony... Chciałam pana wypróbować.

— Już idę.

— *Quelle idée!*... Zostań pan... Nie chcę, abys pan dla mnie poświęcał swoją przy-

jemność... To był kaprys tylko, ha, ha, ha!...
Adieu,—dodała, ściskając mu dłoń uprzejmie.

Pan Bronisław nie tańczył kotyliona tego wieczora. Tancerka jego odjechała była do domu.

ROZDZIAŁ VIII.

Jako pana Bronisława prześladowała Cygan-
ka, i jak mu dama pikowa odmówiła
pociechy.

Bohater nasz niekontent był ze swojego wieczoru. Zawiodły go piękne nadzieje, które przywiązywał do tego balu. Oburzało go dziwaczne zachowanie się panny Aurelii, którą instynktownie posądzał, że złośliwością swoją rozdrażniła Belkę do tego stopnia, iż stała się powodem jej słabości i odjazdu. Czuł nad sobą coraz wyraźniej nacisk jej ręki, wikłającej przedzę jego losu. Coraz nieznośniej szemi stawały mu się pęta, w które popadł niebacznie. Postać groźnej hrabiny stawała przed jego oczami, i słowa hrabiego Józefa: „Gdybyś się kiedy jej naraził, toś przepadł, jak ruda mysz,” brzmiały mu ciągle w uszach. Znękany, postanowił,—bądź, co bądź,—usunąć się z pod wpływu panny Aurelii i jej ciotki, robiąc u rodziców Belki krok sta-

nowczy, któryby jego opiekunki pozbawił wszelkich pretensyi do zajmowania się jego losem.

Nazajutrz więc, wstawszy rano, udał się do stryja swego Józefa, zamierzając prosić go aby zechciał być tłómaczem uczuć jego u rodziców panny Izabeli. Zastał tam hrabiego Tola, rozprawiającego długo i szeroko o znakomitych przymiotach hunterów, które sprowadził z Anglii, i o biglach, które mu książę Solms przysłał w podarunku. Niemogąc przyjść do słowa, przesiedział tam całą godzinę. Dowiedziawszy się wreszcie z rozmowy, że stryj za kilka godzin w pilnym interesie do dóbr swoich wyjeżdża, i za cztery dni dopiero ztamtąd powróci, pożegnał panów tych i, wstąpiwszy jeszcze na chwil kilka z wizytą do stryjenki, pośpieszył do państwa Niedrzyckich, aby się dowiedzieć o zdrowie ich córki. Nieprzyjęto go, panna bowiem była chorą po wczorajszem omdleniu. Wieczorem pojechał do państwa Zawirskich, którzy przyjmowali co poniedziałek, w nadziei, że Belka, wyzdrowiawszy, nie opuści tej w bieżącym karnawale ostatniej sposobności tańczenia. Nadzieja ta zawiodła go także. Pokreślił się trochę w salonie, starając się na próżno rozruszać. Wkońcu, dowiedziawszy się od Koli Borzyckiej, że Belka ma się

już lepiej, ale nie przyjdzie, czując się bardzo osłabioną, pojechał do domu, niemając wcale ochoty do zabawy.

Nazajutrz — był to ostatni wtorek, posłał Maćka do państwa Niedrzyckich z zapytaniem o zdrowie panienki; — sam zaś udał się z ciężkiem westchnieniem do hrabiny Porajowej. Po codziennych w ciągu jednego tygodnia wizytach, niewypadało zrobić inaczej. Szedł tam, jakgdyby na stracenie. Na szczęście nie zastał nikogo w domu; panie wyjechały były z wizytami. Ucieszony tem niepowodzeniem, poszedł na obiad do kasyna. Uśmiechała mu się myśl, że na dzisiejszej reducie, urządzonej na cele dobroczynne, asystować będzie mógł Belce, która wraz z matką sprzedawać miała fanty i losy do tomboli.

Reduta owa była wcale niefortunnym pomysłem księżnej, prezydentki towarzystwa dobroczynności, która, mając jedynie osiągnięcie jaknajwiększych korzyści dla ubogich na oku, nie przewidziała wszystkich następstw, jakie wyniknąć mogą z tej dziwnej kombinacji. Wprawdzie umieszczono stoliki z fantami i losami w górnej redutowej sali, pozostawiając maskom, żądnym tańca, salę teatralną, urządzoną ku ich wygodzie. Mimo to wpadały co chwila, do przybytku, gdzie się schroniła śmietanka: domina, pieroty, debardeury,

szwajcarki i krakowianki, tak iż kawalerowie, asystujący damom w czarnych frakach i białych krawatach, niemało mieli kłopotu, starając się ochronić je od zbytnej masek swobody. Pan Bronisław stał przy stole państwa Niedrzyckich, i wywiązywał się długi czas ze swego zadania dość szczęśliwie. Atoli po północy, gdy z powodu zachodzącego popielca grać przestała muzyka, i skończyły się tany w teatralnej sali, wtłoczył się tłum masek, chcąc wziąć udział w tomboli, ze śmiechem i krzykiem do arystokratycznego zakątka, cisnąc się natarczywie do loteryjnych stolów.

Bohater nasz przestrzegał jak mógł porządku, gdy wtem zbliżyła się do panny Niedrzyckiej wykwintnie ubrana cyganka, potrząsając talią kart, i piszcząc przeraźliwie. Pan Bronisław spojrział na nią badawczem okiem. Nie była podobną do zwykłych masek. Na drobnej i widocznie rasowej ręce miała czyściutkie rękawiczki, w uszach kolczyki z dwóch, jak grochowe ziarnka, dużych brylantów. Strój jej, zupełnie świeży i, jak na redutę, zbyt kowny, pachniał czystością. Paplała po francusku, ciągnąc za sobą tłum ciekawych, zaintrygowanych mocno jej paryskim akcentem, złośliwym dowcipem, i dokładną znajomością stosunków. Domysłano

się, że to któraś z pań, należących do śmietanki.

— Cóż, aniołku? — zapiszczała w najczystszy nadsekwańskim dyalekcie.—Cóżes mi dziś taka smutna, jak dzień bez chleba?... Czyś zjadła karawan na śniadanie?... Wartoż to przychodzić na redutę z taką pogrzebową twarzą?... Ach, ja wiem! Ty się kochasz, niebogo, i od czasu do czasu mdlejesz z miłości i dostajesz spazmów, ha, ha, ha!... Czy chcesz, duszko, abym ci postawiła kabałę?

— *Passez votre chemin, madame!*—rzekł, wdając się, pan Bronisław.—Te panie nie należą do towarzystwa pani, i nie są przyzwyczajone do takiego tonu.

— *De quoi, de quoi, Madame?*—odparła, śmiejąc się, maska.—Nie mów mi *Madame*, mój baranku; nazywaj mnie obywatelką... Obywatelka-cyganka, która przepowiedziała Ludwikowi XVI-mu, że będzie ściętym na gilotynie za karę, iż chciał baletnicom przydłużyć spódnice o półtorej piędzi! A tobie przepowiadam, że umrzesz na niestrawność, objadłszy się prosięciny.

— Ha, ha, ha, ha!—zaśmieli się wesoło liczni kasynowicze, którym Przedrzymirski opowiadał, o gastronomicznym popisie naszego bohatera.

— No i cóż mi na to odpowiesz, ty, rozpu-

stniku?—ciągnęła dalej cyganka.—Wieleżes już zjadł serc panińskich, he?.. O! ty, ty, ty, donzuanie!... Strzeżcie się go panny, a szczególnie wy panowie... Przyjechał tu z strasznymi zamiarami do Lwowa.

— Ha, ha, ha, ha!—parsknęli znowu śmiechem kasynowicze.

Żółć kipiała w panu Bronisławie;—hamował się jednak, widząc, jakie koncepta maski znajdowały powodzenie. Nie znał dobrze re-dutowych zwyczajów i nie wiedział, co począć z tym fantem. Uśmiechał się więc, jak za pokutę, ocierając czoło z potu chustką od nosa.

— Poć się, poć, mój aniołku! — zapiszczała znów jego prześladowczyni.—Doktorowie nam to zalecają, i katechizm nam to nakazuje... Zresztą może w ten sposób wypocisz twoje grzechy, uwodzicielu!... Coby to matka twoja powiedziała, gdyby знаła twoją konduite?... Wysłała cię tu, jak porządnego człowieka, abys jej przywiózł synową z posagiem... Przydałoby ci się, nie prawdaż?

— Ależ, pani!—wybuchnął nasz bohater,— ja wezwę komisarza policyi.

— Co pani, jaka pani?... Mówiłam ci już, że nie gram w ten kolor.... Jestem Nemezys, która karze grzeszników, i robi z nich kotlety dla Lucypera... A ty mi się nie wywiniesz,

gagatku, co się kochasz w kilku pannach na raz, doprowadzając jedną do spazmów, a pożyczając od drugiej pieniądze!

Pan Bronisław rzucił się za nią, ale jej nie mógł dosięgnąć. Powstrzymała go nowa fala masek, tłocząc się do loteryjnych stolików. Niebawem znikła mu z przed oczu. Znękany swą kompromitacją, a gniewem wściekły, usiłował nadrobić miną, ale mu się to nie udawało. Próbował zawiązać rozmowę, najprzód z Belką, a potem z jej matką, powstając na złe urządzenie reduty, na wyuzdaną śmiałość i natręctwo masek, ale nieszło! Panie te były również oszołomione napaścią cyganki, i odpowiadały mu półsłówkami tylko, i niechętnie. Był przekonany, że oziębłość ich jest wynikiem wyjawienia jego tajemnicy. Zadrżał na myśl, że się wiadomość o jego przygodzie roznieść może po świecie, i jał rozmyślać nad tem, z kąd mógł spaść na niego ten cios niespodziewany?

Niebyło wątpienia, że maska została wtajemniczoną w jego stosunki przez pannę Aurelię. Któż inny mógłby wiedzieć o tem, iż pożyczyl od niej pieniądze? Z drugiej strony, trudno było przypuścić, ażeby komuś wyjawila tajemnicę, która, puszczona na ludzkie złe języki, mogłaby i ją kompromitować. Zresztą, czyby to być mogło? Siedziała tam opodal

przy trzecim stoliku wraz z swą ciotką, otoczona gronem złotej młodzieży, śmiejąca się, wesoła i swobodna jak zawsze, i niezdradzająca żadnego wzruszenia.

Ale kimże mogła być ona maska? Od tego bowiem zależał rozgłos jego tajemnicy. Czy wiedziała coś bliższego o jego stosunkach? Czy był to może przypadkowy dowcip redutowy, rzucony bez celu? Pan Bronisław znajdował się wobec nierozwiązalnej zagadki. Ta zjadliwość złośliwa, ten akcent czysto paryski! Ktoby, to mógł być? Czy któraś z pań należących do śmietanki? Na myśl tę przeszło mu mrowie po grzbiecie. Przypomniał sobie, że pierwszego wieczora zastał u hrabiny francuską lektorę. Byłażby to ona? Toby może jeszcze było nienajgorszem. Ale nie, to być nie może! Tamta była mniejsza, i miała układ pokornej dewotki, ta zaś była ruchliwą jak jaszczurka, złośliwą jak gadzina, a swobodną, śmiałą i wyuzdaną nad wszelkie wyrazy. Potem ten strój wykwintny, te brylantowe kolczyki! Nie, to nie ona!

Nieznośnym mu już był dłuższy pobyt w sali. Rzucił okiem w prawo i w lewo; tu owdzie rozmawiali z zajęciem jego znajomi, a twarze ich zdawały mu się ironicznie uśmiechnięte. Spostrzegł przechodzącego mimo hrabiego Tola, który go dawniej nudził swoją

rozmową, ilekroć go spotykał. Wysunął się więc nieco naprzód w myśli, że go zaczepi. Aliści hrabia przeszedł, nie zauważywszy go wcale. Zdawało mu się, że go pominął z umysłu. Zatrzymał jednego z przechodzących kasynowiczów, usiłując zawiązać z nim rozmowę. Odpowiedział mu kilkoma słowami, i poszedł dalej. Upatrzył w tem dowód lekceważenia, i zasmucił się głęboko. Byłby dał rok swego życia, żeby mógł uciec z tej sali, ale niewypadało mu schodzić z placu. Trwał więc przy stoliku panny Izabeli, miotany rozpaczą, to starając się nadrobić śmiałością, to znów popadając w znękanie.

Wreszcie poczęła się wypróżniać ređutowa sala, i pani Niedrzycka, zabrawszy kasę i niesprzedane bilety, pośpieszyła razem z panną Izabelą zdać sprawę z swego urzędu. Pan Bronisław pożegnał je nieśmiałym ukłonem;— one mu podziękowały za opiekę, wprowadzie uprzejmie, ale bez dawnej serdeczności.— Wychodząc, spotkał hrabinę Porajową i jej siostrzenicę, rozpromienioną powodzeniem swem przy loteryjnym stoliku. Odwzajemniła uścisk jego ręki i poczęła mu opowiadać o grabieżach, których na korzyść ubogich dokonała, obdzierając wszystkich swych znajomych. Była rozmowną, wesołą, swobodną, jak zawsze. Szli tak dalej, mijając spóźnione maski i li-

cznych znajomych. Nagle zatrzymała się hrabina, spotkawszy jakąś przyjaciółkę, z którą żywą zawiązała rozmowę. Przystanęli więc chwilę za jej przykładem.

— Mam do pani ważny interes! — szepnął pannie Aurelii tajemniczo i korzystając z chwili pan Bronisław.

— Cóż takiego? — zapytała skwapliwie.

— Nie, nie teraz!... Jutro!... Mam panią o coś zapytać!

— A to w jakiej sprawie?

— W sprawie, bardzo ważnej, a obchodzącej nas oboje.

— Oboje, powiadasz pan? — szepnęła rozciekawiona. — Zaintrygowana jestem, co to może być?... Spać nie będę mogła z ciekawości.

— W istocie, — odparł rozpaczliwym głosem, — rzecz to, bardzo ciekawa i zagadkowa!

— Rozciekawiasz mnie pan coraz bardziej!... Zapomniałeś pan chyba, że to już popielec!... No mówże pan co to takiego?

— To rzecz, dłuższej wymagająca rozmowy... Powiem pani jutro... Kiedy sobie pani służyć pozwoli?

— Przyjdź pan o czwartej, — rzekła po chwili namysłu. — Cioci wprawdzie niebędzie, bo idzie na nieszporne kazanie księdza Koro-

mesło... Ale to nic nie szkodzi, nie prawdaż?... Pogawędzimy swobodniej.

— Będę pani służył,—rzekł z ukłonem.

— *Adieu donc...* Do widzenia! — zawołała z uprzejmym uśmiechem i dłoni uściskiem.

— Bądź zdrów, Brońciu, do widzenia!—rzekła rękę mu łaskawie podając hrabina, która właśnie skończyła była swoje *a parte*.—A nie zapominaj o piątkowym obiedzie!

Uprzejmość panny Aurelii i łaskawość groźnej hrabiny zbiły z tropu naszego bobatera. Byłóż wszystko to, co zaszło, przypadkiem jeno, i nie miałyż te panie w najnowszej przygodzie jego żadnego udziału? Rzecz niepojęta! Zbądzeby indziej wiedzieć mogła cyganka o jego tajemnicach, i komużby zależeć na tem mogło, by je wyjawić? Zamiar poróżnienia go z Belką był w tej całej redutowej intrydze niemal oczywistym, a cała rzecz była tak złośliwie i tak dobrze obmyślona, że nie mogła chybić celu. W każdym razie zdarzenie to nie zdawało się być wcale dziełem ślepego jeno trafu. Lecz z drugiej strony, jeżeli hrabina i jej siostrzenica miały rzeczywiście udział jaki w tej intrydze,—jeżeli go chciały w ten sposób skompromitować w opinii świata, to jakże wytłómaczyć ich uprzejmość i łaskawość, tak ostentacyjnie życzliwą? Położenie jego istotnie było rozpaczliwe. Czuł, zemu gro-

zi niebezpieczeństwo, wobec którego zupełnie był bezbronnym, niewiedząc z której strony nań uderzy wróg ukryty, a tajemniczy.

Znękanego temi myślami, poczęło nagle trapić uczucie dojmującego głodu, ten bowiem skutek wywoływały u pana Bronisława wszystkie silniejsze wzruszenia. Niechcąc się więc truć posiłkiem w reutowym bufecie, pospieszył do kasyna, niewątpiąc, iż tam znajdzie, jeżeli nie ciepłą kolację, to przynajmniej zimną jakąś przekąskę. Jak lew biblijny, szukający kogoby pożarł, wpadł do kasynowej restauracyi, gdzie zastał kilku ze złotej młodzieży, posilających się równie po reducie, i popijających szampana. Wydało mu się, że odwzajemnili jego powitanie z pewnem odcieniem lekceważenia. Rozstrojony, zabrał się do jedzenia, skąpy tylko udział biorąc w rozmowie i, co chwila, popadając w zamyślenie.

Przypomniała mu się znowu uwaga hrabiego Józia, że hrabina należy do tych osób, od których najbezpieczniej jest stać zdaleka,— a jakkolwiek już jej nie posądzał, ani jej siostrzenicy o autorstwo przygłębiającej go reutowej przygody i, dodając sobie otuchy, wmawiał w siebie, że całe to zajście było jedno dziełem przypadku, to jednakże uczuł potrzebę usunięcia się z pod tak niebezpiecznej

i upokarzającej opieki.—Należało mu więc przedewszystkiem spłacić dług, zaciągnięty u panny Aurelii. Lecz zkądże było wziąć na to pieniędzy? Przyszedł mu na myśl stryj jego bogaty, ale tego niebyło we Lwowie. Przytem był to człowiek, dla własnych krewnych nieuczynny. Ożeniwszy się powtórnie z młodą, ubogą panienką, ulegał całkiem jej wpływowi. Był hojnym i nawet rozrzutnym dla niej, i dla liczного jej, głodnego rodzeństwa, ale skąpym i twardym dla najbliższej swej rodziny, ba! nawet i dla dzieci z pierwszego małżeństwa. Niesposób było szukać u niego ratunku; wszelki krok w tym kierunku byłby bezskutecznym.

Przyszła mu na myśl gra. W przyległej sali grano jak zwykle, i, jak zwykle, trzymał tam bogaty Kocubejowicz bank w bakarata. Kilka szczęśliwych kart, a byłby zbawionym! Tam było wyzwolenie z zaciągniętych wobec panny Aurelii zobowiązań, tam był spokój, tam było szczęście! Wprawdzie przyrzekł był swej przyjaciółce, że grać nie będzie, lecz w razie potrzeby—nowej od niej zażąda pomocy. Lecz czyż mogło słowo to wiązać go dzisiaj, gdy mu tak ciężyla pierwsza przez pannę Aurelię wyświadczona przysługa, i gdy mu tak gorąco zależało na tem, aby nie mieć wobec niej żadnych obowiązków? Prze-

liczył zawarte w swym pugilaresie pieniądze, Składka na bal kawalerski, życie i przegrana w czasie reduty u pani Niedrzyckiej, tudzież przy innych loteryjnych stolikach, znacznie były nadwyreżyły jego fundusze. Z pożyczonych u panny Aurelii pieniędzy, pozostawało mu tylko dwieście osmdziesiąt guldenów.

— *Vogue la galère!*—zawołał po krótkim wahaniu i, zdecydowany, lecz z pewnem nerwowem drżeniem, pośpieszył do szulerni.

Chwilę stał przy stoliku, przypatrując się grze, ażeby poznać jej przebieg, i ułożyć plan na podstawie obliczonej szansy. Wreszcie zabrał miejsce przy stoliku i zaczął poniterować. Grał z względnem szczęściem, ale nie miał jakoś instynktu. Szansa była kapryśną, i sprzyjała raz bankierowi, to znowu poniterom. Niemogąc się zorientować, począł się niecierpliwić, i grubiej stawiać na kartę. Niestety, najczęściej go myliło przeczucie: wygrywał wtedy, gdy małą położył stawkę, a stawiał grubszy „kusz” wtedy, gdy miał przegrywać. Zapas jego pieniężny zmniejszał się, a gra roznamiętniała go coraz bardziej. Wtem usłyszał, że ktoś stanął za jego krzesłem. Pan Bronisław miał szulerskie zabosony, a że właśnie przegrał po dwakroć większą stawkę, obejrzał się więc zniecierpliwiony. Był to hrabia Tolo, który po reducie

wstąpił również do kasyna, a spostrzegłszy naszego bohatera, zbliżył się wbrew swemu zwyczajowi do stolika, aby się przypatrzeć jego grze. Pan Bronisław zachnął się niecierpliwie, lecz natychmiast pohamował rozdrażnienie, witając sąsiada uśmiechem i skinieniem głowy.

— *Bonne chance!* — rzekł hrabia, klepiąc go poufale po ramieniu. — Jakoś nieszczególnie się powodzi... Ale idę już, idę, bo może być, że to ja przynoszę dewenę.

— Nie mam takich przesądów! — odparł, śmiejąc się z przymusem, nasz bohater.

Aliści krótkie to a niemiłe intermezzo pozba-
wiło go ostatecznie fantazyi. Straciwszy resz-
tę instynktu, przegrał niebawem cały swój
zasób pieniężny. Zrozpaczony wstał od sto-
łu, zamierzając opuścić plac boju. Uprzejmy
bankier, spostrzegłszy jego rozdrażnienie, po-
czął go namawiać do dalszej gry, ofiarując
mu w tym celu pożyczkę. Chwilę się wahał,
wreszcie przyjął grzeczną propozycję w na-
dziei, że się odbije. Miał przecież konie jesz-
cze i sanie, za które mu przed kilkoma tygo-
dniami ofiarowywano pięćset guldenów; — mógł
więc zapłacić!

Atoli fortuna prześladowała go uparcie.
W połowie talii zażądał nowej pożyczki, któ-
rą również przegrał niebawem. Rozdrażnio-

ny, znękany, moralnie zamordowany, pożegnał towarzystwo i poszedł do domu z rozpaczą w sercu, z próżnią w mózgu i kieszeni, i z długiem pięciuset guldenów, przegranych do Kocubejowicza.

ROZDZIAŁ IX.

Jako po tylu burzach, bohater nasz dopłynął
przecie szczęśliwie do bezpiecznego portu.

Przyszedłszy do domu, rzucił się pan Broni-
sław na łóżko, wciskając głowę swą w podusz-
kę. Skronie mu tętniły gwałtownie;—łzy
piekące cisnęły mu się do powiek. W życiu
swem nie znajdował się w tak okropnem po-
łożeniu. Chciał zebrać myśli, aby wynaleźć
jakiś sposób ratunku, ale nie miał siły po te-
mu. Widział przed sobą przepaść czarną, zie-
jącą, bez najmniejszego promyka nadziei. Sny
jego piękne, matrymonialne zamiary, nadzieja
zdobycia posażnej żony, widoki wywalczenia
sobie samodzielnej pozycyi w świecie, marze-
nia o pięknej Belce, wszystko to runęło w je-
dnym dniu! Pozostawała obawa kompromita-
cyi, jeżeli się rozniesie wiadomość o jego wo-
bec panny Aurelii zaciągniętych zobowiąza-
niach;—pozostawał dług honorowy, który na-

leżało spłacić koniecznie pod grozą hańby, pod grozą ostatecznego rozbicia. Miał na to wprawdzie konie i sanie, których wartość pokrywała zaciągniętą przy kartach pożyczkę ale cóż dalej, cóż dalej?

Przyszła mu na myśl panna Aurelia i pomoc, którą mu ofiarowała w razie potrzeby. W istocie byłaby to jedyna kotwica ratunku. Ale czyż mógł kołatać ponownie do przyjaźni tej kobiety, i zaciągać wobec niej nowy dług wdzięczności, nieofiarując jej nic w zamian za to dobrodziejstwo?—Czyż mógł bronić wobec niej swej niezależności, ściskając jeszcze bardziej te pęta, które mu już dolegały? Więc chybaby jej w nagrodę ofiarował siebie! Wszak powiedziała mu niegdyś, że małżeństwo uważa tylko, jako interes,—wszak mu dokładnie wyluszczyła, czego wymaga od męża i co może dać mężowi,—wszak mu wreszcie oświadczyła, że gdyby dogodnemi znajdował postawione przez nią warunki, to może z nią innym razem pomówić o tym przedmiocie.—Tak niezawodnie! Lecz czyliż nie zmieniła od tego czasu swego zapatrywania? Czyż jeżeli miała dawniej jakieś dla niego uczucie, nie straciła go, widząc, iż był jedynie Belką zajęty? Czyż wreszcie on sam nie utracił na wartości, złamawszy dane jej, co do kart, przyrzeczenie,—zadłużony, zrujnowany, kto

wie, może już poniewierany przez złe języki?

Bijąc się z temi myślami, doczekał pan Bronisław ranka, niezmrúżywszy oka ani na chwilę. O dziewiątej przebrał się odpowiednio, kazał zaprządz Maćkowi, i pojechał do Erbena, ofiarowując mu swe koniki. Przebiegły handlarz zmiarkował od razu, że paniczowi potrzeba pieniędzy. Jął się więc nad tem rozwozić, że kupca już niema w tej chwili, że obecnie po skończonym karnawale nie może dawnej ofiarować ceny; wreszcie oglądnąwszy wpierw raz jeszcze konie, uprząż i sanki, zaproponował za wszystko razem czterysta guldenów, skrobiąc się przytem jeszcze w głowę, biadając na ciężkie czasy, i wyrażając obawę, czy nie przyjdzie mu stracić na tym interesie?

Otworzyła się przed oczami pana Bronisława przepaść nowa; sprzedaż sań jego i juckierów nie pokrywała długu Kocubejowicza. Trzebaż więc będzie szukać ratunku gdzieindziej. Rozwścieczony odjechał do domu, niepożegnawszy nawet *Maquignona*, i kazał sobie przywołać faktora, któremu polecił, ażeby mu wyszukał pieniędzy. Zaprzatnionemu temi kłopotami, upłynął cały poranek, niewieńczywszy zabiegów jego pomyslnym skutkiem. Po obiedzie przypomniał sobie, że ma o czwar-

tej odwiedzić pannę Aurelię. Niemogąc wytrzymać w domu i w samotności, wyszedł na ulicę, gdzie spotkał państwo Niedrzyckich. Odkłonili mu się z widoczną niechęcią. Rozżalony, błąkał się jakiś czas po Wałach, wreszcie z uderzeniem czwartej, udał się do mieszkania hrabiny Porajowej.

Panna Aurelia oczekiwała go w małym, gustownie umeblowanym saloniku. Na kominku płonął wesoły ogień, rzucając blask swój na brązowe ozdoby i złoczone ramy zwierciadeł. Dzień był mroczny, a ciężkie, adamaszkowe franki i draperye napełniały komnatę dyskretnym półcieniem, zachęcającym do zwierzeń i poufałości. Miło tam było, swojsko i ciepło! Jednem słowem widoczną była artystyczna ręka, która dobrze obmyśliła i urządziła *scenario*, dla odegrać się mającej komedyi.—Bohaterka nasza miała na sobie czarną kaszmirową suknię, ugarniowaną brokatem i koronkami. Pod szyją, po lewej stronie, chwiał się bukiet z trójkolorowych bratków; we włosach jej tkwił bukiet z tego samego kwiecia. Do twarzy jej było w tym stroju.

— *Ah, bonjour, monsieur Bronislas!* — zawołała, podnosząc się z kauapy, i odwzajemniając serdecznie uścisk jego powitalny. — Niewidać pana już teraz wcale, tak pan jesteś zajęty karnawałem... Siadajże pan,—rzekła,

wskazując mu przy sobie miejsce na fotelu,— i powiedz, co się z panem dzieje?

Popatrzył na nią badawczo, ale nie mógł dobrze rozpoznać wyrazu jej twarzy. Usiadła w cieniu, tak aby, sama niesledzona, mogła śledzić swego towarzysza.

— Nieszczęśliwie mi się powodził—rzekł z goryczą.

— No?—spytała z udanem współczuciem.— Sądziłam właśnie, że pan jesteś z Belką jak-najlepiej.

Uśmiechnął się cierpko.

— Tam wszystko zerwane!... Ale nie oto chodzi.

— Masz pan słuszość! — rzekła pocieszająco.— Nic pan na tem nie tracisz.. To większa gąska, a przytem ani posagu, ani koligacyi, ani stosunków!... Kilkanaście tysięcy guldenów może... *Une misère!*... To nie była partya dla pana, pomimo praktycznych może zresztą solniczek.

— Nie o to mi chodzi,—rzekł stropiony jej swobodą.

— Ach, prawda!... Ten ważny interes!.. Interes, co nas oboje obchodzi!... Mówże pan co to takiego?

— Sądziłem, że pani wiesz, co mnie tu sprowadza?—rzekł z naciskiem.

— A no!... Mówiłeś pan, że to jakiś ważny i pilny interes!

— Właśnie,—odpowiedział, wpatrując się w nią uważnie.--Wczorajsza reduta!

— Wczorajsza reduta?... Nie nie wiem!

— Ta Francuzka, przebrana za cyganek, która mnie prześladowała! — mówił, kładąc nacisk na każde słowo.

— Francuzka?... Przebrana za Cyganek?... *Je tombe des nues!*... I cóż, czyż ztąd wynika ten ważny interes, a zwłaszcza czyż mnie to może obchodzić?

— Mówiła mi, i to w głos, tak aby wszyscy słyszeli, starając się mnie skompromitować, —ciągnął drżącym od wzruszenia głosem dalej. —Mówiła mi, że wszystkim pannom głowy zawracam...

Wybuchnęła wesołym śmiechem.

— No, i cóż ztąd?... Toż to zwykła redu-toważintryga!...

— Tak, ale powiedziała, że jedną pannę doprowadziłem do spazmów i zemdlenia...

— Ha, ha, ha!... To o Belkę chodziło... O jej zemdlenie na kawalerskim balu!... Nie wiedziałam, że to pan byłeś przyczyną.

— Ja, pani?... Bynajmniej!

— W takim razie cóż to pana obchodzi?

— Niedrzyccy wzięli to do serca... Panna się gniewa... Ledwie mi się kłaniają na ulicy...

— To niech się im pan wytłómaczy!...

— Nie mam tam poco isć, bo cyganka skompromitowała mnie wobec nich, powiedziawszy, że rozkochałem drugą pannę, i pożyczam od niej pieniądze.

— Nic pana nie rozumiem!...

— Jakto?... Toż widoczna aluzya do pani!...

— Do mnie?... Ha, ha, ha!... A to jakim sposobem?...

Zgłupiał wobec tej swobody.

— Ach, rozumiem, co pan myślisz!—zawołała.—Ha, ha, ha, ha!... To niby ma znaczyć, że się zakochała w panu i że dlatego pożyczyła panu pieniędzy... ha, ha, ha, ha!... ha, ha, ha, ha!... I cóż to pana i cóż to mnie może obchodzić?

— Jakto, pani?... A gdyby to ludzie wzięli na języki, gdyby przekręcili, zarzucając mi nieszlachetność?...

— Rozumiem pańską drażliwość, i pochwalam delikatność uczucia!... Istotnie podłym byłby mężczyzna, któryby w ten sposób wyzyskiwał tkliwość kobiety!... Ale pan nie jesteś w tym wypadku, i niepotrzebnie się pan trwożysz pierwszym lepszym redutowym konceptem... Powtarzam, nie jesteś pan w tym wypadku, bo najprzód nie wyzyskałeś mojego

uczucia, a powtóre dlatego, że nikt nie wie o tem, co zaszło pomiędzy nami.

— A zkadże się o tem dowiedziała cyganka?...

— Czyż ja wiem?... Pusty jakiś strzał, który pana niepotrzebnie zatrwożył... A może?... Czekaj pan!... Wszak Jadwisia była przy tem, gdy panu wręczała pieniądze?... Tak jest!.. Jeżeli to nie pusty strzał, to nikt inny, tylko ona musiała komuś powiedzieć... Napędzę ją bez miłosierdzia!.. Już i tak spostrzegłam ją kilka razy, podsłuchującą pod drzwiami, co się mówi.

Pan Bronisław przypomniał sobie, że Jadwisia była istotnie wtedy obecną.

— Rzeczywiście!...—rzekł udobrochany.— Ja także przyszedłem do przekonania, że cyganka nie od pani musiała się o tem dowiedzieć, jakkolwiek z początku nie mogłem myśleć inaczej.

— Jakto?... Jabym miała powiedzieć?... Jabym miała się wdawać w plotki? — zawołała z udanym żalem.—Ja, która mam tyle życzliwości dla pana?... Czyż nie postępowałam z panem szczerze, jak z przyjacielem? Czyż nie starałam się zrobić panu w mem towarzystwie jaknajlepszej opinii?... Ja miałabym szkodzić pańskiej reputacyi, ja?.. niesprawiedliwym pan jesteś, panie Bronisławie!

— Prawda, prawda—zawołał rozbrojony całując jej rękę. — Przepraszam panią przepraszam!... Chwilkę jeno rozdrażniony i przygnębiony posądzałem panią o to... Ale potem rozważywszy, i przypomniawszy sobie pani przyjazną dla mnie życzliwość, i hrabiny łaskawość, przyszedłem do innego zdania... Zresztą znam nadto rozum pani, by nie pojąć, że nie mogłabyś wziąć udziału w intrydze takiej, i dać ludziom powód do gadania, które ostatecznie mogłoby i panią skompromitować.

— Mnie skompromitować!—zawołała wyniosłe. — A to jak?... Potrzebowałam podwody, i mogłam za nią zapłacić, co mi się podobало.

— Zresztą — ciągnęła dalej słodziutko, zamiarkowawszy, że go niepotrzebnie drasnęła, uniesiona pychą i dając folgę swej złośliwości. — Zresztą pan wiesz najlepiej, panie Bronisławie, że tylko życzliwość moja dla pana, była pobudką mej czynności... To nam powinno wystarczyć nieprawdaż?... Cóż nas ludzie obchodzą? Drwię z ludzi!... Mówiłam panu już raz, że stoję zbyt wysoko, abym się miała obawiać sądu świata... Jestem dumna, przyznaję to, i dlatego wybac mi, panie Bronisławie, że, drażnięta przez pana w ten uczucie, wybuchnęłam tak gwałtownie!.. *Soyons amis, Cinna, c'est moi qui t'en conjure!*

— dodała, podając mu rękę, i uśmiechając się zalotnie.

Była niemal piękną w tej chwili. Pan Bronisław podniósł rękę jej do ust, i wycisnął na niej gorący pocałunek.

— Ale *à propos!* Jeszcze jedna rzecz!... W chwili gdy mnie pan posądzałeś o autorstwo, czy też o udział w tej intrydze, powiedz mi pan, jak to sobie tłómaczyłeś?... Jakibym mogła mieć powód szkodzenia panu w opinii świata? — ja, która, jak może pan spostrzegłeś, staram się owszem o to, aby ludzie o panu myśleli jak najlepiej?

— Sądziłem, że maska nie może wiedzieć o mych stosunkach od nikogo innego, jak tylko od pani, a że prostem i nieuniknionem następstwem jej plotek, musiało być zerwanie moich relacyi z domem państwa Niedrzyckich, więc musiałem przypuścić, że to było chyba pani zamiarem.

Zamyśliła się chwilę.

— Cóżby to mnie tak dalece mogło obchodzić? — zaczęła znowu. — Przyjaźń, którą mam dla pana, i z którą się bynajmniej nie taję, nie mogłaby mnie skłonić do tego kroku, nie prawdaż?

— Tak jest.

— A więc przypuszczałeś pan, że jest jakiś powód inny... Cóż pan myślałeś, powiedz?

— Nie mogę.

— Konieczniel... Żądam tego od pana!

— Pani mnie posądzisz o zarozumiałość.

— Wszystko jedno, mów pan! Mam przecież prawo żądać tego od pana, abyś się wytłomaczył, skoro mnie obraziłeś swem podejrzeniem.

— Przypuszczałem, — jął mówić zakłopotany, — że zazdrość panią skłoniła do tego kroku.

— Ja zazdrosną o taką Belkę? ha! ha! ha!.. Za nadto siebie cenię wysoko, bym zdolną była takiej pokory... A potem któż panu powiedział, że pana kocham?... Powiedziałam panu otwarcie, że mi się pan podobaasz, i, gdyś mi pan oświadczył, że mnie kochasz, objawiłam panu, jak się na tę rzecz zapatruję, pozostawiając ci najzupełniejszą swobodę działania... Skreśliłam wtedy obraz tego, co mogę dać mężowi, i czego od męża wymagam, mówiąc równocześnie, że, jeżeli panu dogodnymi są moje warunki, to możemy o tem pomówić innym razem... Wyznaj pan, że działałam lojalnie, i że wobec wybuchu pańskiej namiętności, kobieta mojego stanu, nie mogła postąpić inaczej... Wreszcie oświadczyłam panu, że nie będę mieć żalu, jeżeli, ochłonąwszy, cofniesz twe wyznanie... Paneś je cofnął, pan o niem zapomniałeś... Nie mogę mieć żalu do pana, pozostawiając mu swobodę.

Mówiła tak roztropnie, z taką szlachetną dumą, z takim serdecznem ciepłem, a zarazem tak szczerze, że bohater nasz, wzruszony jej wymową, nie mógł się oprzeć urokowi. Była zresztą dla niego w tej rozpaczonyj chwili jedyną kotwicą zbawienia, aniołem-pocieszycielem w strapieniu. Żadna postać niewieścia nie wciskała się już pomiędzy nich, odwodząc go od tej kobiety, która mu imponowała rozumem, szlachetną dumą, spokojem i powagą. Rozsądek mówił mu, że przy jej boku, i jej podparty ramieniem, zabezpieczy sobie przyszłość taką, jakiejby nigdy sobie zbudować nie umiał bez jej światła, i wytrawnego sądu; — uczucie powiadało mu, że przyjaźń, którą mu okazywała zawsze, a której nie cofała nawet i teraz, w tej tak ciężkiej dla niego życia chwili, jest drogim skarbem, za który warto sercem zapłacić.

— Ależ ja nie cofnąłem tego słowa! — zawołał, chwytając ręce jej namiętnie, — ja go nie cofam, jeżeli tylko pani słów swych nie cofasz!... Wiem, jak szlachetnem jest serce pani, i że, oparłszy się na niem, śmiało i szczęśliwie mógłbym iść przez życie... Byłem chwilkę w obłędzie... Imponowałaś mi pani zanadto rozumem, znajomością świata i dowcipem... Lękałem się pani i wyciągałem dłonie gdzieindziej... Opierałem się wpływowi

pani, starałem się zrazić ku niej, wyszukując plam na słońcu, i szamocąc się w pętach w które mnie urok pani zakuwał. Łaskawość pani zawstydzała mnie, upokarzała pomoc jej i każda jej przysługa... Staralem się zerwać więzy, które mnie zdaniem mem poniżały... Teraz widzę, że tylko przy pani znaleźć mogę szczęście... Poznaje, że to, com nazywał pychą, jest tylko szlachetną dumą, to com mienił rachubą, roztropnością, a to w czem widziałem chłód, rozwagą i głębią uczucia... Ja panią kocham, tak jak warta jesteś kochania, miłością taką, jak ją pojmujesz, — spokojną, stateczną, lecz niemniej gorącą!... O! nie odtrącaj mnie pani, nie odtrącaj, zwłaszcza teraz, gdy mi tak serca potrzeba!

Mówił to ze szczerym zapałem i łzami w oczach, wyciągając ku niej dłonie, drżące ze wzruszenia. Wreszcie, uniesiony własną wymową, pochylił się nad nią i, pochwyciwszy jej ręce, począł je całować namiętnie.

— Ależ ja pana nie odtrącam! — odparła, wzruszona jego czułością. — Ja pana nie odtrącam, — powtórzyła raz jeszcze, głaszcząc jego skronie, i pieszcząc jego włosy. — Czyż sądzisz pan, że cię nie kocham?... Oprócz rozsądku, który mi mówi, że w związku z panem mogę być szczęśliwą, oprócz przyjaźni, którą panu dałam odrazu i bezinteresownie, odzywa

się w mej piersi jeszcze inne, żywsze uczucie... Niedobre, niepocziwe dziecko!... Czyż nie zbliżyłam się do pana pierwsza, z całą szczerością przyjaźni?... Jak można było tak źle zrozumieć serce moje?... Czyż mogłam przypuścić, że pan w naszym stosunku będziesz widzieć poniżające go pęta, że cię wstydzić będzie moja uprzejmość, że cię upokorzy moja, tak szczerze bezinteresownie i przyjaźnie ofiarowana przysługa?...

— Przepraszam! przepraszam! przepraszam! — wołał, całując jej rękę.

— Mogłabym się gniewać na pana, gdybym w tem nie widziała dowodu, stwierdzającego szlachetność jego uczuć... Byłeś sam z sobą w roztercel... Pociągała pana ku mnie moja życzliwość, i te, któreś we mnie może odkrył, zalety; — odpychało to, co pan nazywasz wyższością... Lękałeś się mojego wpływu, pragnąłeś się z pod niego usunąć... W tem usposobieniu umysłu ciężyć panu musiały dowody mej życzliwości... Upokarzała pana myśl, że w ten sposób zaciągnąć mogłeś wobec mnie jakieś zobowiązania.

— Przepraszam! przepraszam! przepraszam!

— Ależ ja się nie gniewam wcale!... Jesteś pan dzikim wprawdzie, ale szlachetnym tabunem... Pojmuję pana doskonale... Nie zasta-

nowiłam się nad tem, ofiarowując panu oną przysługę, która pana spłoszyła... Był to nieobrachowany poryw serca!... Tłómaczyłam go sobie przyjaźnią... Być może, że się sama łudziłam, bo z kądżeżby się wzięło moje tak nagłe dla pana współczucie?... Zadawałam sobie już nieraz później to pytanie, niemogąc na nie znaleźć odpowiedzi... Myśl moja była ciągle panem zajęta; na balu szukały pana ciągle moje oczy... Widziałam pana u boku innej, lecz nie zazdrościłam — o! nie, zbyt jestem dumna!... A potem coś mi ciągle szeptało, że do mnie powróć cisz... I nie zawiodłam się, wróciłeś pan, kochasz mnie, jestem szczęśliwą!

— Drogi, kochany aniele! — zawołał pan Bronisław, obejmując ją w pół, i przyciskając do piersi.

I rozmawiali ze sobą tak dalej serdecznie, okłamując się nawzajem w najlepszej wierze i szczerości, jak to zwykle bywa w takich razach. Miłość albowiem i namiętność mają z jednej strony to do siebie, że wyszlachetniają najmniej szlachetnych, lecz z drugiej strony różowe nam wkładają szkła na oczy. Stajemy wtedy najczęściej w sprzeczności z logiką natury, i patrzymy przez tęczowy pryzmat na świat, na ludzi, na siebie. Wierzmy, że wszystko jest takim istotnie, jakiem się

nam przedstawia w chwili wezbranego uczucia. W gruncie rzeczy okłamujemy wtedy siebie i drugich, bo postać rzeczy inną jest, aniżeli się nam przedstawia w tej chwili niebiańskich uniesień, i logika natury odmienną jest od logiki naszych uprzedzeń.

— Ale! — zawołała nagle wesoło. — Powiedz mi pan, ileż pan głupstw zrobiłeś w tym czasie? Bo szalony i rozdrażniony, jakim pan byłeś, nie musiałeś pan wcale statkować!

Słowa te zbudziły go z jego upojen. Przypomniał sobie, że grał mimo danego jej słowa, przypomniał sobie przegraną do Kocubejowicza, i dług honorowy w kartach zaciągnięty, i rozpaczliwe swe położenie. Twarz jego zasepiła się boleśnie; — spuścił oczy i milczał.

— Ach, jak pan niemasz do mnie zaufania! — zawołała z wyrzutem. — A przecież sędzę, żebym na nie zasługiwała... Wiecznież panna krępować będą te dziecinne skrupuły?... Będzieszże się pan taić przedemną nawet i teraz, gdy mamy być mężem i żoną, jednym ciałem i jedną duszą?... No, mów pan, mów szczerze, z ufnością... Wszystko przebaczę!... Będziemy się starali wszystko naprawić!

— Ach, pani! — jęknął, zasłaniając sobie oczy. — Co pani o mnie pomyślisz?

— Co pomyślę?... To, co jest!... Żeś pan nie-dobre, krnąbrne i lekkomyślne dziecko.... Prze-

cież nie zabiłeś nikogo?... Mów pan, śpiesz się! Ciocia wróci za chwilę... Albo nie, czekaj pan, ja panu powiem, bo wiem o wszystkim... Ciężył panu mój dług. Nie chciałeś więcej korzystać z mojej przyjaźni. Chciałeś mi zwrócić pożyczone pieniądze... Nie miałeś zkąd.... Poszedłeś grać; Tolo mi o tem mówił.—I przegrałeś... Nieprawdaż?

— Tak, pani! — szepnął przygnębiony.

— Wielka rzecz! .. To się naprawi... Najgorszą w tem wszystkim, była nieufność do mnie, i niedotrzymanie danego słowa.... Tego więcej niebędzie, nie prawdaż?... Wszak mamy być mężem i żoną. To nigdy już być niepowinno!... Wiem, że pan nie jesteś nałogowym graczem... Szał i znękanie tylko popchnęły pana do zielonego stolika... Daj mi słowo honoru, że w hazardowne gry nigdy grać nie będziesz.

— Słowo honoru!...

— Wierzę... Masz pan tu tysiąc guldenów... Wiedząc od Tola o wszystkim, przygotowałam je już dla pana... Czy wystarczy?...

— Najzupełniej!... Ach, jakże wdzięczna pani jestem.

— Nie masz pan powodu!... Wszak to już teraz tak dobrze twoje, jak i moje pieniądze... Jeżeli panu będzie potrzeba, udaj się śmiało do mnie!

Wtem ozwał się głos dzwonka w przedpokoju, i po krótkiej chwili weszła hrabina do salonu.

— Ciociu, — zawołała wesoło panna Aurelia, powstawszy z kanapy i wzięwszy pana Bronisława za rękę.— Ciociu droga! pan Bronisław Żymirski, panna Aurelia Niegodzka —narzeczeni!

Koniec Surowego Materiału.

MARTWICA.

<http://rcin.org.pl>

ROZDZIAŁ I.

Jako dobrze zrozumiana pobożność nietylko furte niebieską odmyka, ale na tym padole szynionów, tiurniur, veloutyny, waty i gutaperchy, także i do zadawania szyku bywa pomocną.

Na zegarze ratuszowym biła właśnie dwunasta, gdy przed wielkimi drzwiami lwowskiej metropolitalnej katedry, zatrzymała się karetka panny Aurelii Niegodzkiej. Z kozła zeskoczył lokaj w liberyjnym płaszczu o herbowych guzikach, w piaskowych kamaszach i ugalonowanym kapeluszu, aby otworzyć drzwiczki. Aliści p. Bronisław Żymirski, przyjechawszy w ślad za panną młodą, ubiegł go w tej czynności, i z uprzejmą gracyą podał rękę swej narzeczonej. Panna Aurelia zeskoczyła zgrabnie z rydwanu swego na ziemię, uściskałszy przy tej sposobności rękę narzeczonego, a nie zaniedbawszy zwinnym ruchem nogi w tył odrzucić długiego ogona białej atlasowej ślubnej sukni.

Pan młody podał następnie rękę z wielkiem uszanowaniem hrabinie Porajowej, matkującej swej siostrzenicy. Poczem weszli wszyscy troje do kościoła, gdzie młodych państwa powitał i wodą święconą pokropił prałat infułat, przyjaciel hrabiny, przyczyniając w ten sposób świetności, odbyć się mającemu ślubnemu obrzędowi.

Wysoki dowód niezwyklej łaski, jaki tu złożył książe kościoła, zadziwił wielce licznie już zebraną ciekawą publiczność, którą do kościoła zwabił widok szeroko rozwartych, wielkich drzwi świątyni, otwierających się zazwyczaj tylko w uroczyste święta, i dla osób urzędowych, reprezentujących władzę krajową. Należałoby więc chyba było przypuścić, że młoda para naczelne w społeczeństwie zajmuje stanowisko, skoro jej zarząd kościoła metropolitalnego tak wielkie czyni honory. Ale fioletowy prałat, chciał w ten sposób z jednej strony dać dowód życzliwej przyjaźni dla swej cnotliwej Filotei, — z drugiej zaś zbudować grzeszników, pokazując im jak szczerze Kościół Matka nagrodzi umie prawdziwą cnotę, pobożność, i zasługę.

Odpowiednio temu przyjęciu przystrojony był też i kościół odświętnie. Posadzkę kamienną od kruchty aż do stopni wielkiego ołtarza, wysłano wspaniałemi kobiercami. Na

ołtarzach, świeżą pokrytych bielizną, gorzały płomienie licznych świec, przyozdobionych świeżemi bukietami sztucznego kwiecia, i karkardami z różowego atlasu. Ściany obwieszono makatami i gobelinami, wydobywanemi ze skarbcza kościelnego tylko na Wielkanoc, Boże Ciało i w dzień Wniebowzięcia Matki Boskiej, jako patronki kościoła. Całe klomby bukietów z róż i lilii białych uzupełniały tę świąteczną dekoracyę. Zapach świec płonących, oraz wyziewy stęchłych makat i kobierców, mieszając się z dymem kadzidła, a przysłuszając tchnienie kwiecia, obciążał powietrze jakąś nudną, denerwującą i specjalnie kościelną wonią.

Tymczasem otoczyli młodą parę družki, družbowie i liczni ślubni goście, napełniając kruchtę kościelną szelestem jedwabi, zapachem *ess bouquet'u*, *violette de Parme* i *rezedy*, oraz szmerem francuskiej paplaniny. Niebawem uszykował się orszak weselny, i panna młoda, prowadzona przez družbów, a pan młody w towarzystwie družek, pośpieszyli do wielkiego ołtarza. Wśląd za nimi udali się goście, przeciskając się z trudem przez ciekawe tłumy, przypatrujące się twarzom i tualetom. i krytykujące takowe złośliwie:

— Co tu parady! co tu fummy! co tu ambasasu!—szeptały stare kumoszki.—Bodaj to

mieć pieniądze, to człowiek używa przynajmniej na świecie.

— Co też pani mówi!... Pan młody powiadają goły, jak święty turecki, a ona także podobno niewiele ma.

— Et, alboż to prawda? Chybaby głupi był, brać taką maskarę bez pieniędzy!...

— Przyznać trzeba tej Aurelii, *qu'elle a du goût*,—mówiła Koli Borzyckiej Muszka Zawierska.—Doskonale się ubrała, a jej narzeczony wcale ładny chłopiec.

— *Allons donc!*... Co mi to za ładny chłopiec?... Wygląda jak parobek od wołów.

— No, doczekała się nareszcie!— szeptała w ucho wesolej jakiejś, lecz już dojrzałej brunetce, tłuściutka blondynka.— Tu już prawdziwie można powiedzieć, że *une chacune trouve toujours son chacun*.

— A uważałaś jej miny?... Moja droga patrz, patrz!.. Nie, *c'est à mourir de rire!*... Niby to zakłopotana, niby naiwna; istna pensyonarka, ha, ha, ha!... A ona *ma chère* bywała już na balach u pierwszego arcyksięcia, kiedym ja jeszcze chodziła w majtkach, i zjadała kredę i ołówki.

— *Mais lui, voyez donc*, jaki on rozpromieniony!... Zdaje mu się, że Pana Boga za nogi złapał... A tam powiadają tylko licha jakaś wiaseczka, a pretensyi mnóstwo!...

— *Et puis vous savez*, były tam jakieś historie w Rzymie i w Paryżu, z jakimś włoskim kelnerem, który udawał księcia.

— *Impossible!*

— *Mais oui ma chère...* Mąż mi to opowiadał... Ona chciała jego oszukać, a on ją, i wykierowali się wzajemnie ha! ha! ha! Tylko o o tem się nie gada, bo to niebezpiecznie się narazić Porajowej...

— Odpląci-że on jej to wszystko po ślubie... To podobno donżuan sławny na całą okolicę.

— *Eh, quelle idée!*... Donżuan chyba garderobiany!... Zresztą to doświadczona panna i uczennica Porajowej!... Oho! nie da sobie ona rogów przyprawić.

— Powiedz mi *mon cher* — pytał hrabiego Przedrzymirskiego młody książę Skiergiełło niedbale — co też tego Broncia skłoniło do tego małżeństwa, bo podobno, że się podkochiwał w Belce Niedrzyckiej, i że ona mu także sprzyjała?

— Tak, ale Aurelka miała za niego długi popłacić, czy też mu pożyczyć pieniędzy, i odciągnęła go w ten sposób od Belki.

— Nie może być?

— Ale tak!... Było nawet o tem dużo gadań po ostatniej reducie... *Vous souvenez-vous?*

— Coś, coś sobie przypominam .. Jakas cyganka?..

— Otóż właśnie!.. Koniec końców tam zerwał, i przyparty przez Porajów do muru, żeni się teraz nieborak z wdzięczności.

— Biedny chłopiec!.. *Il a l'air bien bête* z tą miną rozpromienioną, i z temi ogromnemi fantazjami u krawaty.

— Patrz no, patrz Kleofasiu! — wołała żona jakiegoś kupca na swego męża. — Widzisz tego we fraku ze złotemi haftami i w orderach, tego co pannę młodą prowadzi... Co to za jeden?

— To hrabia Artur Poraj, co służy przy ambasadzie w Londynie. Mówił mi kamerdyner hrabiny, że on umyślnie przyjechał „jaż“ z Londynu, ażeby dziś družbować koniecznie.

— Tak?.. A ja myślałam, że to jaki król... No proszę cię, a dla czego on taki sztywny, rychtyk tak jakby go nakrochmalili?

— To dla tego, że mieszka w Londynie... Tam jest taki zwyczaj, że każdy Anglik na śniadanie kij połyka, ażeby się trzymać *steif* aż do wieczora.

— Cóż też ty gadasz Kleofasiu?

— Dalibóg, tak rozповідаł profesor, a on to przecież zna.

— Jój!.. A to ci heca dopiero!.. Jak Lwów Lwowem nie było ślubu z taką paradą.

Tymczasem płynął pod gradem tych uwag i krytyk, orszak weselny ku wschodom wielkiego ołtarza. Oboje państwo młodzi szli gwarząc wesoło z družkami i družbami, uśmiechając się uprzejmie do znajomych, którzy ich witali, i nie słysząc wcale sypiących się za nimi kwodlibetów. Panna młoda wesoła, z minką niby zakłopotaną, rzucając mimo to od czasu do czasu ciekawe i tryumfujące spojrzenia w gęste szeregi cisnącej się publiczności,—pan młody rozpromieniony, a jednak jakby zakłopotany swoim tryumfem, i niezgrabny w tem zakłopotaniu. Dalej postępowała w ciemno szafirowej aksamitnej sukni i rodzinnych na szyi perłach hrabina Porajowa, uśmiechając się zwycięzko, podnosząc dumnie głowę, i odwzajemniając wyniosłe liczne powitania. Obok niej szła matka pana młodego, pani Żymirska, skromna, słusznego wzrostu i szczupłej budowy kobieta, zwracająca pomimo to uwagę na siebie, układem pełnym dystynkcyi, oraz dziwnym wyrazem łagodności i słodyczy, rozlanym na jej pargaminowo-bładem licu. Postać jej szlachetna i jakby ze starego jakiegoś oderwana obrazu, odbijała szczególnie wdzięcznie od całego jej otoczenia, a zwłaszcza już od tryumfującej hrabi-

ny. A jednak było w niej coś, co tworzyło dysonans z wesołym nastrojem tej uroczystości. Cichy smutek leżał na pogodnem zresztą czole sędziwej matrony. Zdawała się być przygnębioną, jakkolwiek zrezygnowaną; — rzechy można, że ślub dzisiejszy jej ukochanego syna, jest zawodem jej nadziei.

Jeszcze dalej szedł z siostrą hrabiny, ojciec pana młodego stary Żymirski, — czerstwy jeszcze i czupurny pomimo lat sześćdziesięciu mezczyzna, wyprostowany jak świeczka, w niezgrabnym, lecz wstążeczką *virtuti militari* ozdobionym fraku, rzucając pożądliwe spojrzenia na obnażone biusta družek, i ruszając wyczernionemi, krótko przyszczyżonemi, i do góry podkręconemi wąsami. Za nim postępował w kontuszu i żupanie a ze szkiełkiem w oku hrabia Tolo Poraj, prowadząc pod rękę, swoją brylantami błyszczącą żonę; — za nimi stryj pana młodego, bogaty pan Józef Żymirski, w wspaniałym magnackim stroju, i młoda jego, piękna, z nietak krzykliwym przepychem, lecz prawdziwie wykwiintnym smakiem ubrana żona. Dalej liczni krewni domu Porajów: panie w atłasach i aksamitach, panowie we frakach, kontuszach i mundurach. Wreszcie pośród drobiazgu Porająt i Porajewiczów najmłodszy brat pana młodego, dwunastoletni, chudy jak tyka, Oleś

Żymirski, z tłustemi od pomady, a jak druty stojącemi włosami, z wyrazem spłoszonego zająca na twarzy, w widocznie ciasnych lakierowanych bucikach, w krawatce z olbrzymim nakrochmalonym fontaziem, i w niezgrabnym, przez starego Szłojmę z Jastrzębówki, umyślnie na wesele brata, z starej ojcowskiej czamarki, przerobionym rajtroczku. Szedł, poglądając co chwila, z dumą na olbrzymi bukiety ślubny, przypięty złotą szpilką do jego piersi, i dotykając go co chwila ręką, ażeby się przekonać, czy go przypadkiem nie zgubił.

Było coś dramatycznego w zetknięciu się tych dwóch rodzin, biorących tak rozmaity udział w tej, dla obojga z nich wrzekomo radośnej uroczystości. Poraje i Porajowicze licznie zgromadzeni, błyszczący, dumni, gwarliwi i zadowoleni zdziwieniem, w jakie publiczność wprawiała rozwinięta przez infułata ku uczczeniu jednego z członków ich rodziny prozopopeja, wyglądali tak, jak tryumfatorowie, mający poczucie swego zwycięstwa. Żymirscy, nieliczni, milczący, i jakby przygnębieni, szli podobni do jeńców wojennych, jak gdyby niechętnie, i w świadomości, że obecnością swoją przyczyniają się jeno do uświetnienia cudzego tryumfu. Jeden tylko pan Józef Żymirski we wspaniałym magnackim stroju oraz piękna jego, wykwintna i światowa małżonka

podnosili splendor przyćmiony, starego rodu. Aliści bogaty szlachcic ten dalszym już był krewnym, a zresztą cóż znaczył ten wyjątek wobec tak licznych Porajów i rozwiniętej przez nich świetności? Okoliczność ta nie uszła baczne oko hrabiny, przypatrującej się korowodowi swej familii wzrokiem jenerała, lustrującego żołnierzy swoich w czasie parady. Złośliwy uśmiech zaigrał na jej twarzy, czerpała bowiem w tym widoku, zadowolenie utajonej zemsty. Miała żal skryty do Żymirskich, że nie z wielką radością przyjęli byli wiadomość o zamiarach syna.

Były tam nawet z tego powodu czas jakiś wielkie kwasy i nieporozumienia pomiędzy obiema rodzinami. Pani Żymirska, której starszy syn i córka nieszczególne wedle jej wyobrażeń porobili byli partye, pokładała wszystkie nadzieje w Brońciu, wierząc, iż tenże wyszuka jej synowę, wedle serca jej i wyobrażeń. Aliści panna Aurelia nie odpowiadała pod żadnym względem ideałowi staruszki, wychowanej w staropolskich tradycjach,—pobożnej, szczerzej, skromnej, lecz przytem pamiętnej, że w żyłach jej karmazynowa krew Bielickich płynie. Nie zadawała jej koligacya z Porajami, a zwłaszcza już z Niegodzkimi. Nie cieszyło jej wejście syna w związek z rodziną prózną, chełpliwą, prawie zczudziem-

czają, chciwą, przebiegłą, a w wyborze dróg wiodących do celu bezwzględną. Obawiała się, że wpływ tego otoczenia szkodliwie oddziałać będzie musiał na jej syna, potęgując jego wrodzone przywary. Najwięcej zaś martwił ją wybór pana Bronisława z powodu osobistego jej wstrętu ku pannie Aurelii, której przewrotność odgadywała pomimo gołębiej swej prostoty. Żał więc miała do hrabiny, której opiece gorącemi niegdyś listami polecała swojego gagatka.—Zdawało jej się bowiem, że przyjaciółka z lat dziecińczych, popierając zamiary p. Bronisława co do panny Aurelii, nadużyła jej zaufania. Niemniej niezadowolonym był z wyboru syna stary Żymirski, nie dla tych samych wprawdzie, co małżonka jego, powodów, ile raczej dlatego, iż żeniaczka ta, stawiała go wobec konieczności pozbycia się pewnej części majątku dla wyposażenia dziecięcia.

Wszystkie te kwasy doszły były do uszu groźnej hrabiny, która, uczuwszy się w dumie swojej dotkniętą, z całą zaciętością i bezwzględnością wszelkich przyłożyła starań, aby pokonać opór Żymirskich. Udało się jej to zresztą bez wielkiego trudu, parafianin nasz bowiem, związany słowem wobec panny Aurelii, a olśniony świetnością Porajów, mało sobie ważył życzenie rodziców, i dążył tem wy-

trwalej do zamierzonego celu, im większe w domu napotykał przeszkody, które zresztą zawsze usuwały hrabina i jej siostrzenica. Konkurował też piękny Bronćcio wesóło za pożyczone od narzeczonej pieniądze, odwiedzając licznych krewnych panny Aurelii czwórką, podarowaną mu przez stryja Józefa, polując z hrabią Tolem na angielskich hunterach, zawiązując wszędzie arystokratyczne znajomości, honorowany wszędzie, wszędzie rozrywany, i rad wielce ze swych sukcesów. Pochlebiało mu to, że hrabiny i baronowe świeżej daty raczyły go uważać, jako przyszłego krewnego;—rósł we własnych oczach, gdy mu mężowie pań tych nie szczędzili poufałego „ty,“ które niegdyś, rozmawiając z nim, starali się zręcznie ominąć. Wzywał się coraz bardziej w te nowe stosunki, oddalając się coraz bardziej sercem od swoich, i tracąc poczucie własnej godności.

To też, gdy nadeszła chwila ślubu i rozsyłania zaprosin, zdał się ze wszystkiem na swą narzeczoną i „ciocię,“—tak bowiem nazywał już hrabinę,—twierdząc, że panie te najlepiej to będą umiały urządzić. Ciocia z radością pochwyciła sposobność upokorzenia Żymirskich, zapraszając oprócz stryja Józefa, którego ze względu na jego majątek i społeczne stanowisko nie prosić było niesposób, naj-

bliższe tylko pana młodego rodzeństwo, ściągając równocześnie wszystkich, chociażby i najdalszych, byle tylko bogatych koligatów, ażeby w ten sposób oślepić Żymirskich, za-
 możnością i świetnością swojej rodziny. Po-
 służył jej w tem jeszcze i przypadek, siostra
 albowiem pana młodego, pielęgnując obłożnie
 chorego męża, nie mogła przybyć na brata
 wesele; wdowa zaś po starszym bracie, jak-
 kolwiek z dziećmi we Lwowie mieszkająca,
 wymówiła się swą, aczkolwiek nieświeżą ża-
 łobą, niechcąc się, jako niezamożna, narazić
 na upokorzenie w tak świetnem towarzy-
 stwie.

Doszedłszy do stopni wielkiego ołtarza, od-
 dała panna Aurelia drużbie, hrabiemu Pora-
 jowi, olbrzymi bukiet z białych róż, hiacyn-
 tów i konwalii, który dotychczas w ręku nio-
 sła;—sama zaś ukłękła na jednej z leżących
 tam aksamitnych poduszek, aby w modlitwie
 i skupieniu ducha przysposobić się do przyję-
 cia sakramentu, mającego jej otworzyć bra-
 mę nowego życia. To samo uczynił i pan
 młody. Klęczeli tak chwilę długą w pobożnej
 postawie, napozór zagłębieni w modlitwie. Ale
 myśl ich nie zastanawiała się nad obowiąz-
 kami, jakie na nich włoży niebawem ślub za-
 warty, ani się też nie wznosiła ku Najwyższej
 Istocie, aby tam zaczerpnąć siły i otuchy, po-

trzebnej do należytego wypełnienia tych obowiązków. Żyli tylko poczuciem chwili obecnej;—on, oszołomiony rozwiniętą przez ciocię hrabinę prozopopeją, uradowany tryumfem tej rodziny, której się członkiem stawał, nurzający się w morzu rozkoszy, i nieczujący wcale upokorzenia, jakiego skutkiem tryumfu Porajów i zaćmienia Żymirskich doznawał;—ona, połączona uczuciem zadowolonej próżności, rozkoszująca się myślą osiągniętej zemsty, uniesiona świadomością zwycięstwa, i zachwycona osiągnięciem celu swych zabiegów.

Chwilkę jedną zwróciła się myślą ku wspomnieniom ubiegłego żywota, tak jak to czyni wędrowiec, przystający wśród podróży, aby rzucić okiem na przebytą drogę. Ujrzała się nowu opuszczonem i poniewieranem dziecięciem, a następnie panną, otoczoną zbytkiem i przepychem. Przed okiem jej przesunęły się postacie dawnych jej ideałów: i Frus Koniecpolski, i hrabia Brach MünchhausenWalgerode, i książę Belgiojoso, i wszyscy świetni kawalerowie, których widywała u dworu lub na balach ambasadorskich, i ministeryalnych salonów. Atoli wszystko to nie miało dla niej w tej chwili żadnego uroku, i wydawało jej się wiotkiem, nieuchwytnem i spłowiałem, tak jak postacie w mglistych obrazach, ukazywanych w teatrze. Walka, którą stoczyć musiała o

narzeczonego, spotęgowała pierwotne jej dla niego, dość chłodne uczucie. W miłość tę przeniosła całą zaciekłość i gwałtowność, którą włożyła była w intrygi, prowadzące ją do wytkniętego celu.—Zdobyła go nareszcie! Był tu, klęczał koło niej, widomy, dotykalny, posłuszny jej woli, okiełznany i ujeżdżony odpowiednio wymaganiom i wyobrażeniom jej świata. Spojrzała nań. Policzki jego płonęły zdrowiem; uśmiech rozkwiecał mu usta, wydęte ku puharowi życia, i wilgotne żądzą rozkoszy. Czerstwość zdawała się rozparać wszystkie szwy jego fraka. Pełna przeczuć szczęścia, żądna rozkoszy, wyciągnęła rękę, szukając jego dłoni, i uścisnęła mu ją namiętnie.

Po za państwem młodem uklękła ze spuszczoną smętnie głową i zamkniętymi oczyma pani Żymirska, przygnębiona, pełna trwogi, chyląc się pokornie przed Bożemi wyrokami, błagając nieba o błogosławieństwo dla swego dziecięcia i o odwrócenie od domu jej wszystkich klęsk i nieszczęść, których przecucie zakrwawiało macierzyńskie jej serce w tej chwili.

Stanąwszy na najwyższym stopniu ołtarza, przemówił ksiądz infułat do państwa młodych, zwracając uwagę ich na ważne obowiązki, jakie wobec Boga i ludzi zaciągają ci, którzy wstępują w stan małżeński. Wskazawszy na-

stępnie religię, jako źródło, z kąd czerpać im należy światła, siły i otuchy, aby nie ulegli w twardej walce żywota, wyraził zadowolenie Matki Kościoła na widok połączenia się dwojga tak cnotliwych rodzin, a zarazem jego otuchę, że wstępująca w śluby małżeńskie panna młoda, mając we własnym rodzie tak świetny przykład zacności, mądrości i świątobliwości, znakomicie odpowiedzieć potrafi obowiązkom żony, matki, chrześciance i obywatelki.

Po tym, na cześć swej Filotei uroczyście i z wielkiem namaszczeniem wygłoszonym panegyryku, przystąpił fioletowy prałat do spełnienia rytualnych ceremonii,—*Veni Creator* zabrzmiało, zamieniono pierścionki, i panna Aurelia Niegodzka, zostawszy panią Bronisławową Żymirską, pozbyła się swego rodzowego nazwiska, które tak ją irytowało, nietylko w kraju, ale niegdyś i w Paryżu, gdy, źle przez Francuzów wymawiane, dawało powód do śmiesznych kalamburów.

Przed odejściem od ołtarza, wzięła panna młoda bukiet z rąk starszego družby i, wszedłszy teatralnym krokiem na platformę, złożyła go na ołtarzu, jako symboliczną ofiarę dotychczasowego panińskiego żywota. Poczem, podawszy rękę staroście ślubnemu, hrabiemu Tolowi, i przywitawszy ślubną starościcę, pa-

nią Józefową Żymirską, zwróciła się ku drzwiom świątyni, przechodząc znowu przez różgi szyderczych spojrzeń, złośliwych uwag i kwodlibetów.

Na ślubnej uczcie, na którą także przybył fioletowy prałat, i niedogryziony misyonarz, i wiele innych znakomości z pobożnego lwowskiego świata, uwydatniła się porażka Żymirskich bardziej jeszcze, aniżeli w kościele, gdzie powaga miejsca i obrzędu krępowały wrzawliwą ruchliwość Porajów, i chępliwą ich butę. Zadowolona swoim tryumfem hrabina, okazywała wprawdzie jaknajwiększą życzliwość i jaknajgłębszy szacunek przybranym rodzicom siostrzenicy. Niemniej przesadzała się w oznakach czci i miłości pani Bronisławowa. Aliści reszta rodziny lekceważyła obojga staruszków, o ile na to pozwalały towarzyskie względy, zajmując się jedynie panem młodym, jako już do nich należącym, oraz panem Józefem Żymirskim i jego małżonką, jako osobami, dla których z powodu ich bogactwa i społecznego stanowiska wszelki wzgląd mieć należy. Również osamotnionym był i chudy Oleś Żymirski, spłoszony i milczący wpośród wrzawliwej i łakomej zgrai drobnych Porajów i Porajewiczów. Siedząc na samym końcu krzeselka, i trzymając łokcie przy sobie, jak go nauczono, pożerał oczyma przepych rozwi-

nięty, bogatą stołu zastawę, oraz niewidziane dotąd ciasta, cukry, owoce i potrawy. Nieśmiało odsuwał od siebie wety i owoce, o których nie wiedział z pewnością, jak się do nich zabrać należy, aby się nie narazić na szyderstwa rówienników. Już i tak zrazili go byli, wydrwiwając na wyrost zrobiony rajtroczek, który był jego dumą, i olbrzymi krochmalny fontaż krawatu, który go niedawno temu uszczęśliwiał tak niezmiernie.

Po skończonej uczcie, gdy się porajowski i porajewiczowski drobiazg rzucił na ograbienie cukrowych i owocowych serwantek, przypomniała sobie pani Aurelia dzieci męzowskiej bratowej.

— Wiesz co, Brońciu?—rzekła, przymilając się mężowi. — Zbiore trochę ciast, cukrów i owoców, zrobię z tego paczkę, i pošlemy to dzieciom Kazimierzowej.

— Dobrze, moja droga, jedyna.

— I bukiet ślubny trzeba jej posłać koniecznie!... Muszę zapytać Jakóbowej, czy tam zostało co w garderobie?

— Dziękuję ci, mój aniołku! — odparł, ścisnąc rękę jej serdecznie.

Tyle było jego pamięci o najbliższem rodzeństwie.

Wieczorem tego samego dnia odjechał pan Bronisław z żoną na wieś „do siebie“.

ROZDZIAŁ II.

Jako surowy materiał przerobił się z czasem na „porządnego człowieka“, i jak pani Aurelia przystąpiła do wykonania drugiej części swojego planu.

Dom swój urządzili państwo Bronisławostwo na sposób galicyjski, t. j.: uwidoczniając pretensye jakie się ma do dobrego tonu, a nieosiągając europejskiego porządku, smaku i komfortu. W istocie trudno było coś zrobić z tak zaniedbanej rudery, jaką był dwór w Olchówce. Była to niezgrabna, stara i niewygodna lepianka z pruskiego muru, w której nigdy dotąd nie mieszkali właściciele, lecz tylko niewybredni dzierżawcy, lub ekonomowie. Powierzchnownie więc tylko przyozdobiono to przytulisko, tapetując porysowane mury, zapuszczając woskiem popaczoną sosnową podłogę, i malując olejem zapadające się drzwi, oraz niedomykające się okna. Wielkopańskie pretensye uwidoczniło wreszcie

w ten sposób, że ośmiu izbom, z których się składał ten budynek, szumne nadało nazwiska: sal, salonów, bułwarów i t. d. Pokoje napełniono wykwintnemi, ze Lwowa sprowadzonymi meblami, zwierciadłami, i zbytkownemi zegarami; u okien pozawieszano franki, u drzwi portyery, u sufitu lampy i świeczniki, w mury powbijano kornisze, a wszystko to wyglądało, jak bukiet przy kożuchu, i dziwić się musiał zbytek ten, znalazłszy się w takiej chałupie.

Oboje państwo chcieli, aby u nich było wszystko „tak porządnie, jak u Tola i u ciotki“. Urządzono więc temu odpowiednio tryb życia pałacowy. Dotychczasową liczbę służby zwiększono oczywiście służbą pana. Mianowicie przyjęto do stajni kilku młodych parobków, których nazwano dżokejami. Maciek, zaawansowany na strzelca, i w strzelecką ubrany liberyę, miał pod sobą zarząd zbrojowni i garderoby pana, pomagając przytem w kredensie. Dotychczasowy lokaj, któremu przydano chłopca do pomocy, pełnił służbę kredencera, i usługiwał przy obiedzie w czarnym fraku, białej krawacie, i trykotowych rękawiczkach. Nazwisko jego Świder przemieniono na Świderkowski, i kazano mu ogolić wąsy, a zapuścić bakenbardy. Państwo się przebierali codziennie dwa razy; — czasami

wyjeżdżali razem na spacer lub po gospodarstwie, na koniach, które się nazywały: *Black-Prince*, *Miss-Mary*, i t. d., jakkolwiek niebyło w nich ani jednej kropli zamorskiej krwi. Czasami odwiedzano sąsiadów mniej lub więcej etykietalnie, czasami przyjmowano gości. Wieczór dzwoniło na pacierze; — służba się schodziła, i pani, naśladowując w tem hrabinę, odmawiała z wielkiem namaszczeniem modlitwy, które powtarzali domownicy.

Z rodziną pana Bronisława luźne tylko utrzymywano stosunki. Dla rodziców męża, ilekroć starzy Żymirscy przyjeżdżali do Olchówki, co się, nawiasem mówiąc, niezbyt często wydarzało, przesadzała się pani Aurelia w grzecznościach, troskliwościach i oznakach czci. Resztę mężowskiej rodziny, — państwo Józefostwo nie odwiedzali nigdy swego bratanka, — traktowano z góry i wyziósle, tak jak natrętów, którym się daje do poznania, że się żyć z nimi nie myśli. Dalszym i bliższym krewnym Porajów, którzy często zjeżdżali z całym taborem, okazywano natomiast uprzejmość bez granic. Mianowicie silił się pan Bronisław na rozmaite pomysły, aby miłym tym gościom uprzyjemnić pobyt w Olchówce, i pokazać im, jak wysoko cenią gospodarstwo tak zaszczytne odwiedziny. Urządzano polowania, wspólne wycieczki, podwie-

czorki w lesie, niespodzianki i t. d. Jednem słowem kipiała Olchówka wtedy bujnem jakimś, odświętnem, karnawałowem życiem.

Wszystko to znacznych wymagało kosztów, jakkolwiek pani Aurelia, idąc w tem znowu za przykładem hrabiny, oszczędzać umiała na pozywieniu i wygodzie służby, a pan Bronisław znak omity talent rozwinął w wyzyskiwaniu ludzi, używając tego samego Maćka do swej posługi, do polowania, i do nadzoru robotników,—napędzając dżokejów do roboty w ogrodzie, i polecając Świderkowskiemu przeprowadzenie rozmaitych, w zakres gospodarstwa wchodzących zarządzeń. Dawne dochody z Olchówki nie byłyby wystarczyły na tak wystawne życie, gdyby stary Żymirski, ulegając żonie, nie był wreszcie wypłacił panu Bronisławowi dziesięciu tysięcy guldenów, sprzedawszy jeden z należących do Wilkowa folwarków, celem wyposażenia starszych swych dzieci. Pan Bronisław użył tych pieniędzy po części na potrzeby swego wystawnego życia, po części na gospodarcze wkłady. Osuszył łąki, postawił tartak i młyn amerykański, zrestaurował karcznię i wałace się gospodarskie zabudowania, zakupił liczniejszy inwentarz, i pokrył dom szwajcarskim daszkiem, nadając mu w ten sposób pozór istic—
„pałacykowy“.

Podniósłszy arendę propinacyjną, i stworzywszy nowe źródła dochodów, zyskał pan Bronisław nietylko powiększenie środków, potrzebnych mu do opędzenia wystawnego życia, ale i sławę zawołanego gospodarza, którą się pani Aurelia starała na wszystkie rozszerzyć strony. Ilekroć przybył kto do Olchówki w odwiedzinę, natychmiast urządzano wycieczki po gospodarstwie. Pani Bronisławowa pokazywała znajomym i krewnym wszystkie, przez męża pozaprowadzane porządki, opowiadając przytem, co to dawniej był za nieład i rudera, i wyliczając jak wielkie zarządzenia te przyniosły zyski. Chwaliła wszędzie praktyczność jego, głowę, spryt, takt i charakter, zalecała go każdemu, jako doradcę w wątpliwych, do zakresu gospodarstwa należących sprawach, na sędziego polubownegó w sąsiedzkich sporach, usiłując w ten sposób wysrubować go na znakomitość obywatelską, i powiatową powagę.

Mianowicie używała tej taktyki wobec rodziców męża, zdumionych wielce objawieniem się tak cudownych zdolności w synu, który, zwłaszcza u pana Żymirskiego, nie uchodził za tak wielkiego proroka. Opowiadała im, jak niepospolity mir zdobył sobie pan Bronisław w sąsiedztwie, i jak wysoko go pod każdym względem cenią hrabia Tolo i ciocia hrabina.

— „Brońcio powiada... Trzebaby się Brońcia spytać... Nie wiem, co Brońcio o tem myśli... Już jeżeli Brońcio tak powiedział, to z pewnością“—tak zaczynała w ówczas każdą rozmowę.

Reklamy tej nie zaprzestała nawet wtedy, gdy pan Bronisław po upływie pierwszych miodowych miesięcy powrócił do swych donżuanowskich nałogów, posługując się Maćkiem, jako ministrem przyjemności. Stara garderobiana Jakóbową, którą, polegając na jej pobożności, a więcej jeszcze na jej brzydocie, przyjęła w miejsce odprawionej Jadwisi, nieomieszkała jej donieść o pokątnych romansach męża. Nie rozpaczała, nie czyniła mu żadnych wyrzutów; — powiedziała mu tylko, że wie o wszystkim, i zaleciła, ażeby unikał skandalu. Nie zmieniła też w niczem swojego z nim postępowania. Pieściła go, karmiła dobrymi kąskami, poznawszy jego gastronomiczne instynkta, i chwaliła wszem wobec i każdemu z osobna, tak jak się chwali młodą koniczynę. Chyba tylko ta okoliczność, że pierwородnego swego nazwała na pamiątkę Frusia Konicpolskiego Alfredem, i że drugiemu synowi dała imię Alberta, które nosił jej dawny wielbiciel, hrabia Brach Munchhausen-Walgerode, mogła dać powód do wnioszkowania, iż miłość

ku mężowi w jej piersiach ostygła, i że tam z martwych powstały dawne idealiki.

Wynosiła go mimo to wszędzie i zawsze, jakkolwiek w gruncie rzeczy sprytem swym szybko umiała ocenić męża, dokładnie zdając sobie sprawę z jego bierności. Owszem nawet w głębi duszy nie była dlań sprawiedliwą. Źródła dochodów, które stworzył, leżały zdaniem jej tuż pod ręką, w ziemi, która była jej własnością. Trud jego w gospodarstwie był tylko próżnowaniem,—wiedza prostym ekonomicznym i chłopskim instynktem, wkłady, które z własnych uczynił pieniędzy, zwrotem jedynie dawniej zaciągniętego długu! W istocie rzeczy bowiem wedle jej zdania był on człowiekiem jeno przez nią, i z jej łaski. Ona go kupiła, ona mu dała możność pracy, ona mu stworzyła pozycję socyalną, ona mu zrobiła reputację;—on nic, wszystko ona!

Nie były więc powodem do tych hymnów, które bezustannie na cześć naszego bohatera śpiewała pani Bronisławowa, ani miłość, ani uznanie zdolności, pracy i zasługi męża, lecz tylko pycha. Chwaliła go wobec krewnych swoich i znajomych, aby im udowodnić, że dobry zrobiła wybór, i wprowadziła do rodziny członka, który jej zaszczyt przynosi. Chwaliła go przed obcymi, bo, wywyższając go, wy-

wyższała siebie, a znając świat ten owczarski wiedziała, że należy tylko głośno, wytrwale, a z całą bezczelnością, mówić o własnych, zaletach i wyższości, aby mu narzucić wiarę w prawdę tego, co mówimy. Chwaliła go przed rodzicami męża, bo chciała ich przekonać, co też to ona zrobiła z tego, przedtem niedołęznego Broncia,—bo jej dobra opinia rodziców o mężu do dalszych zamiarów była potrzebną. Chwaliła go wreszcie w cztery oczy, ukrywając w ten sposób swój o nim sąd niepoehlebny, bo, schlebiając jego zarozumiałości, i podsycając ją ciągle, przysposabiała sobie posłuszne do dalszych celów narzędzie.

Słuchając ciągłych pochlebstw żony, i upajając się urządzoną przez nią reklamą, uwierzył z swej strony Surowy Materyał we własną dzielność, rozum i wiedzę, i jał się nadymać, tembardziej, ile że wiara w jego zdolności, pilnie przez żonę rozkrzewiana, uchodzić wkońcu zaczęła za dogmat w bliższych i szerszych kołach. Chełpił się też pan Bronisław często przed żoną sprytem swym i pracą, wyrzucając jej niekiedy pół żartem, że byt swój dostatni i zaszczytną pozycyę jemu zawdzięcza, niepomny, iż ona jego reputacyi głównym była budowniczym. Działo się to mianowicie wtedy, gdy go żona pokątnemi jego prześladowała miłostkami, i gdy mu sumienie

wyrzucało, iż zdradza tę kobietę, której,—bądź, co bądź,—tak wiele zawdzięcza. W tem podnoszeniu własnych zasług, szukał pan Bronisław win swych usprawiedliwienia. Przekomarzali się wtedy, czyniąc sobie niby żartem nawzajem wyrzuty. Atoli żarty one były wyrazem ich myśli. Postawiony niegdyś przez pannę Aurelię program współpracy, opartej na połączeniu pracy z kapitałem, w której to współpracy każda strona, równą wnosząc wkładkę, nie miałaby drugiej nic do zarzucenia, okazywał się więc w praktyce mrzenką. Kapitał był tego zdania, że go wyzyskuje praca;—praca zaś zarzucała wyzysk kapitałowi. Tak tedy gerzało pod popiołem żarzewie domowej niezgody. Aliści pani Aurelia sprytem swym umiała zawsze usunąć powód do waśni, trzymając siebie wiecznie na wodzy, i obracając w żart niedelikatne męża wybryki.

— Tak,—mówiła mu raz w dalszym ciągu podobnej rozmowy. — Tak jest niezawodnie, *mon cher!* Podniosłeś Olchówkę. Ale czyż to pole do działania dla twych zdolności, i twojej energii odpowiednie?...

— Przecież nie powiesz, żebym próżnował! —fuknął opryskliwie.

— No, no no,—uspokajała, głaszcząc go pop brodę.—Przecież nie powiesz, żebyś się na śmierć zapracowywał?

— Naturalna rzecz!—Teraz, kiedym urządził gospodarstwo, że mi tak idzie, jak zegarek; ale co to było, jakeśmy się pobrali?

— Co było?...—Było to, co jest!

— Jakto? a młyn, a tartak?

— Była woda, było drzewo, były pieniądze;—postawiłeś młyn i tartak...

— A propinacya? a łąki?

— Była karczma, i był żyd; — kazałeś żydowi więcej zapłacić za karczmę.... Były łąki i pieniądze; — nająłeś kacapów i kazałeś rowy pokopać.... Czy to tak wielka sztuka?

— Nie sztuka?... A czemużes tego nie zrobiła sama?

— Dlatego, że nie mężczyzna, i że nie umiała!

— A widzisz!...

Uśmiechnęła się ironicznie.

— Ależ ja nie umniejszam twojej zasługi, — odparła, głaszcząc go znowu. — Zrobiłeś, coś mógł, a co zrobiłeś, zrobiłeś dobrze.. Zawsze to wszystkim, — *à qui veut l'entendre*,— powiadam, i wszyscy to za mną powtarzają.

— No, więc czego chcesz?

— Ja? nie, bynajmniej!.. Tylko sądzę że Olchówka jest za małym polem do działania dla ciebie, *voilà!*... Cobyś ty zrobił na innym majątku przy twym sprycie, przy twych zdolnościach, energii i obecnem doświadczeniu?...

Z Olchówki nic już więcej nie wydobędziesz, nie prawdaż?

— Z pewnością zrobiło się, co było można.

— No, widzisz... A tu dzieci podrastają, potrzeby się zwiększają, drożyzna wzmagą... Już i tak sobie musimy odmawiać niejednego, bo nam nie starczy.

— Czegóż ty sobie odmawiasz?

— No!... Mogłabym pojechać do Karlsbadu, do Wiednia... Moglibyśmy częściej przyjmować gości, urządzać polowania, bywać we Lwowie... Nie można!

Zachmurzył czoło.

— No, i cóż ja na to poradzę? — rzekł z westchnieniem.

— W Olchówce nic, bo z Olchówki nic już wyciągnąć nie można... Tu się nawet nie opłaca twoja praca, bo czego tu użyć możemy... Sąsiedztwa żadnego; same liczykopy, surdutowe chłopstwo... Wygody żadnej, ledwie się jeszcze trzyma ta rudera... Patrz, jakie tu wszystko porysowane, popękane, popaczone, chociażśmy tyle pieniędzy włożyli... *Une ruine!*... Nawet i meble nasze nie wydają się w tej chałupie... A potem na pocztę mil dwie, do najbliższego miasteczka trzy, do kolei sześć... Wszędzie drogi szkaradne; — umrzeć można na takim pokuciu!... *Réellement que c'est navrant!*...

— A jak to źle oddziaływa na gospodarstwo, na ceny wszystkie, ten brak komunikacji!

— No, widzisz, Bronieczku, no widzisz!.. Ja się też tobie nie dziwię, że się teraz mniej trudzisz, bo prawdę powiedziawszy, szkoda trudu, gdy się nie opłaca... Bo zresztą cóż możesz zrobić?.. Zrobiłeś już, co trzeba i co można było zrobić, więcej nie potrafisz... Ba, gdyby to tak na większych dobrach, cobyś ty tam zrobił.. Dorobiłbyś się majątku, jak stryj Józef.

Westchnął głęboko.

— No, i cóż zrobić?... Sprzedać Olchówkę, kupić co innego? — zapytał przygnębiony.

— Broń Boże!.. Co nasze to nasz! *Mieux vaut un tiens, que deux tu l'auras!*... Ja tylko tak myślę... Wiesz, Bronieczku, bo to mi się śniło dziś w nocy.

— Co? — zapytał pan Bronisław, który wierzył w sny.

— Śniło mi się, że ci rodzice oddali Wilków.

— Nie oddadzą!

— Dlaczego?.. Widzą jak ty dobrze gospodarujesz, i coś zrobił z Olchówki.. Wilków dwa razy większy, i sto razy lepsze warunki.. Tybys tam cudów dokonał, a oni się ledwie mogą wyżywić.

— Bo papa już za stary, i nie umnie gospodarować.

— No, widzisz!... A więc trzeba im to wytłómaczyć... Ofiaruj im roczną rentę do śmierci, *une rente viagère*, — zresztą pomieszkanie w Olchówce, a my się przeniesiemy do Wilkowa, wybudujemy na domu piętérko, i będziemy sobie żyli jak w niebie... Po śmierci rodziców spłacimy rodzeństwo, które może przecież czekać, bo dostali każde po dziesięć tysięcy.

— A Oleś?... Oleś jeszcze nic nie dostał.

— Olesia spłacisz jak dojdzie do pełnoletności.

— Ale teraz póki w szkołach jest... Przecież to dużo rodziców kosztuje!

— To niech go oddadzą do wojska.

Spojrzał na nią baraniemi oczyma.

— Gdzieby on chciał być żołnierzem? — rzekł po chwili,

— Któryż chłopiec być nim nie chce?

— Ale on!... Taka baba... On chyba na księdza... Ciągłe tylko w książkach siedzi... Gdzieżby on chciał być żołnierzem?

— Ktoby się tam go pytał o to, czy chce, czy nie chce?... Oddać go do wojska, i już...

— Ależ mama na to nie zezwoli... Teraz czasy wojenne.

— *Tant mieux!*... W wojennym czasie łatwiej zrobi karierę...

— Albo zginie...

— No, to zginie... Tyle ludzi ginie na świecie.

Zerwał się z fotelu i wpatrzył się w nią osowiałym wzrokiem. — Przeraziła go swą przewrotnością, bezwzględnością i cynizmem. Nie spuściła wzroku przed jego spojrzeniem. Patrzyła mu w oczy, spokojna, zimna, uparta, uśmiechając się ironicznie, niemal z pogardą. Nie mógł wytrzymać tego szyderczego wzroku. Założył ręce w tył, spuścił głowę na piersi i począł szybko chodzić po pokoju, pogwizdując z cicha jakąś piosenkę. Po chwili porwał czapkę do ręki i, nierzekłszy słówka, wybiegł z pokoju.

-- Głupi, — mruknęła pogardliwie za odchodzącym. — Głupi i teńórzi!... Przestraszył się mojego zamiaru... Ale to nic, to pierwsze tylko wrażenie!.. Niebawem oswoi się z tą myślą i chwyci się jej rękami i nogami.

I rzeczywiście było to tylko pierwsze wrażenie! Żona znała go dokładnie, i niedziw, bo przecie ona go zrobiła takim, jakim był obecnie, wypielegnowawszy jego próżność i żądze użycia, odpowiednio swoim zamiarom. Mogła z pewnością liczyć już teraz, że się nie cofnie przed tem, co mu zalecała. Surowy Materyał był już przerobionym na powolne jej zamiarom narzędzie. Miłość do rodzeństwa

zgasła była w jego sercu oddawna. Czemże mu byli obecnie krewni jego, od których się odsunął, i z którymi go prócz krwi nie nie łączyło? Właściwą jego rodziną, — rodziną po sercu, — byli Poraje i ich koligaci, którzy go przygarnęli do siebie, z którymi żył, z którymi go łączyły związki wspólnych zapatrywań, upodobań, pragnień i przyzwyczajzeń, — Poraje, których zażyłość podnosiła go we własnych oczach. Stosunki z tymi ludźmi próżnymi a majątnymi spotęgowały w nim żądze użycia, i rozbudziły w nim chciwość. Upokarzało go to, że im sprostać nie może, i chętnie byłby wszystko poświęcił, by uniknąć tego upokorzenia. Zarozumiały, jakim się stał, sądził, że tylko brak odpowiedniego pola dla jego zdolności i pracy stoi mu na przeszkodzie w uzyskaniu środków, potrzebnych na zaspokojenie żądz, które go trawiły.

Myśl więc rzucona przez panią Aurelię, padła w glebę dobrze przygotowaną. Począł rozmyślać, jakieby porządki zaprowadził w Wilkowie, jakieby z tego majątku wydobył dochody, i wzdychał. Patrzył na olchowieckie jałowe pola, na ten las, z którego pomimo wybudowanego tartaku nie mógł znaczniejszego wydobyć dochodu, na ten młyn, który stał przez pół roku, aż nadto wystarczając małym zapotrzebowaniom odludnej okolicy, na

te łąki, które osuszył, a których siano spasać musiał własnym inwentarzem, niemogąc go spieniężyć dla braku dobrej komunikacji, i serce jego truło się goryczą. Wszystko to wydawało mu się tak niegdyś pięknem, a dziś napełniało go tylko żalem i wstrętem. W mózg mu się wpijała coraz bardziej myśl, rzucona przez panią Aurelię. Począł rozważać położenie rodziców, ich gospodarskie troski, ich administracyjną nieudolność, ich ciągle finansowe kłopoty, i uspakajał sumienie swoje tem, że, doprowadziwszy zamiar małżonki do skutku, nie wyrządzi im przecież krzywdy, zapewniając spokój na stare lata.

Kilka dni chodził pan Bronisław, bijąc się z temi myślami, które go paliły, i czekając, aby żona na nowo sprawę tę podniosła. Resztką jakas wstydu, czy też może miłość własna nie dozwalały mu zaczynać tak drażliwej rozmowy. Kołował więc, starając się naprowadzić na temat ten swoją małżonkę. Ale pani Aurelia unikała zrećznie tego przedmiotu, sprowadzając rozmowę zawsze na inne pole. Wreszcie, niemogąc się już dłużej oprzeć prześladowającej go pokusie, wszedł pan Bronisław pewnego ranka na dzieńdobry do sypialni żony, siadł na łóżku, jak to był zawsze zwykł czynić, ilekroć z żoną ważniejszą za mierzał odbyć naradę. Ganiła mu pani Au-

relia niejednokrotnie ten zwyczaj parafiański, ale się go nie mógł oduczyć, uważając sypialnię żony i czas poranny za miejsce i porę, najodpowiedniejszą do konferencji.

— Cóż myślisz o naszym interesie?—zapytał zniemacka.

— O jakim?—odparła zdziwiona.

— No, przecież o Wilkowie!

— O Wilkowie?... Cóż się stało w Wilkowie?

— Nic się nie stało!... Ale ten interes, coś mi proponowała?

— Jaki interes?

— Spojrzał na nią stropiony.

— Jakże?... To, o czemes mi mówiła we czwartek... Skłonienie rodziców, aby nam Wilków oddali.

— Nie myślałam wcale o tem.

Zachnął się niecierpliwie.

— Nie udawaj.

— Ależ ja nic nie udaję!—odparła słodziutko.—Przyszła mi myśl, ot tak, sama nie wiem jak, bo mi żal było, że się trud twój nie opłaca, i że się twoje zdolności i energia w Olchówce marnują... Powiedziałam co myślę, ale, widząc, że ci się to nie podobało, nie myślałam więcej o tem.

Popatrzył na nią raz jeszcze zdziwiony.

— Ale ja myślałem... — odparł z przyciskiem.

— Tak, — rzekła, uśmiechając się ironicznie. — No, i cóżś wymyślił, *mon cher*?

— Przyszedłem do przekonania, że masz słusznosc... Interes dobrym jest dla nas i dla nich... Trzeba go próbować...

— Jakże to myślisz urządzić?

-- Całkiem tak, jakś mówiła... Pojadę do Wilkowa, i zaproponuję im rentę.

— Nie przyjmą... Sam powiedziałeś, że nie przyjmą.

— Dlaczegożby przyjąć nie mieli?... Pozbędą się kłopotów, i będą mieli spokój na stare lata.

— Wszakże znasz papę i wiesz, że się nie chce przyznać do swego niedołęztwa... *Il est entêté, comme la mule du pape!*... Uprze się, straci wszystko, a Wilkowa z rąk nie wypuści.

— Tak, ale mama... Wilków jest w połowie własnością mamy, papa ma tylko drugą połowę, i to na mocy ślubnej intercyzy, bo własny majątek stracił co do grosza.

— Mama robi, co papa zechce... Nie będzie się upierała dla miłego spokoju.

— A więc cóż?

— *Il faut étudier la question!*... Trzeba pojechać do Wilkowa, i to musimy tam pojechać razem... Trzeba zbadać położenie rodziców

wszystkie okoliczności, z których moglibyśmy skorzystać, usunąć te, któreby nam stały na przeszkodzie, przygotować wszystko odpowiednio naszemu zamiarowi, jednym słowem działać ostrożnie, powoli, aby rodziców nie spłoszyć niewczesną propozycją... Najlepiejby było, gdyby można tak rzecz nakręcić, aby oni sami myśl tę podnieśli... Wtedybyśmy się wahali, opierali, zakończenie interesu zwlekali, a wkońcu rzecz przyjęli, uzyskawszy jaknajlepsze warunki, i postawiwszy się w tej roli, że my im, a nie oni nam wyświadczyli dobrodziejstwo... *Voilà!*...

Spojrzał na nią z podziwieniem. Imponowała mu sprytem i przebiegłością.

— O ty, ty, ty, ty, ministrze!—zawołał, rzucając się jej na szyję.

— Dajże mi pokój, — odparła, odwracając twarz z udanem nieukontentowaniem. — Nie ogolony jesteś, kłujesz mnie brodą!... Nie masz dla mnie już żadnej kokieteryi... Golisz się tylko wtedy, gdy Karolka do nas przyjedzie, lub gdy jedziesz do Słonimskich... Ot mówmy lepiej o interesie!... Ile wart może być Wilków w tej chwili?

— Phi, to rzecz względna!... Około stu pięćdziesięciu tysięcy.

— Tylko?

— Tak!... Obecnie, przy złem gospodar-

stwie, zaniedbanii, i po sprzedaży Adamówki... Ale w energicznym ręku, przy porządku i małych wkładach, możnaby zdwoić jego wartość, bo ma doskonale warunki.

— Ileż mają na tem rodzice?

— Około sześćdziesięciu tysięcy... Jest na tem czterdzieści kilka tysięcy towarzystwa kredytowego, jest scheda Olesia dziesięć tysięcy, bo przecież i jego trzeba liczyć, skorośmy wszyscy otrzymali po dziesięć tysięcy... Są inne tabularne długi, no, a wreszcie rozmaite zaległości podatkowe, wekslowe długi i t. d.

— Jakież to tabularne długi?

— Drobiazg... Jedna tylko suma znaczniejsza: szesnaście tysięcy Kamili Okrętowskiej... Legat to jeszcze nieboszczyka wuja mojego, który ojcu jej zapisał tę sumę, za-hypotekowaną na Wilkowie.

— Cóż to za Kamila Okrętowska?

— Oryginał... Stara panna, która ogromnie lubi pieski, i co pół roku przyjeżdża do Wilkowa po procent od swojej sumy.

Zerwała się z pościeli. Oczy jej zaiskrzyły się fosforycznie.

— To właśnie byłaby partya dla Jasia Niegodzkiego.

— Ale cóż znowu?... Mówilem ci, że to stara waryatka.

— *Tant mieux!*... Zawróci babie głowę, tak że zrobi wszystko, co będzie chciał.. A co do tego, że stara, to i dla niego tem lepiej.. Dla takiego urwisa szesnaście tysięcy, to los!

— Nic ciębie nie rozumiem.

— Jakiż ty pomimo twego sprytu jesteś naiwny... *Bon Dieu, bon Dieu!*... Przez Jasia trzymalibyśmy tę babę w ręku... Namby nie wypowiedziała swego kapitału.. Moglibyśmy go splancać powoli.

— A!—zawołał pan Bronisław, który teraz dopiero zrozumiał myśl żony.

Zerwał się z łóżka, i począł szybkimi krokami chodzić po pokoju.

— I czegoż się tak lękasz?—rzekła, śledząc go pilnie oczyma, a cedząc słowa swe powoli.— Musisz sobie raz przecie powiedzieć: albo? albo?... Rodzice twoi to stare dzieci.. Potrzeba i to wciągnąć w rachunek, że nie zażyją zbawiennego lekarstwa bez przymusu!... Należy się więc przygotować i na ten wypadek...

— W każdym razie to niebezpieczna gra!—odparł po chwili.—To nóż dwusieczny, którym moglibyśmy się skaleczyć... Na takiego Jasia nic liczyć nie można, zwłaszcza, żeś go zraziła, gdy przyjechał cię odwiedzić.

— Ugłaszczemy go!... Przecież nam będzie musiał być wdzięcznym za to, że mu wskaże-

my drogę do poprawy losu... A zresztą war-
to coś zaryzykować... Byłby to na rodziców
nacisk znakomity... Gdyby się Jaś uparł, mogli-
byśmy rzecz puścić na drogę procesu... W o-
statnim razie, pożyczą nam z pewnością pie-
niędzy ciocia lub Tolo, na interes tak znako-
mity.

— A więc jedźmy do Wilkowa!

— Czekaj... Nie gorączkuj się!... Siądź tu,
i rozmawiajmy dalej... Wieleż Wilków przy-
nosi rodzicom dochodu?

— Do dziesięciu tysięcy... Po opłaceniu
procentów i podatków, zostaje im jeszcze
przeszło trzy tysiące czystego... No ale z te-
go muszą utrzymywać w szkole Olesia, co
także do tysiąca kosztuje... Przytem są drobne
wekslowe długi; papa na siebie wiele potrze-
buje... Koniec końców, grosz grosza goni, i
niema końca kłopotom.

— No widzisz!.. Toż by to było istne do-
brodziejstwo dla rodziców, gdybyś objął Wil-
ków... *Un vrai bienfait!*... Pozbyliby się kło-
potów, i mogliby żyć spokojnie... Toby nawet
było dobrodziejstwo dla rodzeństwa. Wobec
długów wekslowych, wobec gospodarstwa pa-
py i jego rozrzutności, któż może zareczyć,
czy tam co po rodzicach zostanie?... Tak wie-
działby już każdy co go czeka na pewno.

— Niezawodna rzecz! I ja sobie to już po-

wiedziałem, bo zrazu mnie to przerażało, że mogą ztąd wynikać kwasy, zarzuty że skrzywdził rodzinę i t. d... Ale po dłuższej rozwadze, przyszedłem do przekonania, że wdzięcznymi tyłkoby mi być powinni, bo leżąc w ten interes, zrobiłbym z siebie ofiarę.

— Ofiarę? ofiarę! — odparła żywo.—Mając dzieci, nie powinienes, i nie możesz z siebie robić ofiary... Powiedziałeś, że Wilków rodzicom przeszło trzy tysiące czystego przynosi...

— Tak, ale z tego utrzymują Olesia, potem są jeszcze długi wekslowe...

— Tem ci bardziej... Wieleż im myślisz ofiarować renty, oprócz pomieszkania, ogrodu, utrzymania koni, i wygod wszelkich w Olchówce... Przecież za darmo nie możesz dla innych pracować?... Masz żonę i dzieci.

— Niezawodna rzecz, że im nie mogę dać trzech tysięcy, bo gdzieżby była moja praca?... Ale wiele im ofiarować, to dopiero rzecz kredki.

— Tak niezawodnie!... Ja też pytam o cyfrę mniej więcej.

— Ta, i tego nie można oznaczyć.

— Ja myślę, że dwa tysiące powinnyby im najzupełniej wystarczyć.

— Byłoby im trochę za ciężko.

— Na cóż im tyle pieniędzy.
 — Papa wiele na siebie potrzebuje...
 — *La grande affaire!*... To niech się ograniczy.

— Nie zechceł... A potem jest Oleś...
 — Wieleż ten Oleś kosztuje?
 — Niewiem dokładnie, ale przypuszczam, że do tysiąca guldenów.

— Co?... To przecie niesprawiedliwie... Nie powinien więcej kosztować jak pięćset reńskich; piąty procent od kapitału, jaki wam wypłacili rodzice.

-- Tak!... Nam wypłacono po dziesięć tysięcy, jako częściową schedę, tytułem posagu, ale to jego wychowanie tyle kosztuje... Trzymają mu nauczycieli, uczą go wszystkiego czego się można nauczyć.

— To i twoje wychowanie kosztowało tak wiele?

— Nie, moje tyle nie kosztowało, — odparł śmiejąc się wesoło.—Nie chciałem się uczyć, więc zaoszczędzili na mojem lenistwie.

— Dlaczegoż mają więcej robić dla niego, niż dla ciebie zrobili?

— Mówiłem ci, że się dobrze uczy.

— To niech się uczy o własnych siłach, jak tylu innych na świecie. Jeżeli ma co z niego być, to i tak wyjdzie na ludzi... A jeżeli nie, to dlaczegoż ma być rodzinie cięża-

rem?... Niechaj go do wojska oddadzą,
i już...

— Papa by na to przystał, dla umniejszenia wydatków, ale mama nigdy na to nie zezwoli.

Zamyśliła się.

— A gdzież jest ten Oleś? — zapytała po chwili.

— W Wilkowie!... Przecież pisała nam mama, że chorował i że go ze szkół wzięli na wieś, zaraz po Wielkiejnocy.

— Ach tak, przypominam sobie!... Mówiła że się tem martwi, iż Oleś rok straci.

— Tak, ale Oleś przyrzekł podobno, że zda egzamin po wakacyach.

— W takim razie nie ma co zwlekać... Jechemy jutro do Wilkowa.

ROZDZIAŁ III.

Jako państwo Bronisławowstwo przybyli w odwiedzinach do rodziców, i co dalej nastąpiło.

Wielkie święto było w Wilkowie, gdy tam zjechali państwo Bronisławowstwo z dziećmi, boną, nianką i całym taborem sług, w widocznym zamiarze spędzenia kilkunastu dni u rodziców. Uradowana temi odwiedzinami, nie wiedziała pani Żymirska, jak przyjąć tak miłych a rzadkich gości. Do obszernych gościnnych pokojów kazała poprzemnieść rozmaite meble, parawany, zwierciadła, dywany i t. d., ogałając własną sypialnię, aby tylko synowej na niczem nie zabrakło. Stosownie do zwyczajów synowstwa, urządzone też i cały tryb życia, na czas ich pobytu. ku wielkiemu nieukontentowaniu starego Żymirskiego, który nie lubił pańskich fanaberyi, i rad się trzymał dawnych zwyczajów.

Nie radzi byli tej zmianie także i słudzy, którym z przyjazdem państwa Bronisławow-

stwa, coniemiarą przybyło kłopotu. Stary kucharz Jacenty i klucznica, najwięcej mieli zachodu. Codziennie zrana do kawy wypiekano świeże pieczywo. O dziewiątej podawano dzieciom ciepłe śniadanie; pomiędzy pierwszą a drugą drugie śniadanie dla całego domu. O czwartej dostawały dzieci znowu ciepły posiłek, o szóstej był obiad, o dziewiątej herbata i ciepła kolacya dla dzieci. Pani Żymirska krzątała się cały dzień, biegając od synowej do kuchni i spiżarni, z kuchni i spiżarni do synowej, tu pytając czy wszystko w porządku, tam wydając rozkazy i wymawiając opieszałość sługom, które tym razem nie mogły zadowolnić jej wymagań. Zawsze coś było nie tak, jak być powinno. Bułki były źle upieczone, śmietanka do kawy za mało gęsta, mleczko dla dzieci przydymione; jednym słowem poznać nie było można staruszki, tak zawsze spokojnej, łagodnej i zadowolonej ze wszystkiego.

Robiła bo też pani Bronisława wszystko, aby oczarować sędziwą matronę. Pochlebiała jej macierzyńskiemu do syna przywiązaniu, wychwalała przymioty umysłu i charakteru męża, wysławiała jego pracowitość i energię, podnosząc jego zasługi, i szczycąc się zaufaniem i szacunkiem, jakie w tak krótkim przeciągu czasu, zdobyć sobie umiał nietylko

w jej rodzinie, nietylko w sąsiedztwie, ale i w szerszych obywatelskich kołach. Opowiadała jej swe zapatrywania na świat, na ludzi, na obowiązki, jakie się ma względem społeczeństwa, dostrajając swe poglądy, do poglądów staruszki. Kreśliła jej oczom obraz wychowania, jakie zamierza dać dzieciom, aby z nich zrobić dobrych chrześcian, użytecznych członków społeczeństwa, i zacnych obywateli kraju, którzyby godnie zawsze nosić umieli chlubne przodków nazwisko. Co rano udawała się pani Aurelia zaraz po kawie do ogrodu, gdzie stał krzyż w pośród lip, wzniesiony przez panią Żymirską na pamiątkę jej w wojnie poległego brata. Tam spędzała całą godzinę na pobożnem rozmyślaniu i modlitwie,— co wieczór odmawiała z mężem i służbą pacierze, na które niebawem przychodzić zaczęła i sędziwa gospodyni, lubując się widokiem pobożności swych dzieci.

Pani Żymirska była zachwyconą. Aliści największą rozkosz, sprawiał jej widok wnucząt, zawsze schludnych, czysto umytych, zaczesanych, żywych a grzecznych. Fruś jej deklamował francuskie i polskie bajeczki,— Abi—tak młodszego nazywał brat starszy—popisywał się przed nią umiejętnością pacierza. Obaj ją pieścili, całowali, biegali za nią, trzymając się poły jej szlafrocza. Babcia się

rozpływała z radości. Znajdowała tylko, że za mało są natrętni, i gniewała się, gdy ich strofowano.

Nawet i stary Żymirski, rad był wielce synowi i synowej, jakkolwiek przyjazd ich popsukł mu domowy porządek. Chodził z kąta w kąt, pilnował, by ludzie i konie synostwa mieli wszelką wygodę. Kazał sobie pokazywać uprząż i powóz syna, zaglądał do jego stajni, i chwalił porządek, oraz dobre wszystkiego utrzymanie. Oprowadzał pana Bronisława po gospodarstwie, zwierzał mu się ze swemi kłopotami, i zasięgał jego rady. Był to ogromny dowód łaski ze strony starego, o swej czerstwości i dzielności, tudzież o doskonałości swych zarządzeń przekonanego żołnierza.

Aliści szczególnie staruszka ujęła dla siebie pani Bronisławowa, która poznawszy tęścia słabostki, umiała je doskonale na swą korzyść wyzyskać. Stary żołnierz, nie mógł żadną miarą zapomnieć swych ułańskich czasów, i był pomimo lat sześćdziesięciu kilku, wielce czułym na niewieście wdzięki. Pochlebiała mu więc, chwalać jego rzeński wygląd, jego uprzejmość, jego rycerską dla dam galanterię, szydząc przytem z młodzieży, która zatraciła dobre tradycye, i obdarzając go zalotnemi spojrzeniami. Stary rósł jak na

drożdżach. Zdawało mu się, że kto wie, mógłby się jeszcze podobać. Myśl ta upajała go rozkoszą, i zniewalała dla synowej.

Olesiem zajmowała się szczególnie pani Bronisławowa. Był to wąty, chudy, siedmna-stoletni chłopiec, średniego wzrostu, a rysów twarzy dość pospolitych. Cere miał po świeższej słabości bladą, włosy zawsze sztywne i nieposłuszne, oczy niebieskie ładne, ale niby senne, i nie na zewnątrz, ale gdzieś na wewnątrz, wgląd wpatrzone. Uczył się dobrze, i umiał nad wiek swój wiele, aczkolwiek w rozmowie, ani wiedzy, ani sprytu, ani dowcipu nie okazywał. Gdy o co pytano, zwłaszcza przy obcych, lub kobietach, to się rumienił i jękał zakłopotany, nie mogąc nigdy dobrze wyrazić swej myśli. Był wiecznie roztargniony, a roztargnieniem tem i nieśmiałością niezgrabny w każdym ruchu. Świeżo przebyta słabość, i spowodowane nią nerwowe rozdrażnienie, potęgowały obecnie to jego pozorne niedołęztwo.

Lubił namiętnie czytać, i czytał bez wyboru, wszystkie książki ojcowskiej biblioteki, której już dawno nie odświeżano nowemi dziełami. Każda książka jednako go zajmowała;—pochłaniał jednako dzieła naukowe, i ludowe klechdy, podróże i powieści, wiersze i pamiętniki. Czytając tak, wyrobił był sobie

własny pogląd na świat, i własną filozofię. Bawiąc na wakacyach nie szukał właściwej chłopcom swego wieku rozrywki. Nie rwał się do strzelby, ani do konia;—wyjeżdżał z chartami, i szedł na polowanie w towarzystwie, i jeno wtedy, kiedy go do tego naglono. Najmilszą jego rozrywką była przechadzka; — brał książkę do ręki, i szedł z nią do ogrodu albo do lasu. Tam go spotykano nieraz, leżącego na murawie, zatopionego w czytaniu, i niewiedzącego nic o Bożym świecie. Czasem znów widywano go nad brzegiem strumyka, wpatzonego w wodę co płynie, w chmurę co leci, w ptaka co szybuje, w motyla co igra, lub w muszkę co się unosi nad wodą. Tak stał nieraz godzinę nieruchomy;—patrzył i marzył. O czem marzył nie umiał powiedzieć nikomu.

Nie lubił też Olesia ojciec, nie odczuwając w nim owej krwi ułańskiej która była jego dumą, i nie mogąc mu darować wydatków, które dlań ponosił. Nie mógł zrozumieć tego chłopca, zamkniętego w sobie, a żyjącego jakimś wewnętrznym, kontemplacyjnym życiem, wtedy, kiedy mu się uśmiechał świat cały wszystkimi urokami wesela, wszystkimi obietnicami rozkoszy. Nazywał go rabinem, pustelnikiem, trapistą, kamedulą. Zarzucał mu, że się odrodził, dowcipkując rubasznie,

że miał przyjść na świat puchaczem, i że tylko skutkiem tego, iż kur zapiał, urodził się człowiekiem.

I matka także, nie mogła dobrze zrozumieć tego chłopca. Kochała go jako matka, cieszyła się jego postępami w naukach, ale ubolewała nad jego niedołęztwem, które ją wielce gniewało. Zrazu sądziła, że się umysł jego zwróci ku pobożności, i cieszyła się tą myślą niezmiernie, świetne wedle jej zdania na tej podstawie budując nadzieje.

Oleś nie był religijnym w zwykłym tego słowa znaczeniu. Widział Boga wszędzie, i nie szukał go u stóp krzyża, ani w murach kościoła. Bóstwem jego było piękno w naturze, w myśli ludzkiej, i w dziełach ludzkiego ducha. Religiją jego był jakiś bliżej nieokreślony poetyczny panteizm, jakies uwielbienie dla ogólnej harmonii świata, jakaś wreszcie domorośla filozofia, której zasady przejął z dzieł ojcowskiej biblioteki, czytanych dorywczo i bez wyboru.

Martwiła się więc pani Zymirska, nie odnajdując w synu swym onej pobożności, która ją ożywiała, i o której przypuszczała, iż się w jego sercu obudzi. Nie przyszło wszelakoż nigdy pomiędzy nimi do starcia, kochając bowiem matkę, i nie chcąc jej zrobić przykrości, krył się Oleś ze swym sceptycyzmem, nieu-

chylając się od spełniania religijnych praktyk, gdy tego po nim wymagała matka, a unikając wszelkiej rozmowy, któraby jej miała dać powód do zgorzenia.

Przybywszy do Wilkowa, dworował sobie pan Bronisław z młodszego brata, wyszydając jego wrzekome niedołęztwo, i prorokując mu, że z książek rozumu nie nabędzie, nie posiadając onego praktycznego zmysłu, bez którego się obejść nie można na świecie. Zdaniem jego była to natura apatyczna, której nie należało dać zasypiać w jakimś świecie mrzonek i ułudy, lecz owszem zwrócić ją ku realnemu życiu, nadając jego wychowaniu kierunek trzeźwy i praktyczny.

Oleś potrzebował wedle jego mniemania, koniecznie jakiejś podniety, któraby go zbudziła z jego roślinnego jak twierdził życia. Taką podniętą byłaby służba w wojsku, gdzieby go rozbudzono niebawem, i ściągawszy z chmur na ziemię, na „porządnego i praktycznego“ wykierowano człowieka.

Była to woda na młyn pana Żymirskiego, którego z jednej strony trapiło wrzekome niedołęztwo syna, a z drugiej martwiły znaczne na wychowanie jego wydatki. W lot też przyklasnął panna Bronisławowi, dzielając najzupełniej jego zdanie. Ale pani Żymirska nie chciała nawet słyszeć o tem. Przerażała

ją myśl rozstania się z najmłodszym dzieckiem, i słowa pana Bronisława wystarczyły, aby na nowo rozplómić drzemiące jej dla młodszego syna uczucie.

Innej taktyki wobec Olesia trzymała się pani Bronisławowa. Przybywszy do Wilkowa, okazała się dla niego nadzwyczaj uprzejmą. Starła się go do siebie zbliżyć, ośmielić, i pozyskać jego zaufanie. Ilekroć mąż jej sztychował z jego roztargnienia i nieśmiałości, — ilekroć go za wrzekome niedołęztwo strofował ojciec, zawsze się ujmowała za fantastycznym chłopczyną. Pod pozorem, iż mając synów, pragnie się dowiedzieć, co też w szkole uczą, wyciągała go na rozmowy, w których młody marzyciel zwierzał jej swoje poglądy na świat, ludzi i rzeczy, zrazu nieśmiało, potem z całym zaufaniem swej niedoświadczonej młodości. Intrygował ją ten chłopiec tak w sobie zamknięty, tak pełen fantastycznych jakichś marzeń, i szlachetnych zapałów. Wiała od niego, i upajała ją woń młodości, — świeża i dzika jak woń macierzanki. Sprytna kobieta odgadywała w jego dziwactwach pierwsze uniesienia budzącej się do życia, a uczuć swych jeszcze nieświadomej duszy. Badała go też z zajęciem uczonego, studyjnego jakiegoś niezwykły okaz entomologiczny, nietylko dla tego, że jej poznanie Olesia do dalszych

celów było potrzebne, ale i dla tego, że chłopiec ten przedstawił w tej chwili zjawisko, zastrzające jej ciekawość kobiecą.

Aby go lepiej poznać, dostrajała się do jego młodzieńczych uniesień, zapędzała się z nim w krainę niebieskich migdałów, pochlebiała mu, pochwalając jego szlachetne zapawy, potwierdzała jego zapatrywania, lub też sprzeciwiała się im, dając mu pole do wynurzeń.

Wyrodziła się też niebawem pomiędzy nimi pewna życzliwa poufałość, która niezmiernie pochlebiała Olesiovi. Biedny chłopiec, którego dotychczas nikt niezrozumiał, i którego zawsze jak dziecko traktowali starzy rodzice, czuł wdzięczność dla bratowej, iż się raczyła nim zajmować tak uprzejmie, i usiłował jej to okazywać na każdym kroku. Z niezgrabnego, nieśmiałego i roztarganego, stał się dla niej uprzejmym i pełnym uwagi. Starał się jej być usłużnym, odgadując jej myśli, przynosił jej co dnia bukiety i świeże owoce, a pani Aurelia posuwała kokieterję tak dalece, że kwiaty przyniesione przez małego jej szwagra, przypinała do stanika, lub zatykała we włosy. Strzały te atoli były chybione; — Oles tego niewidział i niezrozumiał, jakkolwiek brat go nieraz prześladował, dworując sobie z jego tak niezwyčajnej galanteryi, i

szczególnej sympatyi swojej żony dla małego szwagierka.

Po dziesięciu dniach pobytu w Wilkowie, oświadczyli państwo Bronisławowstwo zamiar powrotu do Olchówki. Mianowicie śpieszył do domu pan Bronisław, wymawiając się tem, iż z powodu zbliżających się żniw, ważne musi przedsięwziąć zarządzenia. Ulegając tej konieczności, zezwoliła pani Żymirska na wyjazd syna, lecz nie chciała żadną miarą z domu puścić wnucząt i synowej. Zdecydowano więc, że pan Bronisław pojedzie sam do Olchówki, a pani Aurelia pozostanie u rodziców do jego powrotu po żniwach.

Owóż tego dnia właśnie, gdy się rozjechać mieli małżeństwo, zeszła pani Bronisławowa Olesia w ogrodzie. Stał na brzozowym mostku, oparty o poręcz i rozpromieniony, wpatrując się w fale ciekącego pod mostkiem strumyka, z takim zajęciem, iż niesłyszał jej kroków. Zbliżyła się do niego cichutko, i zakryła mu oczy.

— Pani bratowa — zawołał wesoło. On jej mówił zawsze „pani“ ona mu mówiła „ty,“ nazywając go przytem „paziu mój“ lub „szwagierku!“

— A toś się zapatrzył Olesiu — rzekła uśmiechając się uprzejmie. — Niesłyszałeś na-

wet że idę, jakkolwiek ten mostek tak dudni pod nogami.

— Nie, nie słyszałem... Byłem zamysłony.

— Cóżżeś myślał?

— Nie wiem... Zapomniałem.... Patrzyłem w wodę....

— I cóż można w wodzie widzieć?... Mówią, że nieraz stoisz tak całymi godzinami... Cóż ty tam widzisz, powiedz?

Spuścił oczy, zarumienił się, i milczał.

— Jakiś ty niedobry... Przecież widzisz że mam dla ciebie życzliwość siostrzaną... No powiedz, powiedz, co ty tam widzisz?.. Co ty wtedy myślisz?

— Pani się będzie śmiała ze mnie.

— *Mais quelle idée!*... Cóż znowu?... Pytam dla tego, że mnie to zajmuje.

— Trudno by to powiedzieć, co wtedy myśle... Zdaje mi się, że nic... Patrzę tylko, i słucham... Czytała pani bajki ludowe, w których się wróżki zmieniają to w kwiatek, to w ptaszka, to w motylka?

— Nie.

— Szkoda... Bardzo są piękne!... Otóż, ci, którzy te bajki wymyślili, musieli to widzieć i słyszeć, co ja widzę i słyszę.

— Cóż takiego? — spytała zaciekawiona.

— To rozmaicie bywa, i ciągle się zmienia... Czasem widzę kwiat jakiś przepyszny, jakie-

go chyba niema na ziemi... Potem się kwiat ten zamienia w przecudną rusałkę, o długich, płowych warkoczach, o sennem, tęsknem spojrzeniu, o perłowych ząbkach, i ustach kraśnych jak dwie wiśnie... Potem z rusałki robi się srebrna lub złota rybka, która wesoło pluszcze po fali, i po chwili znowu się przeistacza w kobietę, o czarnych jak heban włosach, o oczach co się palą jak żar, a ustach, co mają barwę koralu.. A tymczasem woda szemrze, i śpiewa jakąś niezrozumiałą piosenkę, pełną tajemnic i pieszczoty... A więc patrzę, i słucham, i niemogę oczu oderwać, i oprócz tego głosu nie słyszę.

Słowa te były dla niej objawieniem.

— Ty się kochasz? — zawołała wzruszona dziwnie.

Spuścił znowu oczy, i milczał.

— Ty się kochasz? — powtórzyła natarczywie.

— Tak jest! — odparł posępnie. — Jeżeli marzyć o czemś nadzwyczaj pięknem i dobrem, pragnąć go, i tęsknić do niego, nazywa się miłością, w takim razie... Kocham!

— Kogo?

— Czy ja wiem?

— Jakto, kochasz się a nie wiesz w kim?

— Nie wiem czyli raczej wiem dobrze —

odparł zapalając się. — W tej, która razem z moją duszą jedną całość stanowi... Czuję ją, i zgaduję. Tęsknota moja do niej, i pragnienie mówią mi, że jest, że musi do mnie tęsknić, i pragnąć mnie wzajemnie.

— To perska bajka o Peri.

— Tak, ale ja o tem czytałem w Platonie... Plato musiał to czuć, co ja czuję, gdy to napisał.

— I jakże sobie wyobrażasz tę wymarzoną kochankę? — pytała ciekawie.

— Raz jest podobna do tej rusalki, którą widuję w wodzie, jasnowłosa, niebieskooka, rozmarzona, a wiotka, tak jak mgła nad stawem. Wtedy chciałbym się rozemglić, tak jak ona, i płynąć z nią razem po łące, przy świetle księżyca.... Innym razem znowu ma włos hebanowy, oczy jak węgiel żarzące, a usta palące jak płomień. Wtedy chciałbym się spalić w jej pocałunku, i stopić w jej uściskach.

Upajał ją swoim zapachem ten rozmarzony chłopiec. Nigdy nie słyszała słów takich w zimnym świecie, w którym żyła. Zazdrościła wymarzonej kochance szwagra tej miłości.

I nigdy ci się nie zdarzyło — spytała, zwracając kroki ku dzikszej stronie ogrodu — nigdy ci się nie zdarzyło spotkać kobiety żywej, w którejbyś odnalazł twoją Peri?

— Nigdy! — odparł z westchnieniem, zrów-

nawszy się z nią, i krocząc przy jej boku. Czasem mi się zdarzało widzieć kobietę, która odpowiadała wysnionym przezemnie obrazom. Wtedy mówiłem sobie: to Ona!... Ale kiedy się jej lepiej przypatrzyłem, i poznałem ją bliżej, przekonałem się, że to nie moja Stella.

— Więc Stella jej na imię? — spytała z uśmiechem.

— Tak ją nazwałem, — odparł wesoło. — Przecież się musiała jakoś nazywać.

— I masz nadzieję, że ją odzujesz?

— Czy ja wiem?... Czasem mi się zdaje, że czuję jej oddech na twarzy, i woń jej warkoczy, — że słyszę bicie jej serca koło mnie, tuż blisko... Czasem znów coś mi mówi, że ona mieszka za temi sinemi górami... Ach, tak mnie wabią te sine góry, których szczytu się niebo dotyka... Tam, za niemi musi być szczęście!.. Ale być może, że jej i tam niema, że jej nigdy nie spotkam na świecie... Może nas dzieli morza, lądy, wieki... Może tęskni do mnie — bo ona do mnie tęsknić musi — pod palmą pustynną, wpatrzona w miedziane niebiosy... Może przy zorzy północnej blasku wyciąga do mnie ramiona, i śle mi swe westchnienia przez śniegowe stopy... A może marzy o mnie w śnie grobowym, spowita w liście lotosu we wnętrzu egipskiej piramidy.

— Co?... Mumia marzy o tobie!—zawołała, śmiejąc się wesoło.

— Czemu nie?—odparł z uśmiechem.—Któż nas zapewnia, że umarli nie śnią w grobie?... Któż może powiedzieć, jakie przepaście czasu i przestrzeni dzielą serca, któreby się zrozumiały?... Czy zna pani pieśń Heinego: „*Ich träumte von einer Königstochter...*” Jest do tej pieśni muzyka Schumana.

— Nie znam.

— Szkoda, to bardzo poetyczna piosnka.

— To mi ją powiedz, szwagierku!

— Nie pamiętam niemieckiego tekstu, a tylko moje nieudolne naśladowanie... Cokolwiekbądź, powiem je pani.. Chodzi o to, by stwierdzić, że inni przedemną myśleli to samo.

— Słucham.

Spojrzał w dal przed siebie rozmarzonym wzrokiem, i jał mówić powoli, tajemniczo, lecz spokojnie i bez deklamacyi, tak jakby nie wygłaszał poematu, lecz opowiadał jakieś całkiem zwyczajne zdarzenie:

Snilem o cudnej królownie,
Co czarą strojna urokiem,
Patrzyła na mnie tak rzewnie
Błękitnych oczu swym wzrokiem.

Olśnion jej spojrzeń błękitem,
Uczułem luby żar w łonie,

Włcze plemię.

15

Więc rajskim płonąc zachwytem,
Podniosłem ku niej me dłonie.

„Nie chcę—krzyknąłem—twych skarbów,
Ni ojca twego korony,
Chcę jeno ust twych pić słodycz,
W niebo twych oczu wpatrzony!”

„Ja dawno w grobie już leżę,”—
Zimnem szepnęła mi tehnieniem,—
„I w trumnie śpię kryształowej,
Pod grobowcowym kamieniem.”

„Lecz co noc z grobu wychodzę,
Jako upiorna martwica,
I lecę, luby, do ciebie,
Na srebrnym blasku księżyca.”

„I przez te wpadam okienko,
I w twarz twą senną poglądam,
Bo cię tak kocham bezmiernie,
I tak cię widzieć pożądam!”

— *C'est sublime!*... Śliczne to, prześliczne!
—zawołała.—Ale straszne, hu, jakie straszne!
Aż mróz po szpiku chodzi... Prawdziwie
Niemca potrzeba na to, aby wymyślić coś po-
dobnego... A ty, szwagierku ty, czybyś się nie
przeląkł, gdyby taka rozkochana martwica
przyszła do ciebie w nocy, aby pić krew two-
ją serdeczną?

— Ja!—zawołał.—Jabym się miał przeląc jej, gdybym ją kochał, i gdyby mnie kochała?... I cóż ztąd, żeby mnie zabiła swemi całusami?... To byłaby rozkosz umierać!

Szli właśnie brzegiem pagórka, powracając ku miejscu, z kąd byli wyszli, i mijając krzaki malin o krwawych jagodach. Ścieżka była stroma i niewygodna. Żwir się jej usuwał z pod stopy. Podał jej więc rękę, i wsparła się na jego ramieniu. Kroczyli tak dalej brzegiem jaru, rozmawiając z sobą z zajęciem. On jej mówił o swej wymarzonej kochance, o swych zachwytach i zwątpieniach, tęsknocie i weselach. I ani czuł tego, że, uniesiony zapalem, przyciskał namiętnie jej rękę do piersi, i że ona odwzajemniała jego uściski.

— *Pauvre enfant!*... Biedny chłopiec!—szeptała od czasu do czasu bezwiednie.

Była szczerą w tej chwili. Jest coś w boleści rzeczywistej, czy też wymarzonej, byle szczerzej, co niewoli do litośnych wzruszeń nawet i najzimniejsze serca. Przytem ogarniał ją płomień jego, i udzielało się jej magnetycznie nerwowe jego rozdrażnienie. Tak szli do kamiennej ławeczki, pod rozłożystemi lipami, naprzeciw krzyża, gdzie zwykle siadywała, odmawiając poranne modlitwy.

— Siądźmy tu!—rzekła do swojego towarzysza.

Usiedli więc blisko przy sobie pod baldachymem z zieleni,—on, drżący cały, w rozdrażnieniu, rozczulony, patrzący gdzieś w dal, i skubiący listek jakiś zerwany po drodze,—ona, wpatrując się w niego ze zdziwieniem, z zajęciem i współczuciem. Nie wiedziała, co się jej stało. Była mile wzruszoną. Opanowało ją to dziecko, i pociągało ku sobie swą namiętnością i prostotą.

— Żał mi cię, Olesiu!—rzekła po chwili milczenia.—Przy twem usposobieniu nie będziesz nigdy szczęśliwym w życiu!... Nie odzyskasz nigdy twej Stelli, bo któraż kobieta dorówna twoim marzeniom?... A jeśli jej nie znajdziesz, jeśli, co gorsza, doznasz w życiu cierpkich zawodów, cóż wtedy?

— Wtedy uschnę, jak kwiat bez słońca, w tęsknocie!... Wtedy splonę, jak garść słomy, w rozpacz,—zawołał, roznamiętniając się, i rozczulając coraz bardziej.—Ileż to kwiatów nie więdnę, nim jeszcze rozkwitną, choć się zbudziły do nadziei!... Ileż to serc nie usycha w tęsknocie, lub nie więdnę w rozpacz, zwarzonych życiem, zatrutych bólem, ukrzyżowanych zawodami!

— Biedne, biedne dziecko!—szepnęła znowu wzruszona.

— O! tak, biedny jestem, droga pani!—jęknął, łkając nerwowo, i przyciskając usta płó-

nące do jej ręki,—bardzo biedny!... Szczęśliwy tylko dziś o tyle, że mogę wynurzyć mą tęsknotę... Ach! pani nie wiesz, jak pali ta łza, która pada w serce, dlatego, że jej wypłakać nie można na przyjazne łono... Ja tak potrzebuję współczucia, a nie miałem dotychczas nikogo, nikogo!

Drażniło ją jego łkanie, owiewał płomień jego oddechu, upajała ją woń młodości, bijąca od tego dziecka. Pociągnięta jakąś nieprzepartą siłą, wygięła się ku niemu, i w chwili, gdy kończąc swą skargę głowę podnosił, wycisnęła mu na usta gorący pocałunek.

— Aurelko, Aurelko!—ozwał się z niedalekiej werandy głos pana Bronisława, który wiedząc, iż żona jego wyszła do ogrodu, szukał jej, by ją pożegnać.

— Cyt!—szepnęła,—nie odzywajmy się!... Skryjmy się.

I zerwawszy się z ławeczki, pociągnęła za sobą rozmarzonego i rozplamionego chłopca za franke, którą tworzyły bujne pędy, okalające pień rosochatej lipy.

— Aurelko, Aurelko!—zabrzmiał bliżej już głos wołający.

— Cyt!—szepnęła znowu, uśmiechając się figlarnie, i świdrując zakłopotanego chłopca płonącymi oczyma.

— Ależ nie można,—odparł Oleś, którego głos brata zbudził z niedawnych uniesień.

— Czemu nie można?... Czy się boisz?... Przecież nie jestem straszniejszą od martwicy!

— Aurelko, Aurelko! — wołał, niecierpliwiąc się wyrażnie pan Bronisław tuż, tuż, blisko.

— Hop, tu! — krzyknął Oleś, cały w płomieniach.

— Ha, ha, ha! — zaśmiała się pani Aurelia, wyskakując z ukrycia, i zarzucając mężowi ręce na szyję.

— Także studenckie koncepta, chować się za drzewa! — fuknął opryskliwie pan Bronisław, wydzierając się żonie, i zmierzając ku dworowi.— W starym piecu djabeł pali! Pilno mi jechać, szukam, wołam, a ona się w krzaki chowa.

— No, no, no, no, nie gniewaj się!... Przecież nie jesteś zazdrośny!... Jabym tak chciała, żebyś choć raz był o mnie zazdrośny.

— Nie jestem zazdrośnym, ale to niema sensu!.. Szukam ciebie po całym ogrodzie... Myślałem, że się modlisz, a ty tu głowę zawracasz temu smarkaczowi!.. Zbałwanieje csiół do reszty.

— Mam go! — szepnęła mężowi w ucho pani Aurelia.

ROZDZIAŁ IV.

Jako pan Bronisław miał rację, twierdząc, że w starym piecu djabeł pali, i jak rozmazony Oleś wyszedł na bohatera romansu.

Pani Aurelia łudziła się w swojej zarozumiałości. W tej chwili nie miała Olesia wcale, owszem, była dalszą jego sercu teraz niż kiedykolwiek. Stał biedaczek po odejściu braterstwa, na miejscu gdzie go porzucili, cały w płomieniach, z otwartymi ustami, z pierśią bez oddechu, z twarzą ku odchodzącym zwróconą, i nie widział nic, tylko dwa płomienne słupy tam, gdzie przed chwilą stały postacie brata i jego żony. Usta mu palił całus bratowej, w uszach mu szumiało niby wiatr mocny, a na tle tego szumu rozbrzmiewał się fałszywym tonem śmiech przymuszony pani Aurelii, tak niepodobny do jej pieszczotliwego szeptu przed chwilą.

Miał wrażenie, jak gdyby nad nim przele-

ciała jakaś złowroga nawałnica. Był jak ten, którego potężny jakiś cios oszołomił, a który przychodząc do świadomości wie, iż musiał doznać szwanku, ale jeszcze sobie zdać sprawy z tego nie może, który z jego członków doznał uszkodzenia, i o ile ono jest dla niego niebezpiecznem. Nie wiedział co się z nim stało, ale mu było nie swojsko. Chwilę długą stał tak zdrewniały, — wreszcie począł przychodzić do siebie.

Cisza była w ogrodzie. Wysoko ponad szczytami lip pławił się jastrząb, śledząc jakąś zdobycz niewidzialną. Żaden wietrzyk nie trącał liści wiekowych drzew. Tylko z niedalekiego krzaku ozwał się jakiś szmer tajemniczy. Oleś spojrział w tę stronę z przerażeniem. Był to szelest opadającej róży, której listki sypały się na murawę z ledwie słyszalną skargą. Widocznie wwiercić się musiał owad jakiś w kielich wspaniałego kwiatu.

— Wyśmiej mnie, wyśmiej!—zawołał nagle biedny chłopczyzna, załamując dłonie.—O jakież ja głupi, jaki ja głupi, zem jej wierzył, zem jej powiedział moją tajemnicę!

I wyciągnawszy przed siebie ręce, pobiegł ku dzikszej stronie ogrodu, a ztamtąd do lasu, nad brzeg jaru, w ono ustronie, gdzie zwykł był siadywać, czytając, i marząc w po-

śróđ leśnej ciszy. Tam padł na murawę, i płakał.

Długo rozpaczał biedny malec, nie umiejąc sobie dokładnie zdać sprawy z tego, jaki był właściwie powód jego boleści. Przedewszystkiem dręczyła go myśl, iż pani Aurelia zdradzi jego zaufanie. W prostocie ducha nie mógł sobie wytłómaczyć ani dziwaczного jej postępowania, ani też gniewu brata. Jak mogła rozczulać się, a potem nagle swawolić; jak mogła swawolić i śmiać się, po tak niedawnem rozczuleniu? A potem ten całus, te oczy tak płomienne, ten uśmiech taki szyderczy, gdy mu przypomniała piosenkę o martwicy... Oh, ona, ona go wysmieje, wysmieje z pewnością!

Po godzinie takiego rozpamiętywania powstał Oleś z murawy, obmył sobie oczy w potoku, i poszedł na obiad do domu, pełen żalu i nieufności do pani Bronisławowej, którą posądzał o zdradę swego zaufania.

I pani Aurelia myślała także o swym małym szwagierku.

Bawiła ją dzisiejsza jej przygoda. W myśli przeżuwała wszystkie z niej odniesione wrażenia, jak ów smakosz, który po sutej uczcie, stara się jeszcze raz odczuć smak potraw wykwintnych, spożytych w czasie biesiady. Dziwiła się sobie, jak mogła się roz-

czulić i unieść współczuciem tak żywym dla tego malca, który jej wyznawał serdeczne swe bole i tęsknoty. Ale bo też i dziwnem było to pachole, tak szczere i pełne prostoty, a przemawiające jak bohater francuskiego romansu.

Nigdy jeszcze nie słyszała słów takich w życiu;—czytała tylko podobne w powieściach. Ale tamte były bajką jeno. Tam przemawiali ludzie nieistniejący, i wymarzeni przez poetów, a wyposażeni przez nich całą potęgą namiętności, właściwej męskiemu wiekowi,—tu zaś mówiło tak nieletnie chłopię, z całą dziecięcą szczerością i prostotą, a zarazem z całym przekonaniem głębokiego i gwałtownego uczucia. Cóż dziwnego, że się uniosła aż do zapomnienia? Cóż dziwnego, że się dała porwać temu tak prawdziwemu, a namiętnemu uczuciu?

Przytem schlebiało jej kobiecej próżności to dziwne usposobienie Olesia w chwili, gdy jej zwierzał swoją wymarzoną bolesć, i tęsknotę. W zaślepieniu miłości własnej nie tłómaczyła go sobie tem, czem je można było jedynie wytłómaczyć. Nie przyszło jej na myśl nawet, że usposobienie to może być prostym wynikiem nerwowego rozdrażnienia, w jakim się znajdował chłopiec ten po świeżo przebytej słabości, i że rozdrażnienie to, spotęgowane czytaniem rozmarzających ksiązek,

mogło spowodować stan podobny w tak wrażliwym umyśle.

Przedmiotem gwałtownych uczuć Olesia, — tak sądziła, — nie mogła pomimo jego tak szczerych zapewnień, być przecie jakaś wymarzona kochanka. Któż kiedy słyszał o czemś podobnem na świecie? Albo więc dziwny chłopiec ten nie rozumiał sam siebie, i spowiadał jej stan duszy swojej, budzącej się do silnego, a jeszcze siebie nieświadomego uczucia, — a w tym razie płonał on nie dla kogo innego, tylko dla niej, którą obrał za swoją powiernicę; — albo zaowu, — tak przypuszczała w swojej przewrotności, — odegrał przed nią komedye, opowiadając jej miłość swoją, w formie przebiegle obmyślanej alegoryi, i starając się w ten sposób wzbudzić jej współczucie. I jedno i drugie pochlebiało jej w równej mierze, — w każdym razie bowiem kochał ją namiętnie, z całą szczerością dziecięcia, i z całą gwałtownością niezwykłego jakiegoś, wulkanicznego temperamentu. Myśl ta bawiła ją niezmiernie. Postanowiła więc snuć dalej nadarzającą się — a tak zajmującą i próżność jej łechcącą intrygą.

— *C'est très drôle, et c'est sans conséquence!* — powtarzała z zadowoleniem.

Zdziwiło ją też niezmiernie, gdy się przekonała, że nie onej zabawnej intrygi, którą

sobie tak przyjemnie snuć obiecywała, jest zerwaną. Oleś, który dawniej szukał jej towarzystwa, i tak łatwo się dawał nakłaniać do gawędy i wynurzeń, unikał jej teraz widocznie, lub był milczący i w sobie zamknięty, zaniechawszy równocześnie dawnych swych dla bratowej uprzejmości. Zrazu widziała w tem dowód dziecięcej nieśmiałości, a myśl ta potwierdziła ją w dawniejszych przypuszczeniach. Niebawem jednak, gdy ją zamiast spodziewanej zabawy, trapić zaczęły nudy, w niezbyt dla niej zajmującym towarzystwie Żymirskich, jęła ją zastanawiać coraz bardziej nagła zmiana w postępowaniu szwagierka.

Starala się więc wszelkimi sposobami nawiązać na nowo tę nie sympatyczną, która ich dawniej łączyła, ale daremnie! Na próżno go usiłowała przyciągnąć do siebie, podwajając uprzejmość swą i łaskawość, stając się nawet zalotną dla tego malca, o ile na to pozwalała obecność rodziców, gdyż Oleś stanowczo unikał wszelkiego sam na sam z bratową.

Oziębłość ta drażniła coraz bardziej upartą intrygantkę. Wiedziała, że się jej z rąk wymkneła zdobycz, której się sądziła tak pewną. Irytował ją zawód doznany, cierpiała jej zdraśnięta miłość własna. Nie mogła się po-

godzić z myślą utraty tego cacka, które jej się obecnie wydawało ponętniejszem, i godniejszem pożądaniam, niż pierwej. Z całą więc wrodzoną sobie zaciekłością, z uporem namiętnego łowca, rzuciła się w pogoń za niem, byle je posiadać za jakąbądź cenę. Myśl ta prześladowała ją dniem i nocą.

Rozwinęła się tedy pomiędzy nimi gra zupełnie inna, aniżeli to pierwotnie przypuszczała pani Aurelia. Opanował ją Oleś—ów Oleś, którego tak była pewną. Intryżka jej, która miała być *drôle et sans conséquence*, przybierała rozmiary prawdziwego romansu.

Zdarzyło się pewnego dnia, iż zostali przypadkiem sam na sam ze sobą. Pani Żymirska wyszła była właśnie z salonu gdzie siedzieli razem we troje. Olesiowi, którego kokietowała poprzednio pani Bronisławowa, mieszając do obojętnej rozmowy dwuznaczne słówka, i podkreślając je czułymi spojrzeniami, niewypadało pozostawić bratowej bez towarzystwa. Zakłopotany wziął więc książkę do ręki, i jął przewracać jej kartki z udaniem zajęciem.

— Co ci jest szwagierku?—spytała go nagle pani Aurelia, odkładając robótkę, którą była zajęta i topiąc w nim smutne spojrzenie. —Nie widać ciebie wcale!.. Przyzwyczajaiłeś mnie do twego towarzystwa, a teraz stronisz odemnie!

— Wakacye się kończą—odparł pośpiesznie, nie podnosząc oczu. — Chciałbym zdać egzamin, aby nie stracić roku... Muszę się więc uczyć, tembardziej ile że nie chciałem, ażeby mi wzięto korepetytora... Papa i tak mi wyrzuca, że wychowanie moje tak wiele kosztuje.

— Nie jesteś szczerym Olesiu!—rzekła w tonie wyrzutu.—Unikasz mnie widocznie; czuję to!... To niewdzięcznie z twej strony, bo przecie wiesz, jak ci sprzyjam... Powiedz, czy zasłużyłam na to abyś stronił odemnie?... Jak sądzisz, dla kogo zostałam w Wilkowie?

— Dla rodziców—zawołał drżącym głosem blednąc jak chusta, i patrząc na nią przerażonym wzrokiem.

— Niezawodnie—odparła, świdrując go oczyma.—Kocham ich bardzo, ale czyż sądzisz, że towarzystwo ich może być dla mnie tak zajmującym?... Mama to święta kobieta, ale tak znacznie starsza odemnie!... Dzieli nas tyle lat; mamy tak różne zapatrywania, tak odmienne potrzeby serca i umysłu!... Papa najzacniejszy człowiek, ale należący już do innego świata... Niema, i być nie może pomiędzy nami onego sympatycznego mostu, który istnieć może tylko pomiędzy duszami, ożywionemi jednym i tem samem pragnieniem.

Milczał uparcie, przewracając kartki ner-

wowo i nie odrywając już oczu od swej książki.

— Co to za książka?—spytała po chwili milczenia niecierpliwie.

— Poezye Słowackiego.

— *Ah, c'est charmant!* To wyborniel To doskonale! — zawołała uradowana.— Zabiorę robótkę, ty zabierzesz książkę, i pójdziemy do ogrodu, do altany... Nudzę się! Musisz mi czytać... Musisz mi poświęcić dzień dzisiejszy!... Żądam od ciebie tej ofiary!...—Powiedz, czy to tak ciężka ofiara?...

— Ale nie!... Zkądże znowu?... Owszem.— Jestem bardzo szczęśliwy—protestował Oleś z wymuszonym uśmiechem.

— Podaj mi więc rękę!—rzekła, opierając dłoń na jego ramieniu, i schodząc po stopniach werandy do ogrodu.

Szli tedy w gorącym lipcowym słońcu, po rozpalonym piasku, mijając rabaty pełne mdlejących od skwaru kwiatów,—ona, niedbale zawieszona na jego ramieniu, zalotna, szczebiotliwa, weśło się śmiejąca, przechylając twarz ku niemu pod rozpiętą ombrelką,—on, milczący, smutny, i chmurny jak jeniec, którego w jasyr prowadzą.

Duszo było w powietrzu jak przed burzą. Żaden wietrzyk nie poruszał liści drzew, rękłoby się zdrętwiałych przeczuciem nawałni-

cy. Ptactwo spało pod dachem z zieleni, ubezwładnione spiekotą. Tu i owdzie tylko, w gorącym piasku ogrodowych ścieżek kąpały się wróble, świegocąc i trzepiąc skrzydełkami nerwowo. Ponad trawnikami i kwieciem, bujały w słońcu niezmordowane motyle. Szydercza piosnka świerszczów polnych, grała nieustannym trylem w szpalerach.

Była w ogrodzie altana urządzona tak jak poikoik, rodzaj gloriety, wzniesionej jeszcze przed laty z kamienia, opatrzonej trzema oknami o różnokolorowych szybach, a ocienionej kilkom smerekami, tak, iż tam w czasie upału nawet, panował chłód względnie przyjemny. Nazywano ją niegdyś pustelnią, aliści romantyczna nazwa ta nie odpowiadała wcale jej urządzeniu, skutkiem czego też prawdopodobnie przechrzczono ją z czasem bardziej prozaicznie. Stół, stara wygodna sofa, i kilka foteli, nadawały temu przybytkowi, jakiś pozór swojski, i mieszkalny. Światło dzienne przekradając się przez kolorowe szyby, napełniało altanę fantastycznym półmierzchem. Otworzywszy drzwi przyniesionym z salonu kluczem, strzepał Oleś kurz ze stołu i z kanapy, poczem usiedli blisko siebie, ona zajęta robótką, on czytając jej „Ojca zadżumionych z El Arisz.“

Słuchała go z roztargnieniem, niesłyszając

prawie, i myśląc o czem innem. Była niespokojną i rozdrażnioną; — snadź przeczuwała nerwami, zbliżającą się burzę. Opanowała ją jakaś dziwna ocieężałość, jakieś nudy obezwładniające ją, niby ołowiane pęta. Siliła się otrząść z siebie to brzemie; — wzdychała, i raz wraz tłumila ziewanie.

— Ach, jakie to nudne! — zawołała po chwili, wrywając mu książkę z ręki. — Rozmawiajmy lepiej; to będzie zabawniejsze... Albo... albo nie!... Czytaj mi co innego... Czytaj tu!...

I zamknąwszy książkę rozłożyła ją, gdzie ją otworzył przypadek. Było to „w Szwajcaryi,” ulubiony poemat Olesia. Zaczął więc czytać znowa, zrazu monotownie, zadziwiony niepokojem i nerwowem rozdrażnieniem bratowej, które i jego poczynało ogarniać. Niebawem jednak porwał go melodyjny rytm wiersza, upoiły czarowne obrazy, roznamiętniła głębokość uczucia. Uniesiony zapałem, płonący, czytał tę pieśń nad pieśniami, a raczej mówił ją z pamięci, cieniując głosem wszystkie najsubtelniejsze uczuć tych modulacje. Położyła robótkę na stole, podparła ręką głowę, i patrzyła w jego twarz ożywioną, zapalając się jego płomieniem.

— *C'est sublime!*... Przepiękne!... Śliczne!... Ach jak ty to czytasz?... Co to musi być za

szczęście, tak kochać, i być tak kochaną!— wołała co chwila unosząc się zapałem.

I Olesia także upoiła już była pieśń czarodziejska. Roznamiętniony, lubo rozmarzony, nie patrzył już tak nieufnym wzrokiem na bratową. Znajdowali się na wspólnym gruncie jednakowego roztkliwienia, jednakiego nerwowego rozdrażnienia, i jednakich zachwytów. Podejrzliwość jego ustąpiła miejsca bezwzględnej ufności.

— Czy ty to czujesz?—spytała raz jeszcze, gdy skończył czytanie.

— Ach, jakżebym mógł nie czuć?—zawołał namiętnie.—Zdaje mi się, że to nie jest napisane, lecz że to moja dusza tak gada... Kto kocha a prawdziwie kocha, ten nie może czuć inaczej!

— Tak z pewnością!. Ale nie każdemu dane jest kochać tak silnie... Miłość miłości nie równa, i mierzyć ją dopiero można wielkością ofiary... I czemuż jest miłość bez walki bez przeszkody,— miłość dwojga ludzi wolnych zupełnie, i mających prawo się kochać?

Popatrzył na nią zdziwiony, nie rozumiejąc słów jej znaczenia.

— Ludzie tacy — ciągnęła dalej — oddają sobie pół serca i pół duszy, lecz kto wie, czyby się nie cofnęli przed zupełności ofiary?... Kto wie, czyby się nie przerazili

myślą, że dla miłości swej, muszą poświęcić przekonanie całego życia, honor, spokój reszty swych dni?... Taka miłość jest prawdziwą miłością!—dodała roznamiętniając się coraz bardziej.—Miłość potępionych, szalona, bezbrzeżna, rozpaczna, zabójcza!... Miłość bez gwiazd i bez słońca, miłość, którą trzeba okupić wyrzutami sumienia!

Patrzył na nią oszołomiony. Olbrzymiała w jego oczach. Wszystko co dotąd marzył o miłości, wydawało mu się zimnem i bezbarwnem, z zawrotnej wysokości, na której go postawiła, temi kilkoma wyrazami.

Przypomniała mu się Francesca di Rimini którą znał z kopii obrazu Ary Scheffera. Jakieś bezbrzeżne widnokregi zarysowały się przed jego oczyma. Widział jakąś łunę, jakąś krwawą mgłę, a na tle mgły tej stała pani Aurelia, patrząca na niego oczyma, pełnemi jakichś obietnic szczęścia bez granic.

W istocie odpowiadała rzeczywistość gorączkowym widzeniom rozmarzonego chłopca. Altankę zaległ był mrok ponury, tylko ścianę, na której się rysowała twarz pani Aurelii, oświetlał blask dnia, przekradając się przez różnokolorowe szyby. Widocznie zaćmiły były niebo czarne jakieś chmury. Wyglądała ponętnie w tem fantastycznym oświetleniu. Patrzyła na niego płomiennemi oczyma, uśmie-

chając się nawpół smętnie, a nawpół szyder-
sko. Porywała go urokiem przepaści.

— *Amor chi non raggiona'ed a nessun' per-
donua!* — szepnął sam do siebie, powtarzając
wiersz jakiegoś włoskiego poematu.

— I cóż, mój paziu?—zapytała po chwil
milczenia.— Czy pojmujesz miłość taką?... Czy
masz w sercu dość odwagi?... Czy zdoln je-
steś namiętności tak silnej, aby dać szczęście
tej, któraby dla tego szczęścia poświęciła
wszystko?... Rozumiesz? wszystko!... Obo-
wiązki, cześć, szacunek dla siebie samej, su-
mienie, spokój całego życia!

Wyciągnął do niej ręce drżące, jak listek
osiny, i mełł ustami, nie mogąc wydobyć gło-
su z dyszącej piersi.

— Jeżeli masz dość serca,—zawołała, poże-
rając go oczyma,—to chodź!... Spalę cię w
moich uściskach.

ROZDZIAŁ V.

Jako się państwo Bronisławowstwo srodze niepokoił religijną obojętnością Olesia, i co pani Aurelia uczyniła, aby go skierować na drogę zbawienia.

Łomot gęstego gradu, bijącego w dach ponad ich głowami, napelniał altanę suchym jakimś, szyderczym łoskotem. Z nieba lały się pioruny, warcząc złowrogo, i rozświetlając co chwila ponury mrok, który zaległ był altankę. Różnokolorowe okna, które oszczędzał grad z przeciwnej bijąc strony, zapalały się co chwila płomieniem błyskawic, to znowu gasły w cieniu,—podobne do jakichś mściwych duchów z krwi i żaru, wyłaniających się z ciemności, to znowu tonących w czarną noc, nie zawsze widzialnych, a jednak ciągle obecnych, jak pamięć winy, jak wyrzut sumienia!

Ochłonawszy ze swych zachwyków, struchlał Oleś na myśl haniebnego czynu, którego się dopuścił w namiętnym szale. Grozą go

napełniało wspomnienie krzywdy, jaką bratu wyrządził. Czuł dla siebie obrzydzenie, a wstręt niepohamowany dla swej kusicielki.

— Chodźmy ztąd!.. Uciekajmy!—zawołał zdjęty przerażeniem.

I wyrwawszy się z jej objęć, skoczył ku drzwiom altanki. Roztworzył je gorączkowym ruchem. Potężny prąd zimnego wiatru wpadł przez otwarte podwoje, rozwiewając mu włosy na płonącej skroni. Chwilę stał w progu z otwartymi ustami, blady, wpatrując się w ten straszny zamęt przerażonemi oczyma. Gęsty grad siekł trawy, zioła i kwiaty, niby deszcz kamienny. Szalony wiatr ryczał, druzgocząc gałęzie drzew. W powietrzu unosiły się tumany zbitego liścia, wirując w rozpaczonym, śmiertelnym tańcu, podobne do zawieruchy potępionych duchów. Niemy i grozą zdjęty, patrzył na ten obraz zniszczenia. Zdawało mu się, że natura, wściekłym dyszącą gniewem, mści się tak praw swoich zniewagi. Patrzył w czarne chmury, rychło też grom ztamtąd w czoło jego uderzył.

— Zapóźno,—szepnęła, kładąc mu rękę na ramieniu, pani Aurelia, która również podeszła była ku drzwiom altany.

— Zapóźno!—powtórzył jak echo, załamując dłonie.

I zamknąwszy drzwi, usiadł znowu przy

niej złamany, podpierając ręką chmurne czoło.

— I czegoż tak smutny jesteś, paziu mój biały?—zapytała pieszczotliwie.—Czy cię tak przeraża burza?... Minie za chwilę... Tak szalona nie może trwać długo... Chodź tu do mnie!... Ukoję cię pieszczotą!... Czemuż mi wzdychasz tak ciężko?... Czy ci może żal minionej rozkoszy?

— Sumienie! — szepnął rozpaczliwym tonem.

— Sumienie?... Dziecko jesteś, mój paziu!.. Namiętność wszystko tłómaczy!

I jęła go pieścić, całując i szczebiocząc, ale już nie zdołała rozplómić go, ani też rozerwać. Był jak głaz martwy w jej objęciach. Na zapytania jej odpowiadał półsłówkami, chłodny i roztargniony. Myśl jego była gdzieś indziej. Czuł w duszy straszne jakieś rozdarcie. Był bardzo nieszczęśliwy.

Pani Aurelia nie brała za złe szwagierkowi swojemu tej nagłej oziębłości, tłómacząc ją sobie przygnębieniem, jakie na tak młodego chłopca wyrzucić musiała nowość odebranych wrażeń. Owszem, lubowała się tym jego chmurnym niepokojem, o którym sądziła, iż niebawem ustąpi, skoro przeminie wpływ pierwszego wzruszenia. Szczebotała więc dalej i pieściła znękanego;—wreszcie gdy uci-

chła burza, podała mu rękę i wrócili razem do domu, gdzie się o nich niepokoiли rodzice, nie spostrzegłszy zrazu ich nieobecności, w czasie nawałnicy.

Okropne zniszczenie spowodowała burza. Stary Żymirski był w rozpaczcy. Nazajutrz zamierzał rozpocząć żniwa, po których się spodziewał pomyślnego uwieńczenia swych całorocznych trudów. Wistocie stało zboże na pniu prześlicznie, pełne w kłosie, i pod sierp dojrzałe, tak, iż można się było spodziewać niebywałego urodzaju. Budował więc staruszek na tych widokach tęczowe pałace. Ten jeden rok miał mu wynagrodzić wszystkie z dawnych lat straty, posłużyć do uregulowania interesów, i wykazać czerstwość, dzielność i gospodarczą umiejętność starego żołnierza. Wszystkie te nadzieje i rachuby zniszczyła jedna godzina! Grad wymłócił doszczętnie plony czekające sierpa, nie oszczędziwszy ani jednego łanu. Nawet i słoma zniszczoną została całkowicie. Połamana, zwichrzona, w ziemię wbita, zamulił deszcz, który przyszedł po gradzie. Nie pozostawało nic, jak tylko zaorać pola nawiedzone klęską. Swoim zwyczajem nie zabezpieczył był pan Żymirski plonów, na których tyle pokładał nadziei. Ruina więc była zupełną. Na zasiew, na wyżywienie inwentarza, na ordyna-

ryę, a nawet na potrzeby domowe wypadło poczynić zakupy, na które nie było pieniędzy. Cała nadzieja leżała w kartoflach, lecz i te psuć się zaczynały. Stawała więc przed Zymirskimi nieubłagana konieczność szukania ratunku w jakiejś większej sprzedaży lasu, w wypuszczeniu majątku w dzierżawę pod niekorzystnymi warunkami, lub też w zaciągnięciu większej pożyczki.

Sprytem swym odgadła pani Aurelia od razu, iż nadszedł dla rodziców ów moment psychologiczny, który staruszków odda w jej ręce, i że nie będzie potrzebowała uciekać się do żadnych heroiczych środków, aby—jak swojego czasu mężowi to powiedziała—zmusić te stare dzieci do zażycia zbawiennego lekarstwa. Doniosła więc mężowi o klęsce, która dotknęła rodziców, wzywając go, aby się na wszelki wypadek zaopatrzył w fundusze, potrzebne do przeprowadzenia interesu, otwierającego się w sposób tak pomyślny. Wysłała również listy do cici hrabiny, i do Tola, zamawiając sobie u nich pożyczkę, na wypadek potrzeby. Sama zaś badała położenie rodziców, napozór obojętnie, i powodując się jedynie współczuciem dla ich nieszczęścia. Pocieszała ich też obłudnie, podając im rozmaite rady, i zapewniając ich, że Brońcio, który ma tak znakomitą do interesów gło-

wę, znajdźcie z pewnością jakiś sposób ratunku.

Myśl ta w stosowną rzucona porę, znalazła życzliwe ucho u pani Żymirskiej, która zniechęcona nieporadnością męża, podniosła na nowo dawny zamiar swój oddania administracyi majątku młodym, silnym, i sprężystym dłoniom ruchliwego pana Bronisława. Rozpoczęły się więc w Wilkowie kwasy na nowo, stary Żymirski nie chciał bowiem i słyszeć o podobnej rzeczy. Krzątał się zrozpaczony staruszek na wszystkie strony, szukając ratunku, i trwoniąc resztki swej energii w bezowocnych wysiłkach. Wyjeżdżał do miasta szukając kupców, biegał po adwokatach, pukał do rozmaitych finansowych instytucyi, starając się o tani kredyt, wszystko daremnie! Pocieszał żonę, zapewniał ją, iż bez obcej pomocy i rady, sam dźwignąć się zdoła z upadku, opierał swe rachuby na fantastycznych jakichś przypuszczeniach, w których cudowne urzeczywistnienie, niewzruszoną pokładał wiarę, i starał się żonę przekonać o nieomyślności swych obliczeń, — niestety wszystko to zawodziło! Wyjeżdżał z domu pełen różowych nadziei, a powracał w czarnej pograżony rozpaczą. Nie sposób było znaleźć kupca na las, ani też tak dorywczo większą zaciągnąć pożyczkę. Ratował się biedaczek jak

mógł, prolongując stare, a zaciągając nowe wekslowe długi. Wszystko to zatruwało życie biednemu staruszkowi.

Tymczasem unikał Oleś pani Aurelii, czując do niej żal i wstręt, które się zwiększały w miarę jej natarczywości. Przypominała mu to, co nazywał hańbą swoją i zbrodnią. Zamykał się więc biedny chłopczyzna w swym pokoiku, tłómacząc się przed rodzicami nawalaniem pracy, i konieczną pilnością, ażeby się należycie przygotować do zbliżającego się egzaminu. W istocie jednak nie pracował — nie mógł pracować — Gorączką trawiony, leżał dnie całe na swem łóżku, patrząc w sufit, i marząc. Przed oczyma stała mu wiecznie pani Aurelia, wyciągająca ręce ku niemu, świdrująca go płomiennem spojrzeniem, uśmiechająca się upiorną jakąś złością. Starał się odegnać precz od siebie to natrętne widzenie, ale wracało co chwila nieubłagane. Czuł na ustach jej płomienne usta, i zdawało mu się, że mu pocałunkami serce pali, i mózg wysysa. Przypomnił sobie, iż go ostrzegła, że miłość jej rozpaczna jest, zatruta i zabójczą. Ach czemuż nie usłuchał tej przestrogi? Czemuż zapragnął tej miłości, okupionej wyrzutami sumienia?

Zgryzota spać mu nie dawała w nocy. Rozgorączkowany zrywał się z pościeli, i zapalał

świecę, ażeby nie być sam na sam ze sobą, i swą boleścią. To mu sprawiało ulgę; — zdawało mu się, że światło rozjaśnia jego myśli. Wtedy chodził szybkimi krokami po pokoju, rozmyślając i wzdychając. Przypominał sobie wszystkie szczegóły pierwszego swego z bratową spotkania, w ogrodzie na brzożowym mostku. Wtedy otworzył jej swe serce, wierząc w jej przyjaźń, i tą przyjaźnią szczęśliwy. Bo i czemu były jego ówczesne smutki i tęsknoty w porównaniu do jego dzisiejszej rozpacz? I ona go kusila wtedy urokiem tej życzliwości, w której czystość wierzył tak twardo, nie wiedząc, iż się słodycz jej niebawem w jad zamieni. Potem usiedli razem na ławeczce pod lipami, i wycisnęła całus płomienny na jego usta; potem skryła się przed nadchodzącym mężem, tak jak zbrodniarka. I patrzyła na niego tak wyzywająco, i pytała go, czy jest straszniejszą od jmartwicy? Oh tak, ona już wtedy była od niej straszniejszą! Teraz zrozumiał, dlaczego mąż jej uniósł się gniewem, widząc ich sam na sam ze sobą, i dlaczego chcąc przed jego okiem ukryć niepokój swój i zakłopotanie, śmiała się tak fałszywym tonem, zarzuciwszy mu na szyję ramiona. Kłamliwa czułość! Ona już wtedy zdradę miała w sercu. Brat jego odgadł to instynktem: — dla czegoż on był

ślepy do tyła, by tego nie widzieć, i nie zrozumieć? I żal mu było brata, którego zdradził i skrzywdził, i złamany boleścią, rzucał się znowu na łóżko, rwąc sobie włosy z głowy, w nieutulonej rozpacz.

Zajęta tem, co swoją dyplomatyczną nazywała akcją, nie zwracała pani Aurelia zrazu uwagi na dziwne usposobienie Olesia, tłumacząc sobie chłód jego nieśmiałością, łatwo zrozumiała w tak młodym chłopcu. Po jakimś jednak czasie, widząc, iż pomimo wszelkich pokus nie tajał, lecz owszem coraz bardziej jej unikał, zrozumiała, iż w sercu jego wzbudziła nie miłość, ale potępienie. Pojęła, że ten rozmarzony chłopiec przebaczyć jej tego nie może, iż, korzystając z chwilowego szału jego, ściągnęła go z obłocznych wyzyn, w których bujał tak szczęśliwy, na to jedynie, by zbrudzić duszy jego białosć, i rzucić go ze zwichniętem skrzydłem w otchłań zgryzoty, i wyrzutów sumienia. Nie było wątpliwości, ten malec sądził ją, szwagierek ją potępiał, biały paż zamiast miłości miał dla niej w sercu tylko wstręt, i wzgardę! — Świadomość ta oburzała ją, upokarzając jej dumę. Pod wrażeniem tego uczucia, zamieniła się chwilowa słabość jej dla Olesia w nienawiść serdeczną, i nieprzeblaganą.

Po ukończeniu żniw w Olchówce, zjechał

pan Bronisław do Wilkowa, zapowiedziany przez żonę, a wyglądzany przez panią Żymirską, jako pocieszyciel wszystkich smutków, i jako wybawca z wszelkiego strapienia. Rozpoczęły się więc narady, — jawne w których udział brała cała rodzina, — tajne do których nie przypuszczano starego Żymirskiego, lecz tylko jego żonę, — i jeszcze tajniejsze, w których się na osobności z mężem swym naradzała pani Aurelia, dając mu potrzebne informacye, i pouczając go, jak postępować powinien.

Państwo Bronisławowstwo w najlepszej byli z sobą zgodzie, a pobyt ich obecny w Wilkowie zdawał się być jakoby odnowieniem, dawno już skwaszonych miodowych miesięcy ich pożycia. I nie dziw, ożywiało ich oboje w tej chwili jedno pragnienie, uśmiechała im się obojgu jedna, i taż sama nadzieja, umysły ich zajmowała jedna i taż sama praca. Rzecz więc prosta, iż wspólny nastrój ten, musiał się na zewnątrz uwidoczniać najdoskonalszą harmonią.

Być jednak może, iż uprzejmość pani Aurelii dla męża miała oprócz tego inne jeszcze pobudki, była bowiem nad zwyczaj swój dla niego pełną względów, przymileń, uśmiechów i czułości. Zachowanie jej obecne miało w sobie coś nienaturalnego, coś dziwnego, co jed-

nakże szczególniejszym trafem nie zwracało uwagi niczyjej. Była jak gdyby rozdrażniona, — to sentymentalna z mężem, i czuła jak młoda oblubienica, to znowu wesółą i trzpiotowatą jak pensyonarka podczas wakacyi. Być więc może, iż po chwilowem zapomnieniu, obudziło się w sercu jej silniejsze dla męża uczucie. Być może, iż ją dręczyło sumienie, i że pieśczołą i czułością, chciała mężowi wynagrodzić wyrządzoną krzywdę. A może być, że ją tylko tak trawiła gorączka intrygi, którą knuła, i której była głównym kierownikiem, — bo któż kiedy odgadł i zrozumiał serce takiej kobiety?

Od cudownej harmonii tego dziwaczego stadła, przykro odbijało nieporozumienie dzielące państwa Żymirskich. Nie bywało nigdy kwasów takich w Wilkowie. Po raz pierwszy dopiero zamąciła różnica zdań w sposób tak stanowczy długoletnią zgodę staruszków. Po raz pierwszy dopiero od swego zamążpójścia, miała pani Żymirska przed mężem jakieś tajemnice, i po raz pierwszy dopiero czuła się nieszczęśliwą ofiarą mężowskiego uporu. Pomimo wszelkich swych niepowodzeń, nie chciał bowiem stary Żymirski słyszeć nawet o jej zamiarze przesiedlenia się do Lwowa, i oddania Wilkowa w dzierżawę panu Bronisławowi. Modliła się więc staruszka, błagając Boga

gorąco, aby zmięczył upór męża, będąc przekonaną, że od przeprowadzenia tego planu, zależy cały byt jej rodziny.

W tem zamięcie błąkał się Oleś niby senny, obojętny na to, co się około niego dzieje, i nie wiedząc nic o toczących się sporach i rokowaniach. Przyjazd pana Bronisława wyrwał go był na chwilę z apatyi, w jakiej go pogrążała zgryzota. O jakże chętnie byłby padł w jego objęcia, i całą na jego łono wypłakał duszę! Ciężyła mu tajemnica popaźnionej winy, a jednak czuł, że jej wyjawić nie może, że musi żyć z swojemi wyrzutami wiecznie, bez możności naprawiania wyrządzonej krzywdy, bez nadziei uzyskania przebaczenia. Zbliżał się więc do brata, pełen nieśmiałości, patrząc mu w oczy tkliwie, i starając się odgadywać jego myśli. Chciał mu wynagrodzić miłością złe, które mu wyrządził w szale uniesienia.

Pana Bronisława gniewało zachowanie Olesia. Postanowił go był poświęcić swoim zamiarom; drażniły go więc te przymilenia brata, których właściwego nie znał powodu. Z wrodzoną sobie rubasznością, a surowością zdziczałego w lasach myśliwego, odtrącał przymilającego się malca, uskarżając się na jego natręctwo, i zniechęcając się doń tembar-dziej, im więcej mu okazywał przychylności.

Oleś bolał nad tą surowością brata, upatrując w niej słuszną karę swej winy. Pani Aurelia podsycala niechęć męża ku szwagrowi, czerpiąc w niej zadowolenie własnej nienawiści. Po niejakiś czasie uczuł Oleś, że bratu zawadza; zamknął się więc na nowo w swym pokoiku, szukając w pracy zapomnienia.

Tymczasem toczyły się dalej narady pomiędzy państwem Żymirskimi, a ich synowstwem, nie zbliżając sprawy do rozwiązania, zamierzonego przez panią Aurelię i jej męża. Stary Żymirski bronił się jak lew, nie chcąc zezwolić na żadne ukrócenie swojego wszechwładztwa, a tłumacząc wszystkie swe niepowodzenia, niezawisłemi od wszelkiej ludzkiej przezorności wypadkami, oraz ciężarami, które ponosić musi na utrzymanie domu, na wychowanie syna, na opłatę procentów od dawnych długów, które to ciężary większym go obarczają brzemieniem obecnie, po sprzedaży jednego folwarku, i spowodowanym w ten sposób umniejszeniu dochodów z Wilkowa. Niechętny bratu pan Bronisław podniósł na nowo myśl oddania Olesia do wojska. Myśli tej przyklasnął obecnie pan Żymirski tem żywiej, ile że jej przeciwną była jego żona. Stary żołnierz chciał się tym razem zabawić w polityka, i stworzyć sobie punkt sporny, równo-

ważący żądania jego małżonki, którą chciał w ten sposób zmusić do kapitulacji.

— *Do ut des!*—powtarzał sobie, zacierając ręce. — Ja zrobię jej ustępstwo w sprawie Olesia, a ona musi mi przyrzec, że więcej nawet mówić mi nie będzie o wypuszczeniu Wilkowa Bronisławowi.

Trwały więc rozprawy nad tą kwestyą dalej;—w końcu dowiedział się i Oleś o zamiarach dotyczących jego losu. Zakochany w książkach, mało ruchliwy, nie miał on nigdy pociągu do wojskowego stanu. Tym razem jednak uśmiechnęła mu się myśl podniesiona przez pana Bronisława. W moralnem rozbiściu, w którym się znajdował, wydała mu się służba wojskowa kotwicą ratunku. Uśmiechała mu się myśl, że ucieknie z tych miejsc, gdzie go ścigały dręczące wspomnienia,—że się schroni przed widokiem bratowej, dla której czuł wstępl i wzgardę, że się ukryje przed bratem, którego spojrzenie było dla niego wyrzutem sumienia. Daleko, daleko za górami, za sinemi, tam znajdzie może spokój i zapomnienie. Ożywiony tą myślą, ułożył sobie odpowiednie do rodziców przemówienie, poczem wszedł do pokoju ojca, w chwili właśnie, gdy nad tym przedmiotem radzono, i oświadczył zamiar zostania żołnierzem

Niespodziewane to wystąpienie Olesia,

przeraziło panią Żymirską, która straciwszy brata w wojnie, a syna w pojedynku, drżała na myśl samą, iż najmłodsze jej dziecię może być narazem na los podobny. Rozdrażnienie, w którym się znajdowała od kilku dni, zmogło ją ostatecznie. Nie mogąc opanować bólu, nerwowym wybuchnęła płaczem. Oskarżając Olesia o niewdzięczność, a zarzucając wszystkim, iż pragną jej śmierci, unosiła się żalem coraz bardziej, głucha na wszystkie przedstawienia, i nieutulona w swej boleści. Żłkanie jej stawało się coraz gwałtowniejszem, oddech jej coraz krótszym i cięższym, wreszcie osunęła się z fotelu blizka zemdlenia.

Przerażony niemocą małżonki, musiał jej stary Żymirski przyrzec, że o oddaniu Olesia do wojska więcej mowy nie będzie. Tak tedy zeszła z dziennego porządku sprawa ta, tak dla biednej staruszki bolesna. Z wdzięczności dla męża nie poruszała od tej pory pani Żymirska sprawy oddania Wilkowa w dzierżawę panu Bronisławowi, i spokój zapanował znowu chwilowo w starym dworze, ku wielkiemu zmartwieniu pani Aurelii, której plany pokrzyżował mimowoli Oles swoim wystąpieniem.

Kilka dni jeszcze wyczekiwali państwo Bronisławowstwo stosownej chwili do podjęcia przerwanej roboty. Nie mogąc jednak

nakłonić pani Żymirskiej, by na nowo podniosła sprawę dzierzawy, oświadczyli w końcu zamiar opuszczenia Wilkowa. Zatrzymała ich wszelakoż słabość małego Abi, który począł gđraćzkować z niewiadomego powodu, oraz troskliwość pani Żymirskiej, nie chcąccej żadną miarą wypuścić wnuczka, nie będąc zupełnie przekonaną o czerstwości jego zdrowia. Przymusowo tedy przedłużyli jeszcze pobyt swój w Wilkowie, żyjąc zwykłym trybem, i nie dając po sobie poznać niezadowolenia, w jakie ich wprawiało rozbicie się zamierzonego interesu.

Na jednym tylko Olesiu wetowali małżonkowie swoje nieukontentowanie. Pan Bronisław widział w nim zaporę, o którą się rozbiła cała dotychczasowa jego robota. Świadomość ta potęgowała niechęć jego, której bynajmniej nie taił, szydząc z brata, i dokuczając mu na każdym kroku. Pani Aurelia była z Olesiem ironiczną, dumną, wyzywającą, opryskliwą, mszcząc się w ten sposób nietylko za pokrzyżowanie zamiarów, ale i za wzgardę, o której przeczuwała, iż ją dla niejż żywić musi szwagierek.

Unikał też Oleś braterstwa, zamykając się w swem odosobnieniu. Bolała go oziębłość brata. Widok czułości, które mężowi okazywała bratowa drażnił go, i budził w nim wstręt

niepohamowany. Oburzała go hypokryzja tej kobiety, której poznał przewrotność, i która—Oleś nie rozumiał dla czego—chełpić się przed nim zdawała swą obłudą.

Pewnego wieczora po herbacie pozostał Oleś sam na sam z braterstwem w jadalnym pokoju. Pan Żymirski nie wrócił był jeszcze z miasteczka, gdzie za jakimś wyjechał interesem, a pani Żymirska wyszła była do wnuków. Olesiowi nie wypadało opuścić gości, został więc, i wzięwszy do rąk przyniesioną z poczty gazetę, zaczął ją przeglądać z zajęciem, aby myśl swą odwrócić od wstrętnego widoku pani Aureli, opartej sentymentalnie na ramieniu męża, i pieszczącej jego włosy.

— Co ty tam czytasz z takim zajęciem Olesiu? — zapytała go z wdzięcznym uśmiechem bratowa.

— Dzisiejszą gazetę — odparł sucho.

— Cóż tam tak ciekawego? — rzekł pan Bronisław.

— W istocie nie wiem... Dopiero zacząłem.. Jest tu jakiś proces... Sieroty pokrzywdzone przez opiekuna.

Pan Bronisław zachnął się niecierpliwie.

— Wolałbyś czytać „Żywoty Świętych,“ albo książkę do pacierza—mruknął opryskliwie.

— Gazety nie są dla dzieci.

— Co też ty mówisz Bronćciu? — zaśmiała

się pani Aurelia. — Gdzieżby taki filozof czytał „Żywoty Świętych“?... On tylko czyta Woltera i Russa!

— Wistocie nie wiem czemu pozwalają mu rodzice plądrować po bibliotece — rzekł pan Bronisław. — W głowie mu się przewróci... Od czasu jak tu jestem, nie widziałem, aby raz do nas przyszedł na pacierze.

— Rzeczywiście, czemu ty nigdy nie przyjdiesz się z nami pomodlić szwagierku? — spytała pani Aurelia.

Rumieniec oburzenia oblał twarz Olesia. Usta mu zadrgały nerwowo.

— Nienawidzę komedyi — rzekł mierząc ją pałającym spojrzeniem.

— Jakiej komedyi? — krzyknął, rumieniąc się pan Bronisław.

— Komedyi z rzeczami świętymi — odparł spokojnie Oleś, nie spuszczając oka z bratowej.

— I któż tu gra komedyę, ja, czy moja żona? Oleś milczał.

— No gadajże! — wrzasnął pan Bronisław, chwytając go za rękę, i potrząsając nią silnie.

— Uspokój się mój Bronciu — rzekła pani Bronisławowa blada jak chusta i drżąca gniewem. — Czyż warto się gniewać na dziwaka?... Kto wie co mu się przywidziało, i o co nas posądza... Trzeba go traktować jak chorego

spokojnie, tak się najlepiej dowiemy co myśli..
Wytłomaczy nam swe zapatrywania.

— Tak jest! wytłomacz się nam, czemu nie chcesz się z nami modlić, i dlaczego nas posądzasz o obłudę?

— Ja nikogo nie posądzam — odparł Oleś, który wróciwszy do równowagi, zrozumiał iż hamować musi swe oburzenie.

— Wszakżeś mówił dopiero, że niechcesz się z nami modlić, bo nie lubisz komedyi z rzeczami świętymi.

— Powiedziałem tak istotnie, bo uważam modlitwę za rzecz świętą, za podniesienie się ducha do Boga, którego sobie, a zwłaszcza już drugim nakazać nie można. Człowiek modli się wtedy, gdy do tego jest usposobionym. Ja nie mam usposobienia modlić się z wami, i dlatego nie pójdę, bo nie chcę robić komedyi z świętych rzeczy.

— Co on gada, co on gada! — zawołał niecierpliwie się pan Bronisław. — Więc ty nas potępiasz za to, że skłaniamy naszych domowników do modlitwy?

— Nie, ja nie potępiam nikogo.

— A wszakże przed chwilą mówiłeś, że do modlitwy nie należy zmuszać nikogo?... Wszakżeś dopiero co powiedział, że nie pójdziesz z nami się modlić, nie chcąc robić komedyi z rzeczy świętych.

Oleś milczał.

— Odpowiedz że—nastawał pan Bronisław—
Według twoich więc mądrych zapatrywań,
grają ci, co się z nami modlą, komedye, a my
nakłaniamy ich do tego?

— Nie przeczę, iż niepochwalam tego, bo
któż z was może zaręczyć, iż słudzy wasi chęt-
nie się z wami modlą?... Idą dla tego, że im
każecie, i że was słuchać muszą... W tym ra-
zie zmuszacie ich do obłudy, a modlitwa ich
jest komedya!

— To strach co on wygaduje! — zawołała
pani Aurelia, kiwając głową nabożnie.

— Czemuż ty tego mamie nie powiesz?...
Czemuż z mamą grasz komedye?... Czemuż
idziesz z nią do kościoła, gdy tego zażąda?—
Jeżeli takie masz przekonania, to powinienes
ich bronić zawsze... Ale ty, przy twem nie-
dowiarstwie, hypokrytą jesteś.... Składasz
się jak scyzoryk, aby się mamie pochlebić...
To podłość i tchórzostwo!

Oleś zapłonął się gniewem. Łzy mu stanęły
w oczach.

— Mama to co innego!... To matka!... Ro-
bię co każe, i nie spieram się z nią, bo nie chcę
jej zasmucić, ale...

— Ale?

— Ale gdyby mię spytała, to musiałbym jej
wyznać, że nie mam tej samej wiary, co ona.

— A więc w cóż ty wierzysz?—spytała pani Aurelia szyderczo.

— Ja?— odparł Oleś zapalając się, i wpatrując się w nią iskrzącymi oczyma. — Wierzę, iż modlitwa sama nie może zbawić człowieka, i świętokradzką jest tylko komedya, jeżeli serce jego nie jest czystem.

— Każdy człowiek grzeszny jest — odparła z udanym spokojem pani Aurelia — Najsprawiedliwszy grzeszy siedem razy co dnia, powiada Pismo... Ale od tego jest spowiedź, która nas obmywa z grzechu.

— Nawet i wtedy, gdy uczynimy bliźniemu krzywdę, której nie jesteśmy w stanie naprawić? — zawołał Oleś z goryczą.

— Nawet i wtedy! — odparła pani Bronisława z namaszczeniem. — Miłosierdzie Boskie jest bez granic.

— Ha! ha! ha!... Wie pani, że to rzecz wygodna, arcy wygodna! — Zachęcająca do pokuty, również jak i do grzechu... Bo i cóż szkodzi grzech, jeżeli się ma pewność przebaczenia?... O gdyby to prawdą było, gdyby to było prawdą, że tak łatwo można uspokoić sumienie!

— Więc ty nie wierzysz w skuteczność spowiedzi? — zapytał Bronisław.

— W tak pojętą nie wierzę... Jeżeli są winy, które nie mogą być naprawione, to nie

ma dla nich i rozgrzeszenia... Spowiedź i modlitwa świętokradztwem są tylko, jeżeli się do nich przystępuje, żywiąc w sercu zdradę przeciw bliźniemu.

Pan Bronisław spoglądał na brata przerażonemi oczyma. Słowa Olesia zdawały się wprost mierzyć w niego, i stosować się do jego zamiarów. Czyżby go odgadł i przeniknął ten chłopiec, pozornie tak naiwny i roztargniony?

— Ależ to heretyk, to oczywisty heretyk! — zawołał zwracając się do żony.

— Heretyk! — potwierdziła pani Bronisławowa, kiwając pobożnie głową.

— Kto heretyk? — zapytała wchodząc pani Żymirska.

— Cicho! — rzekła pani Aurelia półgłosem, a jednak tak, ażeby ją usłyszała staruszka.

— A no, Oleś! — odparł pan Bronisław, zrozumiawszy grę swojej żony.

— Cicho! — rzekła jeszcze raz pani Bronisławowa. — Po co mamie robić tak wielkie zmartwienie?

— Jakto Oleś heretyk? — zapytała staruszka. — Co też wy mówicie?

— E, to nie mam! — odparła pani Aurelia. — Rozmawialiśmy o religii... i Oleś wyraził zdanie... nie licujące z naszymi zapatrywaniami.

— Cóż to było takiego?

Małżonkowie milczeli.

— Cóż to było takiego? — powtórzyła pani Żymirska raz jeszcze.

— Niech Oles sam powie! — rzekła pani Aurelia.

— Co tu obwijać w bawełnę?—zawołał pan Bronisław, rad wielce iż mu się zdarzyła sposobność potępić brata.... — Trzeba przecież żeby mama wiedziała, czego się Oles w szkołach uczy... Wszakże ważniejszą rzeczą niżli nauka dzieci, jest ich zbawienie, i na tem głównie rodzicom zależy powinno!

— No mówcie już raz! — rzekła zaniepokojona staruszka.

— Otóż Oles, gdyśmy go namawiali, aby z nami się modlił, odmówił nam tego, twierdząc, że nie lubi komedyi. Czy tak powiedział Olesiu?

Chłopiec milczał.

— Następnie, gdy się zgadało o spowiedzi, oświadczył nam, że nie wierzy w jej skuteczność.

— Ależ to niepodobna!— zawołała staruszka.—Tyś to powiedział Olesiu, ty mój syn?... Odpowiedzże mi; zaprzecz temu!.. Olesiu, dziecko moje!

— Tak jest, mamó! — odparł chłopiec ze łzami w oczach.—Powiedziałem, że wierzyć nie mogę, by rozgrzeszenie dane przy spowie-

dzi obmywało nas z win wszelkich, bo się temu, zdaniem mojem, sprzeciwił zdrowy rozsądek.

— Co on mówi? co on mówi?— wołała pani Żymirska, patrząc na niego osłupiałemi oczyma, i chwytając rękami powietrze.

— Powiedział, że wiara jego inną jest od naszej,—wtrąciła pani Aurelia.

— Mówił, że spowiedź zachęca do grzechu,—dodał pan Bronisław.

Staruszka osunęła się na fotel, głośnem wybuchając szlochaniem.

— Jakto, tyś to powiedział, ty, ty?—wołała złamanym głosem.—Ty wątpisz o miłosierdziu Boga!... Ty nie wierzysz w łaskę Jego, i w odkupienie win naszych przez pokutę,—przez Ciało i Krew Pańską?... Ty bluźnisz? ty mój syn!.. O Boże, Boże jakżem ja nieszczęśliwa!

— Niechże się mama uspokoi!... Niechże mama nie rozpacza!—pocieszała pani Aurelia.—A powiedziałam ci Bronćciu, byś tego mamie nie mówił!.. Olesiu, chodź tu!.. Przepróś mamę... Odwołaj to coś powiedział!

Oleś stał jak gdyby skamieniały. Łzy tylko rzęsiście staczały mu się po twarzy.

— *C'est terrible comme il est endurci!*—rzekła półgłosem pani Bronisławowa.

— O, ja nieszczęśliwa, ja nieszczęśliwa!—

rozpaczała pani Żymirska.—Tegożem się do czekała zmartwienia!... A niedawno temu jeszcze widziałam w nim pociechę mej starości!... Nie chciałam go puścić od siebie!... A teraz, teraz wołałabym go widzieć umarłym, niż bluźniercą!... O ja nieszczęśliwa, ja nieszczęśliwa!

— Niechże mama tak nie rozpacza!—pocieszała znowu pani Aurelia.—Jeszcze się mama rozchoruje... Trzeba to przyjąć z rezygnacją, jak dopuszczenie Boże... Trzeba się modlić gorąco, to Bóg to wszystko odmieni.. Jestem przekonana, że Oleś się jeszcze nawróci... To nie sposób, żeby dziecko takiej matki było niedowiarkiem.

— Tak niezawodnie! — wmieszał się pan Bronisław. — Ale trzeba go usunąć z pod złych wpływów w tych szkołach, gdzie im głowy przewracają... Trzeba mu nie pozwolić czytać książek gorszących... Czy to słyszana rzecz, żeby takiemu malcowi wolno było plądrować po bibliotece?

— Moja wina, moja bardzo wielka wina!—jęczała staruszka bijąc się w piersi.

— Nie, mamo, mama temu niewinna!—rzekła pani Bronisławowa.—Zachęcała go mama do modlitwy, do postu, przyświecała mu mama swym przykładem...

— Modlił się ze mną zawsze!... Jeździł do

kościół, ile razy go wezwałam!.. Nie objawiał mi nigdy swego niedowiarstwa!

— Powiedział nam, że robił wszystko co mama każe, aby się mamie przypodobać,— wtrącił pan Bronisław.

— Nie mam! Robiłem co mi mama kazała, aby cię nie zasmucać, bo cię Kocham mamó, Kocham nad życie!—zawołał Oles, łkając i rzucając się do nóg matki.

— Precz wyrodny, precz z moich oczu!.. Nie możesz mnie kochać, jeżeli nie Kochasz Boga, jeżeli nie masz wiary w jego łaskę, i miłosierdzie!.. Ja ciebie nie Kocham także, i nie chcę cię widzieć więcej.. Pójdiesz w świat, pójdiesz do wojska, jak sobie tego życzy ojciec twój.. Nie chcę patrzeć na ciebie!.. Wolę cię widzieć umarłym, niż pogrążonym w niedowiarstwie!

ROZDZIAŁ VI.

Jako stary Żymirski przejrzał intrygi synowstwa, i jako powieść niniejsza słusznie „Wilczem plemieniem“ została nazwana.

Zrozpaczony wpadł Oleś do swej izdebki, przeklinając popędliwość, której się dał unieść w rozmowie z braterstwem, a której skutki naraziły go na gniew matki. Nie mógł sobie darować niewczesnego wybuchu, i tłukł głowę o mur, i płakał, szukając napróżno sposobu wydobycia się z zakłętego koła, w którego wir rzuciła go niepohamowana gwałtowność.

Plądrując bez nadzoru ojcowską bibliotekę, w dzieła filozofów zeszłego wieku obfiatą, stracił był od dawna wiarę w to, co nazywał formą, i zabobonem. Przejąwszy się zapatrywaniami tych myślicieli, których zwykle swymi nazywał mistrzami, wyznawał tylko zasady ogólnej moralności, krytykując wszystko, co wedle

ego zdania, sprzeciwiało się zdrowemu rozsądkowi. Z Platona, którego czytał w przekładzie francuskim, zaczerpnął gorący kult piękna i dobra, — ten zaś, wspólnie z jakimś bliżej nieokreślonym poetycznym panteizmem, stanowił główną podwalinę jego domorskiej filozofii. Wszystko to było dziwnie wiotkie, nieuchwytnie, nieprzetrawione, i w systemat nie ujęte, jak to zwykle bywa u młodych, a zwłaszcza już u samouków, gdy szukając prawdy bez opieki i przewodnika, opuszczają przystań wierzenia, wszczepionego im w dziecięcym wieku, i puszcza się na wzburzone morze wątpliwości.

Dla żeglującego po tej niestałej, wiecznie ruchliwej fali, jedyną niewzruszoną oczywistością, jedyną nigdy nie mierzchnącą gwiazdą polarną, była gorąca miłość dla rodziców, a zwłaszcza dla matki, którą kochał idealną prawdziwie miłością. Głębokie to synowskie przywiązanie zastępowało mu mądrość życia, — jakkolwiek bowiem z całą gwałtownością młodego wieku kochał to, w co wierzył, a odrzucał to, co nie licowało z jego przekonaniem, to jednakże nie wyjawiał nigdy przed matką swych myśli, unikając wszelkiej z nią w tej mierze rozmowy. Owszem nawet, umiał się młody sceptyk hamować tak dalece, iż spełniał wszystkie religijne praktyki, ile-

kroć tego od niego zażądała matka, aby jej niewiarą swą i oporem nie zasmucić.

Obluda ta ciążyła nieraz młodemu filozofowi, — wszelakoż poczytywał ją za swój obowiązek. Byłby chętnie dawno już matce otworzył serce swoje, ale wiedział, iżby mu to nie przyniosło ulgi, a tylko napoiło goryczą matkę, która pomimo całej łagodności, posuwała religijną żarliwość swoją aż do gwałtowności. Pani Żymirska nie znosiła w rzeczach wiary żadnej krytyki. Oleś wiedział to, przekonawszy się o tem niejednokrotnie, słuchając rozmów jakie przed laty toczyć była zwykła z swym zięciem, wielkim wedle jej zdania niedowiarkiem.

Zamykał się więc mały sceptyk w sobie, tając przed matką wszystkie swe wątpliwości. I udawało mu się to dotychczas wybornie. Trzebaż było nieszczęścia, aby dając folgę swej niechęci, rozerwał tę zasłonę! Trzebaż było nierozwagi, aby w jednej chwili zepsuć to, co przez tak długi czas umiał zachować! Trzebaż było zaślepienia, aby dla dogodzenia chwilowemu rozdrażnieniu, poświęcić spokój i szczęście matki! Lecz z drugiej strony, czyż mógł obojętnie patrzeć na obludę bratowej? Czyż mógł nie zawrzeć oburzeniem widząc tę, która zbrudziła jego duszę, która zatrula jego serce, strojącą się w blaski świętości i cnoty, i

chcącą mu przewodniczyć w drodze do zbawienia?

— Nieszczęście, nieszczęście!... Przekleństwo zbrodni!... Zasłużona kara winy! — wołał Oleś załamując dłonie.

I nie było przed nim żadnej drogi wyjścia, żadnej kotwicy ratunku! Mógłby był, starając się przebłagać matkę, wyznać jej co go skłoniło do objawienia zdań, które wypowiedział, lecz wtedy musiałby jej odkryć swą tajemnicę, — tajemnicę, która nie była wyłącznie jego tajemnicą. A potem, czyżby w ten sposób nie zranił jej serca gorzej jeszcze, wyjawiając, że nie tylko niedowiarkiem jest, lecz i zbrodniarzem? Zresztą to, o co go obwiniano było istotnie jego zdaniem, czyż mógł temu zaprzeczyć? Ukrywał dotychczas przed matką pilnie swe myśli; — obecnie jednak, gdy zdartą została zasłona z jego duszy, czyż mógł kłamać matce wiare, której nie miał? Teraz nie zadowolili by się już jego wymijającymi odpowiedziami, badałaby go pilniej, a wtedy musiałby jej prawdę odsłonić. Oleś zrozumiał, że przyjąć musi wszystkie następstwa niewczesnego swego wybuchu, nie starając się wcale uniewinnić z czynionych mu zarzutów. Pojął, iż honor, i rozum nakazują mu, trwać dalej w narzuconej mu roli bezbożnika i bluźniercy.

Z usposobienia pani Żymirskiej nieomieszkałi skorzystać państwo Bronisławowstwo, przykładając wszelkiego starania, aby zagniewaną staruszkę jaknajbardziej zniechęcić do Olesia. Dziwactwa rozmarzonego chłopca wyrosły w oświeceniu niechętniej ich krytyki do rozmiaru jakichś niebezpiecznych umysłowych zbroczeń, które usiłowano przedstawić jako karę Bożą, jeżeli nie jako wpływ piekielnego ducha. Przekręcając zwierzenia, które jej Oleś niegdyś uczynił, przedstawiała go pani Aurelia jako chorobliwego rozpustnika, nagabywanego lubieżnemi jakimiś przywidzeniami.

Wszystkiemu, zdaniem braterstwa, winny były książki, które tępiąc w nim wiarę, pobudzały go równocześnie do złego, drażniły jego wyobraźnię, i zapalały jego zmysły. Należało go koniecznie wyrwać z pod ich wpływu, należało go ściągnąć z obłoków na ziemię, należało mu stworzyć tryb życia, któryby wytrzeźwił go z mrzonek, i wykształcił na ruchliwego, trzeźwego i praktycznego człowieka. Służąc w wojsku znalazłby Oleś właśnie owe warunki, które mu do pomyślnego umysłowego, i cielesnego rozwoju, zdaniem państwa Bronisławowstwa niezbędnie były potrzebne!

Tym razem nie protestowała już pani Ży-

mirska przeciw tym zamiarom. Rozumowanie syna i synowej wydawało jej się istotnie słusznem, tem bardziej ile, że Oleś ponownie przez nią badany, zatwardziałym się okazał w swem niedowiarstwie, i otwarcie się przyznał do słuszności wszystkich z tego powodu czynionych mu zarzutów. Los więc biednego chłopca został rozstrzygniętym. Opatrzonogo w stosowną wyprawę, odwiózł stary Żymirski w miesiąc po tych zajściach do Lwowa, gdzie go po przebyciu stosownego egzaminu, do konsystującego w Węgrzech ułańskiego zaciągnięto pułku.

Był to jedyny wynik „dyplomatycznej akcji“ pani Aurelii. Wynik ten nieodpowiadał ani nadziejom, ani też niecierpliwości państwa Bronisławowstwa, wszelakoż nakazywała roztropność, poprzestać chwilowo na tem, aby nie zrazić pani Żymirskiej, rozdrażnionej wyjazdem Olesia, a szczególnie starego Żymirskiego, który coraz większą dla syna i synowej okazywał nieufność. Niemniej wskazaną była tym razem cierpliwość i dlatego, iż stary Żymirski zdołał wybrnąć chwilowo z kłopotów, skuteczniejszy większą sprzedać lasu, dzięki której mógł nie tylko pokryć wszystkie straty, skutkiem gradobicia doznane, ale nawet i dawniejsze, a bardziej krzyżujące spłacić długi.

Równocześnie prawie zgłosił się dzierżawca, ofiarujący znaczną kaucyę, oraz czynsz, względnie wysoki. Był to interes wielce korzystny. Zachowując wszystkie dochody z lasu, a zastrzegając sobie używalność domu, oficyn, stajni, masztarki, wozowni, inspektów, sadu i ogrodu, tudzież odpowiednią ilość zboża, siana i słomy na zaspokojenie potrzeb domowych, oraz utrzymanie sześciu krów, i czterech koni, mogli państwo Żymirscy uzyskać z Wilkowa trzy tysiące pięćset guldenów. Zważywszy, że dzierżawca brał na siebie podatki i wszystkie ciężary, a pozostawiał właścicielom dochód z lasu, który w tem gospodarstwie dość znaczną rubrykę stanowił, była to intrata, jakiej przy pracy, stary Żymirski w najlepszych nawet latach, nie umiał wyciągnąć z tego majątku. To też nalegała pani Żymirska wszelkimi siłami na zawarcie tego interesu, czemu się jednakże opierał mąż jej, licząc zawsze na jakiś niespodziewany uśmiech fortuny, dzięki któremu stwierdzić będzie mógł dzielność swą, i gospodarskie zdolności.

Tak stały rzeczy we dwa miesiące po wyjeździe państwa Bronisławowstwa z Wilkowa, a w miesiąc po wstąpieniu Olesia do wojskowej służby, gdy w tem zaniemógł stary Żymirski. Kłopoty i zmartwienia, które prze-

był skutkiem niedawnych niepowodzeń, rozhartowały były niespożyte zdrowie staruszka. Czas jakiś trzymał się jeszcze na nogach, nie chcąc się poddać słabości. W końcu jednak musiał się położyć do łóżka, i zawezwąć lekarza.—Nie była to jednak niemoc przemijająca, ale choroba śmiertelna, z której się nie powstaje. Żelazna natura starego żołnierza utrudniała tylko śmierci zwycięstwo, nie mogąc jednak już wydrzeć szponom jej ofiary.

Zrozpaczona postanowiła pani Żymirska zawieźć męża do Lwowa, i szukać dlań ratunku u tamecznych lekarzy. Na szczęście zgłosił się znowu dzierżawca w chwili powzięcia tej decyzji raz jeszcze. Dobito więc targu, i pozbywszy się w ten sposób pieniężnych kłopotów, a znaczniejsze uzyskawszy fundusze, wyjechali państwo Żymirscy na dłuższy pobyt do Lwowa.

Słabość męża, któremu lwowscy lekarze nie rokowali powrotu do zdrowia, zatruwała boleścią serce pani Żymirskiej. Biedna staruszka nie pocieszyła się była jeszcze w strapieniu, w jakim ją pograżyły zajścia, które spowodowały wyjazd Olesia. W nadziejach swych zawiedziona, zaniepokojona w swem bezpieczeństwie, w religijnych swych uczuciach draśnięta, potępiała małego ateusza z całą surowością żarliwej katoliczki, uważając jego

wydalenie z rodzicielskiego domu jako zasłużoną karę jego grzesznej niewiary, i jako środek niezbędny, dla ocalenia jego duszy, zbłąkanej na manowce wątpienia.

Zaniepokoiła ją zuchwałość Olesia, nieuznającego innej powagi nad powagę ludzkiego rozumu, tak wedle zdania jej niedołęznego i chwiejnego, jeżeli go nie oświeci wiara, jeżeli go nie podeprze pokora. Przeraziła ją myśl, podsunięta jej przez synowę, że raz na manowce wstąpiwszy, nie powróci już młody niedowiarak na drogę zbawienia, lecz owszem w miarę postępu w naukach, zatwardzać się będzie w swem zaślepieniu, jeżeli go wczas nie usunie z pod wpływu kuszącego go ducha przeczenia, i niewiary. Postanowiła więc pójść za radą Pisma Świętego, które uczy: „jeżeli cię oko gorszy, to wyrwij sobie oko, a jeżeli ręka, to utnij rękę.“ Zrobiła co wedle jej pojęcia nakazywało Pismo, ale serce macierzyńskie zakrwawiło ono cięcie, którem najmłodszą latorośl swoją odłączyła od pnia wspólnego w rodzinie pożycia. Bolała biedaczka nad losami tego dziecięcia, wypchniętego z domowych progów w świat daleki, zmuszonego żyć twardem żołnierskiem życiem, pełnem niewygody i niebezpieczeństw,—kto wie? usychającego może z tęsknoty za krajem, za domem, za nią, w dalekiej obcej ziemi.

Było atoli w gwiazdach napisane, że biedna staruszka spełni aż do dna kielich goryczy, że serce jej zakrwawi boleść nowa, a niemniej dotkliwa, i że cios ten spadnie na nią znowu z rąk bliskich jej sercu. Mieli państwo Żymirscy córkę zamężną, mieszkającą w Wiedniu przy mężu, piastującym dość wysokie w hierarchii urzędniczej stanowisko. Był to człowiek pełen zdolności wiedzy i światowej ogłady, lecz przytem samolubny, i z gruntu zepsuty, a chełpiący się swoim zepsuciem. Powodując się jedynie popędami swej niezbyt subtelnej natury, a nie uznając żadnych obowiązków, pojmował pan Warecki—tak się nazywał zięć państwa Żymirskich — życie jako karnawałową stypę, której program układa swawola, której jedynym celem jest uciecha, a jedynym prawem zadowolenie zachcianek.

Poznawszy pannę Helenę Żymirską w Krynicy, umiał pan Warecki odrazu podbić jej serduszko, a że majątek jego, imię, wysokie urzędowe stanowisko, ogłada, wiek i zewnętrzne przymioty, dostateczną rodzicom przedstawiały rękojmię, więc też nie wahali się państwo Żymirscy oddać mu po krótkich konkurach ręki swojego dziecięcia. Czas jakiś żyli państwo Wareccy zgodnie i szczęśliwie. Młoda wieśniaczkę zachwycało życie w stoli-

cy, pełne nieznanym jej jeszcze uciech i rozkoszy. Ze swej strony zmienić był pan Warecki burzliwy tryb życia, jaki dotychczas prowadził. Dla przesyconego hulanką epikurejczyka, nowością był ten spokój błogi, którym oddychał przy boku młodej żony, ta uroczą sielanką, którą go obdarzyła, i w której mógł wypocząć bezpiecznie, po gorączkowych szalach karnawałowego życia, jakie dotąd prowadził, szukając na próżno rozkoszy, a znajdując jeno próżnię, czerstwość i obrzydzenie. Bawiła go jej naiwność, zachwycała świeżość umysłu i dziecięca prostota. Prowadził ją do teatru, na koncerta, pokazywał jej osobliwości miasta i jego okolic, lubując się jej zachwykami. Zdawało się że odżył na nowo, że odczuwa wszystkie wrażenia, które dlań już straciły były urok wszelki, i że mu wypiękniał świat cały, odkąd nań przez jej oczy pogląda.

To też trwały miodowe miesiące ich dłużej, aniżeli trwają zazwyczaj. Mimo to minęły także, i pomimo wdzięku swego znudziła go ta uroczą sielanką. — i to szczęście, o którym był pewien, że mu go nikt nie wydrze. Nie wygodnie mu niejako było z tem bezpieczeństwem, którym go darzyła wierność żony. Wydawała mu się mniej godną pożądaną, dlatego że pewnym był jej miłości. Zapra-

gnął wrażeń silniejszych, zapragnął dramatu. Zdawało mu się, że szczęście jego mniej jest doskonałym, dlatego, że o nie walczyć nie musi, dlatego że niema rywala.

Starał się więc w niej rozbudzić kokieterę, starał się ściągnąć ją z wyżyn, na których stała, starał się zbrudzić jej duszy białość, ale daremnie! Z natury pobożna, a w zasadach moralności wychowana, nie uległa pani Helena pokusie. Wtedy sądząc, iż zazdrością ją z równowagi wyprowadzi, rzucił się pan Warecki w wir rozpusty, nie tając wybryków swych przed żoną, i raniąc ją w najdrażliwszych uczuciach.

Zrozpaczona doniosła biedaczka o swem nieszczęściu matce, wyglądając od niej ratunku, ta jednakże nie miała lekarstwa dla jej bólu. Pisała wprawdzie do zięcia, upominając go, i strofując jego postępowanie,—gdy jednakże odezwa ta żadnego nie odniosła skutku, nie miała dla nieszczęśliwej rady innej, jak tylko tę, by cierpliwie i mężnie dalej kroczyła ku swej moralnej Golgocie, jedyną pokładając nadzieję w łasce Bożej, i w własnej wytrwałości.

Czas jakiś szamotała się pani Helena ze swym losem, stosując się do rad matki; wreszcie nie mogąc wytrzymać boleści, a widząc bezskuteczność zaleconego jej lekarstwa, po-

rzuciła męża z zamiarem niepowrócenia więcej do jego domu, i zamieszkała u krewnych pod Krakowem, którzy ulitowawszy się nad nieszczęśliwą, przygarnęli ją do siebie, dając jej pomoc, potrzebną do rozpoczęcia procesu separacyjnego, i rozwodu.

Był to cios wielce bolesny dla pani Żymirskiej, pojmującej małżeństwo jako sakrament, którego węzły w obliczu i pod orędownictwem Boga zawarte, rozerwać może jeno śmierć, a nie przypuszczającej żadnego omdlenia, żadnej słabości, żadnego zniechęcenia, wobec raz złożonej przysięgi i przyjętych przez nią obowiązków. Surowa dla siebie samej, wymagała od ludzi anielstwa i niemożliwego heroizmu. Nie mogła się oswoić z myślą, że dziecię jej, z natury tak pobożne, dobre i cnotliwe, odtrącać od siebie może ów kiełich goryczy, którym go Bóg doświadcza. Postanowienie córki wydawało jej się czemś potwornem, czego pomimo całej swej miłości pojąć nie mogła. Zdawało jej się, że pani Helena cofając się przed męczeństwem, łamie nie tylko poślubioną mężowi wiarę, i wykracza nie tylko przeciw prawom religii i moralności, ale nawet i przeciwko czci. Zrozpaczona i złamana, składała staruszka boleść swoją u stóp krzyża, przyjmując ją jako dopust Boży, jako zasłużoną karę za mniemane grzechy,

oddając się z całą egzaltacją swej natury pobożnym ćwiczeniom, umartwiając się postami, i spędzając cały swój czas na modlitwie w kościele, o ile na to pozwalała pieczołowitość dla chorego męża.

Cierpienia te i ciągle podniecana religijna egzaltacja, przeistoczyły były niemal zupełnie jej charakter, niegdyś tak łagodny i połączliwy. Serce jej usychało w tych żarach, i zdawało się zamykać dla Olesia i dla pani Heleny, którzy wedle jej zdania, postępowaniem swoim obrażali Boga. -- Natomiast zwracało się jej uczucie coraz silniej ku państwu Bronisławowstwu, żyjącym po Bożemu, i wychowującym dziatki swe w wierze, i zacności. Korzystał więc z tego usposobienia pan Bronisław i jego żona, odwiedzając często rodziców we Lwowie, zaopatrując kuchnię ich w zwierzynę i rozmaite wiejskie spożywcze produkta, popisując się przed nimi postęпами dzieci, i starając się w ogóle przypodobać starszkom pochlebstwy, i niebywałą dotąd troskliwością.

Mieli też państwo Bronisławowstwo wyborne pod boki rodziców agenta w osobie hrabiny Porajowej, która odnowiwszy dawną z panią Żymirską zażyłość, odwiedzała ją niemal co dnia, pod pozorem pocieszenia swej przyjaciółki. Wistocie rzeczy nie cho-

dziło jej o to bynajmniej, lecz tylko o badanie usposobienia strapionej, o podsycenie żalu jej i niechęci ku Olesiovi i pani Helenie, oraz o stanowcze zwrócenie jej uczuć ku państwu Bronisławowstwu i ich dzieciom. Przyjaźń wrzekoma hrabiny dla pani Żymirskiej, tudzież powszechnie uznana jej religijna żarliwość i doskonałość, ułatwiały jej grę ona w wysokim stopniu. Korząc się przed powagą świętobliwej swej przyjaciółki, wynurzała przed nią biedna staruszka wszystkie swe bóle, i zasięgała rad jej, oddając jej całe swe zaufanie. Nieomieszkała też hrabina narzucić swej przyjaciółce kierownika sumienia, w osobie znajomego nam księdza Koromesło, który niebawem codziennym stał się gościem swej znękaney spowiednicy.

Wszystkie te konszachty drażniły i w wysokim stopniu niepokoiły starego Żymirskiego, należącego jeszcze do pokolenia, które się nie odznaczało szczególniejszą dla sutan i dewotek życzliwością. Stary żołnierz nie był nigdy wielce pobożnym, — wypełniał atoli, będąc zdrowym wszystkie religijne praktyki, aby nie gorszyć dzieci i domowników złym przykładem, oraz aby nie zasmucić pobożnej małżonki. Obecnie jednak sprzykrzył mu się był przymus, który sobie niegdyś nakładał, a od

którego, jak sądził, uwalniały go nieobecność dzieci, i choroba.

Gniewały go też niezmiernie ciągłe wizyty księdza i hrabiny, której nie lubił instynktowo. Nieustające narady, odbywające się pomiędzy nimi i jego żoną, a do których wciągano także panią Aurelię i pana Bronisława, ilekroć przyjeżdżali do Lwowa, przerażały go swoją tajemniczością. Domyślał się, że tam mowa musi być o nim, i że przedmiotem zajmującym obradujących nie może być nic innego, jak tylko zbawienie jego duszy. Świadomość ta uprzytomniała mu niebezpieczeństwo, w jakim się znajdował, a myśl, że koniec jego musi już być bliskim, napełniała go smutkiem i niechęcią dla tych, których uważał jako złowrogich puszczyków, zwiastujących mu bliskość śmierci. Rozdrażniony, zatwardzał się też stary żołnierz w swem postanowieniu odtrącenia religijnej pociechy, zbywając żonę upartem milczeniem, ilekroć, kołując zdaleka i z wszelką oględnością, starała mu się myśl tę nasunąć.

Cierpiała też pani Żymirska z tego powodu srogie męki, niepokojąc się uporem męża i truchlejąc o jego zbawienie. Z jednej strony poczytywała nakłonienie go do pojednania się z Bogiem za swój małżeński i chrześcijański obowiązek, z drugiej wzdrygała się ludzkość

jej i łagodność na myśl samą stanowczej rozmowy z chorym, któremu lekarze zalecali spokój i pilne unikanie silniejszych wzruszeń. Jakkolwiek więc ksiądz i hrabina parli ją ku temu nieustannie, nie mogła się długi czas odważyć na krok ten, obawiając się zatruć niepokojem ostatnie chwile człowieka, z którym przeżyła lat tyle, a którego spokój i szczęście były jej szczęściem i spokojem. Wreszcie, ulegając natarczywości doradców, i gdy zdrowie chorego pogorszyło się bardziej jeszcze, tak iż nie pozwalało już wątpić o bliskiej jego śmierci, postanowiła przewyciężyć to, co hrabina nazywała słabością, i stanowczo nalegać na męża, by się spowiadał.

— Czego tak kołujesz?—zawołał staruszek zniecierpliwiony jej zakłopotaniem. — Mów otwarcie!... Chcesz bym się spowiadał, nieprawdaż?

— Tak,—odparła, tłumiąc dławiące ją łzy pani Żymirska.

— To znaczy, żeście mnie już na śmierć skazali!—rzekł głuchym głosem chory.

— Życie i zdrowie nasze jest w ręku Boga!... Kto wie, możeby ci się polepszyło po spowiedzi?... Zdarzało się to już często... A zresztą, wszak będąc zdrowym, nie uchylałeś się nigdy od obowiązków chrześcianina...

Dlaczego byś się miał uchylać od nich teraz?

— Dawniej byłem zdrow, a teraz jestem chory, bardzo chory!... Potrzebuję nie wzruszeń, lecz spokoju!...

— Tembardziej, mój drogi!... To cię uspokoi, to cię pocieszy; to ci doda sił i otuchy!... Pewność, że cię sakrament obmył z win wszelkich...

— Jakież ja mam winy?—przerwał żywo chory.—Czyż wykroczyłem kiedy przeciw prawom obowiązującym sprawiedliwego człowieka?... Czyż na mnie ciężą czyja krzywda, czyjes łzy?... czyjes przekleństwo?... Mogę umierać spokojnie!... Nie robi mi wyrzutów sumienia!

— Ale ta pewność, którą nam daje religijna pociecha, tej bez spowiedzi i rozgrzeszenia mieć nie możesz,—wołała łkając staruszka.—Tę nam daje tylko Bóg przez usta swych kapłanów... Bez niej, jakąż mamy rękojmię, że nas nie zaślepią pycha?... Ach, mój drogi, mój drogi! Nie rób mi tego, nie zasmucaj mnie!... Nie wyrzekaj się tej pewności dla siebie,... dla tych, którzy cię kochają,... dla mnie, twej dozgonnej przyjaciółki!

Starzec patrzył przed siebie chmurnem okiem. Piers jego falowała wzruszeniem.

— I ty mi to mówisz z własnego natchnienia?—spytał po dłuższem milczeniu.

— Z własnego... Z miłości mej ku Bogu, z miłości ku tobie, z najgłębszego przekonania!

— Niel—odparł, zapalając się chory,—to nie ty!.. Byłaś mi zawsze dobrą, posłuszną, i łagodną żoną.. Byłaś mi serdeczną przyjaciółką... Staralaś mi się zawsze osłodzić życie... Tybyś mi nie zatrutowała spokoju ostatnich chwil!... Tybyś nie przyszła trwożą mrozić mej konającej duszy!... Nie, to nie ty, to oni!... To oni, ja wiem, to oni!... Przyszli, już są, i namówili cię, abys mnie trapiła trwożą i zgryzotą...

— Jasiu, Jasiu, Jasiu, Jasiu! — wołała, łkając i załamując dłonie pani Żymirska.

— Zrobiłbym i to dla ciebie!—ciągnął dalej starzec, unosząc się coraz większem rozdrażnieniem.—Dla ciebie, dla nich nigdy!...

— Jasiu!...

— Nie przerywaj mi!... Ja wiem, to oni cię podmówili!... Czyż myślisz, że nie widzę co się dzieje?... Czy sądzisz, że nad tem nie boleję?... Milczałem do tej chwili, ale wiem wszystko!... Patrz co z ciebie zrobili!... Zatruli ci serce, zamrozili duszę... Byłaś mi zawsze serdeczną przyjaciółką, łagodną i pełną względów żoną, a teraz przychodzisz do mego

śmiertelnego łoża, niosąc mi zamiast pewności i pociechy, wątpliwość i przerażenie!... Byłaś kochającą i sprawiedliwą matką, a teraz odtrącasz od siebie dwoje nieszczęśliwych dzieci, z których krzywdą oddajesz swą miłość trzeciemu—temu Bronisławowi, który chciał z mienia wyzuć ojca, i który pragnie ograbić rodzeństwo!

— Jasiu!—Ikała pani Żymirska, złamana pod ciężarem tych zarzutów.

— Ja wiem!... Ja wiem, co oni ci mówią, i jak ci tłómaczą niesprawiedliwość, do której cię nakłaniają... Bo nie myśl, żeby tu chodziło o moralne względy... Ty zbyt dobrą, zbyt uczciwą, zbyt szlachetną jesteś, by to zrozumieć, ale ja w chwili śmierci widzę jasno!.. Wiem ja, dlaczego nam tak pochlebiają Bronisławowstwo... Pojmuję, dlaczego tu tak często bywa Porajowa... Rozumiem, dlaczego ci dała spowiednika ze swojej ręki... Wiem ja wiem!... Wszystko to zmierza do jednego celu... Wszyscy to wilcy w baraniej skórzel!..

Oslabiony tym wysiłkiem zamilkł starzec. Pierś jego dyszała, oko dziwnym płonęło ogniem; policzki oblewał mu gorączkowy rumieniec. Zrozpaczoną jego uporem, a wyrzutami przygnębioną, poglądała na niego pani

Żymirska z boleścią i przerażeniem. Łzy rzesiste spływały jej po twarzy.

— Słuchaj — rzekł po chwili słabym głosem starzec, podnosząc się z pościeli i wyciągając ku niej rękę.—Słuchaj!... Nie od dziś ja na to patrzę... Przejrzałem całą intrygę... Bronisławowstwo odsunęli Olesia... Teraz cię zniechęcają ku Helenie... Dybią na Wilków... Chcą go zagarnąć!... Ja wiem to wilcze plemień!... To nieszczęście naszych dzieci!... Ja wiem!... Opierałem się temu zawsze... Dawniej może z samolubstwa... Teraz nie mi już nie potrzeba... Teraz dla dobra dzieci... Dla twego własnego spokoju... Proszę cię, zaklinam... Nie wpuszczaj ich do owczarni!

Mówiąc te słowa, osunął się starzec na poduszki. Twarz jego oblała się śmiertelną bladością, na czoło mu wystąpił pot kroplisty. Zakrywszy oczy rękami szlochała pani Żymirska. Pokój zaległo milczenie. Słyszać tylko było łkanie staruszki, ciężki oddech chorego, i jednostajny tykot wiszącego na ścianie zegara.

Nagle rzucił się starzec, jak gdyby budząc się z uspienia.

— Anielciu!... Powietrza!... Nie mogę mówić... Och!... Ciemno!... Zimno!... Zaklinam cię!... Powietrza!... Och!... Anielciu!... Bądź zdrowa!... Umieram!

— Ratunku, ratunku! — zawołała staruszka usuwając się na fotel złamana.

Roztworzyły się drzwi, i wpadli do pokoju pan Bronisław, pani Aurelia i lekarz, który w czasie tej rozmowy przyszedł był odwiedzić chorego, a którego zatrzymano w saloniku, gdzie oprócz dopiero co wymienionych, znajdowali się jeszcze hrabina, i ksiądz Koromesło, oczekując sprawozdania o zabiegach pani Żymirskiej. Niestety nie zdołała pomoc lekarska przywrócić choremu przytomności, ani też zatrzymać uciekającego życia. Przywołany przez panią Aurelię ksiądz Koromesło, udzielił konającemu absolucyę *in articulo mortis*, i tejże samej nocy jeszcze zgasł stary Żymirski, zasnawszy snem nieprzespanym — cicho, spokojnie, jak dziecko, kiedy usypia na łonie matki.

ROZDZIAŁ VII.

Jako się pokazało, że Izaak, Jefte, Dawid i Salomon wyraźnie tego żądali, aby Wilków z pokrzywdzeniem reszty rodzeństwa, sprzedanym został panu Bronisławowi.

W tydzień po śmierci męża, udała się pani Żymirska do Wilkowa, dla załatwienia jakiejś sprawy niecierpiącej zwłoki, a wymagającej koniecznie jej obecności. Ciepłe gniazdko to, gdzie spędziła tyle lat szczęśliwych, wydało jej się okropną pustką obecnie, gdy go już nie ożywiał ruchliwością swoją stary Żymirski, — gdy go nie napełniały już gwarem swym dzieci jej po szerokim rozpruszone świecie. Każdy przedmiot przypominał jej ukochanych nieobecnych, — każda chwila straconego na wieki. Ze wszystkich kątów zdawały się na nią patrzeć oczy starego żołnierza, ze wszystkich stron uśmiechały się do niej twarze jej dzieci, przypominając chwile bezpowrotnie minionego szczęścia.

Wspomnienia te spadały jej na duszę, niby stado drapieżnego ptactwa, i szarpały jej zakrwawione serce, napawając ją tęsknotą, i żalobą. Mimo to czerpała staruszka pewną rozkosz w jątrzeniu tej boleści, i dobrze jej było w tej wiecznie płaczącej ciszy, i w tej samotności pełnej jęku żalobnych głosów. Kto wie nawet, możeby się przywiązała do tego schroniska, tak pokrewnego jej tęsknocie, gdyby zajęcia gospodarcze, tudzież idące z niemi w parze kłopoty, pozostawiły jej były swobodę pastwienia się nad sobą, i przezwania swej boleści. — Aliści terażniejszość ciągnęła ją tutaj ku sobie wymaganiami i kłopotami codziennego życia, odrywając myśl jej co chwila od onej przeszłości, którą żyć pragnęła jedynie. Nie mogąc znieść tego niepokoju pospieszyła do Lwowa, gdzie był grób jej męża, gdzie były kościoły, kędy się można było modlić o zbawienie dzieci, kędy u stopni ołtarza można było wyplakać zakrwawioną duszę. To był zdaniem jej port najbezpieczniejszy, — tam nikt już i nic nie przeszkodzi tęsknocie jej i modlitwie.

Pod wpływem ostatniej z mężem rozmowy, otworzyło się było serce przygnębionej staruszki dla Olesia i pani Heleny. W listach pełnych łez i uczucia, doniosła im o śmierci ojca, oplakując swoje sieroctwo, i kreśląc im

tęsknotę, która serce jej rwie ku nim, w tej chwili ciężkiej próby i zniekania. Dzieci odpowiedziały jej wyrazami pełnemi czułości i wdzięczności. Trwało więc czas jakiś dość pilne pomiędzy nimi a matką litowanie, w którym biedna staruszka znajdowała niepospolitą dla cierpienia swego ulgę i pociechę.

Niebawem jednakże zmroził wpływ hrabiny i księdza Koromesło to, w sercu pani Żymirskiej pod działaniem bólu, na nowo rozkwitłe uczucie. Przekonana, iż tak postąpić powinna, zadała biedna staruszka gwałt swej naturze, i nakazała sercu milczenie. W listach późniejszych, które przed wysyłką pokazywała zwykle spowiednikowi, poczęła znowu przemawiać do Olesia i do pani Heleny, tonem surowego a uprzedzonego sędziego. Upomnienia jej nie tchnęły już dawnem serdecznem ciepłem i pobłażliwością, lecz owszem fanatyczną jakąś bezwzględnością, stojącą na stromej i niedostępnej wyżynie, a zniechęcającą chłodem swym i nieprzeblaganą surowością.

Dziwny to był człowiek ten ksiądz Koromesło, któremu pani Żymirska kierownictwo sumienia swego powierzyła, jeżeli w ogóle człowiekiem nazwać można istotę, oderwaną zupełnie od ziemi, a wynaturzoną nieludzkim jakimś bohaterstwem, i potworną jakąś do-

skonałością. Nie ulega wątpieniu, że ksiądz ten był właśnie z onego drzewa, z którego robieni bywają bohaterowie i święci. Żarliwość jego religijna nie miała granic, i przypominała żarliwość fakirów, rzucających się pod koła miażdżącego członki ich rydwanu jakiegoś monstrualnego bóstwa. Ale bo też podobną była do wiary fakirów wiara jego, oraz pogląd na świat i przeznaczenie człowieka. Ciało uważał on jako największego wroga ludzkiego ducha, — życie jako więzienie, pozbawiające nas najwyższego szczęścia, jakim jest wyzwolenie duszy z jej doczesnych i hańbiących więzów. Wszystko co nas do życia wiąże, co je uprzyjemnia i osładza, a zatem myśl naszą od tęsknoty ku temu najwyższemu dobru odwodzi, — staranie o chleb powszedni, troska o jutro, niewinna zabawa, uczucie rodzinne, — wszystko to było zdaniem jego grzeszną pokusą, którą zwalczać należy. Umartwienie więc jaknajśroźsze ciała, zamordowanie w sobie człowieczeństwa, wyzwolenie się ze wszystkich uczuć ziemskich, zaparcie się wszelkiej uciechy, odarcie życia z wszelkich barw jego i blasków, takim było zdaniem jego, nasze przeznaczenie, — taką drogą, którąśmy kroczyć powinni, dążąc ku doskonałości!

To prawda, że te wyznając zasady, a tak wy-

górowane ludziom stawiając wymagania. nie miał ksiądz Koromesło i dla siebie żadnej pobłażliwości. Wyrzekłszy się świata i wszelkich uciech życia, umartwiał się on surowemi postami, chłostą i czuwaniem na modlitwie, znęcając się nad swem ciałem, które wyniszczone, sponiewierane i zdeptane, nie przemawiało już do niego żadną ludzką żądzą, żadną skargą, żadnym buntem. Mimo to nie ustawał żarliwy asketa w pastwieniu się nad sobą, marząc ciągle o męczeństwie, do którego tęsknił, i którego cudem tylko uniknął, w czasie misyonarzowania pomiędzy dzikimi ludami środkowej Afryki. Prześladowała go jak gdyby świerzbączka męczeństwa. Być ukrzyżowanym, w kawałki pociętym, na ruszcie upieczonym, kto wie może zjedzonym, oto był sen ulubiony, którym się kołysał. Powstrzymywała go tylko od szukania męczeńskiej palmy wola przełożonych zakonu, na którego rzecz zrzekł się swych praw do życia i do rodziny, dla którego się zaparł swego nazwiska i swej ojczyzny. Przełożonym tym oddał swe ciało i duszę, krocząc przez życie jak gdyby niewidzialnym popędzany biczem, wykonywując ślepo ich rozkazy, i nie zastanawiając się wcale nad tem, ażali słusznem i roztropnem było to, co mu polecono.

I taki to człowiek bezwzględny i surowy,

taki od życia i od świata oderwany asceta, taki wreszcie fanatyk, nie uznający żadnych ludzkich słabości, żadnych ziemskich potrzeb ni popędów, stał się doradcą pani Żymirskiej, i zabierał obecnie głos w sprawach, których wcale nie znał, i których nie pojmował. I taka to istota, potępiająca wszelkie ziemskie uczucia, nauczała ją obecnie, jak ma postępować, aby zadośćuczynić obowiązkom matki i naczelnika rodziny! Nie trudno też było hrabinie, za pośrednictwem przełożonych księdza Koromesła, pozyskać spowiednika pani Żymirskiej dla swych zamiarów. Przyzwyczajony do ślepego posłuszeństwa, nie starał się on nawet wniknąć w sprawę, na którą mu wpływać polecono. Świętobliwość hrabiny, pobożność państwa Bronisławowstwa, a nade wszystko rozkaz przełożonych, przedstawiały w tej mierze jego, od samodzielnego myślenia odwykłemu umysłowi, najzupełniejsze rekojmie. Zdawało mu się, że dobry spełnia uczynek, zabierając głos w sprawach świeckich, których nie rozumiał, i doradzając matce, aby z krzywdą innych dzieci, hojniej doczesnemi dobrami obdarzyła państwa Bronisławowstwa. Powiedziano mu, że państwo ci dóbr tych ku chwale Bożej użyją. Pewność ta usprawiedliwiała w oczach jego krzyczącą niesłusz-

ność, którą doradzał, nie pojmując nawet jej doniosłości.

— Złe to, złe moje dziecko — tak mówił pewnego razu ksiądz Koromesło swej spowiednicy. — Nie powinnaś się poddawać smutkowi, smutek bowiem złym jest towarzyszem, a zgubnym doradcą... Powinnaś go zwalczyć, powinnaś go pokonać koniecznie, bo i z jakichże płynie smutek twój pobudek, jeśli nie z ziemskich, odwodząc cię od jedynej dozwolonej ci troski, od troski o zbawienie... Ach! pomyśl, czy też warto się smucić tem co znikome?... Czyż warto poświęcać temu co przemija, to co wiecznie trwa?... Czyż nie należy zerwać tych więzów, co nas krępują i nie pozwalają nam iść tam, gdzie nas woła Pan, — gdzie widzieć powinniśmy cel jedynej troski naszej — doskonałość?

— Tak mój ojcze — odparła z pokorą starszuszka. — Ja wiem, iż grzeszną jestem i niedoleżną!... Czuję, iż nie dość gorąco miłuję Boga, jakkolwiek usilnie się staram rozzarzyć w sobie to uczucie.... Ach! tak, ja to wiem, i rozpacz mi serce ogarnia na myśl, jak mi daleko do upragnionej doskonałości.. Lecz czyliż nieczułą mogę być na ten ból, co we mnie płacze, na ten lęk, co drży we mnie?... Miałam męża, którego mi zabrał Pan; mogęż nie tę-

sknić po nim?.. Dał mi dzieci Bóg; mogęż się nie troskać o ich dolę?

— Wie najlepiej panujący Pan co robi w niezbadanej swej mądrości—odparł z namaszczaniem—i korzyć się nam tylko przed Jego wyrokami!.. A snać umiłował On cię bardzo, skoro cię doświadcza... Zazdrośnym On jest, i żąda całej naszej duszy, całego serca, całej miłości.... Wzajemność Jego wieczną jest, i nie przemija!.. Czemże jest w porównaniu z nią miłość ziemską? Czem wszelkie doczesne upodobanie? Czem uczucie synowskie? małżeńskie? rodzicielskie?... Chwilowem tylko snem, mydlaną bańką, nic więcej!.... Wszystko co ziemskie, pokusą jest tylko, mrzonką i kłamstwem, o ile nam Prawdę wieczną zasłania, a Prawdą wieczną jest tam!...

Siedziała ze spuszczoną głową i milcząca, przygarbiona pod brzemieniem smutku, który ją tłoczył: on stał przed nią z wzniesioną prawicą płonący, ogromny, straszliwy, uniesiony zapalem swym w jakieś zawrotne wyżyny,—nie widzący przed sobą świata, ani ułomnej ludzkiej natury, ani tego biednego serca, które się przed nim w bólu i trwodze kruszyło.

— O, dziękuj Bogu,—tak ciągnął z zapalem dalej. — O, dziękuj Mu, iż cię doświadczał!.. O, raduj się, iż cię rozwiązuje z twych więzów!.. To znak, iż umiłował ciebie, i za-

zdrośny, żąda od ciebie całej twojej miłości!... Możesz się smucić jeszcze?... O, wierzaj mi, nienawiedzałby ciebie smutek, gdybyś umiłowawszy Prawdę wieczną—całem sercem, całą duszą, wszystką twą istotą utonęła w tej miłości!... Odrąć więc od siebie pokusę, pozbądź się wszystkiego, co cię ku ziemi ciągnie, i od troski o zbawienie odrywał... Wyrwij z serca twego z korzeniem wszystkie ziemskie uczucia, — wymieć zeń wszelkie wspomnienia, abys godnie w domku serca twego przyjąć mogła jedyną Prawdę, jedyną Mądrość, jedyną Miłość, jedyną Pociechę, Skarb jedyny!

Z pochyloną głową i oddychając ciężko, słuchała staruszka słów tych, gorących jak strumień lawy, i jak strumień lawy straszliwych. Walczyła widocznie z sobą, nie mogąc pokonać uczucia, nie mogąc zwyciężyć smutku, jak tego po niej wymagał spowiednik. Słuchała więc słów jego, które padały jej na duszę, niby grad kamienny, badając siebie samą w milczeniu, i przyznając się w pokorze ducha do swej słabości.

— I czegoż wzdragasz się jeszcze?—zawołał spowiednik, unosząc się zapałem. — Ażali możesz się wahać, jak sługa leniwy?... Pan ciebie doświadcza, chcąc ci dać do poznania, że cię upodobał, że sobie wybrał ciebie za na-

czynie... Ale nie znajdźcie do ciebie Pan za-
 zdrosny, jak długo się nie wyprzesz uczuć
 ziemskich i trosk doczesnych,—jak długo się
 nie wyprzesz twej słabości... Możeszże się wa-
 hać jeszcze i ociągać, gdy ciebie woła Pan?...
 Służebnico opieszala! czyż nie słyszysz Jego
 głosu?... Czyż nie czujesz Jego ręki?... Czyż
 cię nie owiało Jego tchnienie, potężne jak
 wiatr co cedry wrywa?... Ach pomyśl, po-
 myśl co robisz?... Nie bądźże jak owe nie-
 wiasty, które spaliwszy olej swój w czasie
 niebytności oblubieńca, nie miały światła, by
 go przyjąć gdy zawitał... I ty poczynasz tak
 jak one, paląc ogień twój sprawom doczesnym,
 i ziemskim uczuciom... Czemże przywitasz
 oblubieńca?... Ażali wiadomym ci jest dzień
 twój i godzina?

Było coś porywającego w jego wymowie,
 gdy płonący zapalem wyrzucał z siebie te sło-
 wa ciężkie jak kamienie, a gorące jak bryły
 rozpalonego kruszcu. Tonąc we łzach, słu-
 chała go pani Żymirska napelniona grozą, a
 zarazem rozrzewnieniem, miłością, i uwielbie-
 niem, zapalając się jego żarliwością, i upajając
 się jego słowami, które ją odurzały jak mocny
 trunek.

— Jam gotowa, mój ojczy!—zawołała z za-
 palem, gdy zamilkł, jakby słuchając echa wła-
 snych słów. — Jam gotowa pójść gdzie każe

Pan, zespolić się Nim miłością, oddać Mu się zupełnie!... Lecz powiedz mi, ojczy, co robić mam?... Wskaż mi drogę, gdzie Go szukać, której mam iść do Niego?...

— I ty się pytasz jeszcze?... Jakżeż możesz iść ku Niemu, skoro cię trzyma jeszcze świat swojemi szpony, a ty nie masz dość siły, aby się wyrwać z ich mocy?... Jakże możesz trafić do Pana, skoro troska o sprawy doczesne twój umysł zaprzęta?... O wyrwij się z tych szponów, otrząśnij się z tej pokusy dopóki czas... Każda rzecz ma swoją porę, powiada Kaznodzieja: „Jest czas rodzenia i czas umierania, czas szukania i czas tracenia, czas chowania i czas odrzucenia, czas uciechy i czas pokuty!...”, Bóg dał ci był młodość i majątek, i męża, i dzieci, i dobrą była wówczas troska twoja o byt rodziny, i o wychowanie dzieci, któreś spłodziła... Lecz dziś mąż twój umarł, dzieci wyrosły, i nie potrzebują już twojej opieki... Służba twoja skończona, a żywot ma się ku schyłkowi.. Dlaczegoż troskasz się jeszcze o sprawy doczesne?... Dlaczegoż dajesz im się oderwać od trosk o zbawienie?... Dlaczegoż nie zdasz szafarstwa synowi, aby zbierał i budował, i szukał, i chował, jak tego czas jego wymaga?... Dlaczegoż nie odrzucisz od siebie tej

pokusy, skoro przypadł tobie czas tracenia. odrzucenia, i pokuty?

— Tak, mój ojczy,—odparła przygnębiona temi wyrzutami staruszka.—Ja wiem, że jako chrześciana tak postąpić powinnam... Ale mąż mój, który mi zawsze wiernym był przyjacielem, i który jako ojciec, miał równe prawo stanowienia o losie dzieci, zaklął mnie umierając, abym Bronisławowi nie oddawała majątku.. Mamże umarłemu odmówić prawa, które miał za życia?.. Mamże postąpić przeciw jego woli?

Spojrzał na nią zdziwiony, jak gdyby słów jej nie rozumiał. Nie pojmował jej skręplów. Grzeszną mu się wydawała, i niedorzeczną.

— Zawszeż cię ta sama krepować będzie obawa?—zawołał szorstko.—Mąż twój niedowiarkiem był, a przynajmniej w ostatniej chwili życia swego uległ pokusie... Ażaliż posłuszną być masz jego zleceniu, które kto wie, skutkiem jakiego dał ci podszeptu?... A zresztą, czyimże był majątek, twoim, czy męża?

— Moim on był według prawa, ale w istocie posiadaliśmy go wspólnie, ja i on... Poślubiwszy go, oddałam mu zarząd swojego mienia... I nie było pomiędzy nami sprzeczki o własność, a jam mu pozostawiała prawo sta-

nowienia o wszystkim, uważając go za pana mego, za dziedzica wszystkiego co moje.

— A więc i pod tym względem nieprzystoi ci wahanie... Jaka tam była pomiędzy wami w tej mierze piśmienna, ustna, czy też milcząca umowa, śmierć ją rozwiązała obecnie... I niema już względów, któreby cię krępowały... Kto wie, może cię zwolnił Pan w swojej niezbadanej mądrości, dlatego właśnie, aby ci pozostawić swobodę działania, dlatego, abyś wykonała jego zamysły, niepowstrzymana tem, czego żądał mąż twój, złego słuchając natchnienia.

— Ach, mój ojcze, mój ojcze!—jęknęła pani Żymirska, łkając boleśnie.

I znowu spojrział na nią zdziwiony. Niezrozumiałą była mu jej tkliwość, zdaniem jego występna.

— Słabość jeno przemawia z ciebie! — zawołał surowo.—Pomimo prób, któremi cię doświadczył Pan, niezrozumiałaś głosu Jego, nie oddałaś Mu się jeszcze zupełnie... Trzyma cię jeszcze świat pokusą ziemskich uczuć, i nie uznajesz woli Bożej, jakkolwiek ci się objawiła wyraźnie, targając pęta, które krępowały swobodę twego działania... Nadszedł ci czas odrzucenia, i czas tracenia, i czas pokuty, a brak ci siły, aby odrzucić... I nie masz nawet owej troski, którą miał Kazno-

dzieja, gdy się frasował tem, iż pozostawiając swą pracę synowi, nie wiedział ażali ją na dobre obróci?... Ty przeciwnie czyniąc tak, jak ci doradza twa przyjaciółka, jak ja ci doradzam, jak tego od ciebie żądają ludzie świętobliwi, których ja niegodnym tylko wobec ciebie jestem tłumaczem,—ty przeciwnie, uzyskasz pewność, że praca twa obróconą zostanie na chwałę Bożą, na wychowanie dzieci, w których krew twoja płynie, a których cnotliwy żywot, będzie Panu jako wdzięczny głos modlitwy, jako miła woń ofiarnego kadzidła... Możesz-li się wahać jeszcze?... Możeszli się jeszcze ociągać?

— Ach mój ojciec, ja wiem, że jako chrześciana, powinnabym tak uczynić, jak mi radzą... Ja wiem, żebym powinna przysporzyć mienia temu, który go ku chwale Bożej użyje... Lecz ojciec mój, ojciec! jam matka, a te grzeszne, te zbłąkane owieczki, to także moje dzieci, to płód mego żywota, to kość i krew moja, mająca równe prawo do mojej miłości... Czyż sprawiedliwym byłoby wywłaszczać je?... Czyż nie mają one równego prawa do działu w rodzicielskiej spuściźnie?

— O, ułomności ludzka! — zawołał z goryczą.—O, serce człowieka, jakże mu ciężkim jesteś wrogiem!... Ażali możesz mieć oprócz chwały Bożej inny wzgląd na oku?.. Ażali

nie powinnaś dla niej poświęcić wszystkiego, chociażbyś miała gwałt uczynić twoim uczuciom, jak Dawid ścigający Absalona. — chociażbyś miała zatruć serce twoje goryczą, jak Jefte ofiarujący Panu swą córkę... Bóg wymaga tego od ciebie, skoro stanowienie o majątku pozostawił tobie, skoro usunął ci z drogi śmiercią męża wszelką przeszkodę... Będzieszli się z Nim spierać — z Wszechpotężnym?... Ażaliż nie tem większą będzie twoja zasługa, im cięższem brzemieniem przytłoczy ci duszę poddanie się wyrokowi Pana?... A zresztą, czy nie wskazuje ci Pismo Święte drogi postępowania? Wszakże ów Jakób, który znalazł łaskę przed Panem, otrzymał wbrew ludzkiej sprawiedliwości pierworodztwo, podczas gdy starszy brat jego odsuniętym został od ojcowskiego błogosławieństwa... „I postanowił Izaak Jakóba panem nad Ezawem, i wszystką bracie jego dał mu za sługi, i opatrzył go zbożem i winem,“ bo taki był wyrok Pana, który sobie upodobał Jakóba.

Staruszka milczała złamana boleścią. Łzy rzęsiste toczyły jej się po licu.

— I czemuż się poddajesz zgryzocie? — ciągnął dalej spowiednik, deptąc boleść jej bez litości. — I czemuż się nie starasz pokonać twej słabości?... Ażaliż ci tak miłe są te dzieci, które obrażając Boga, utraciły prawo do

twej miłości?.. Wyrzuć je z serca twojego!... Jako chrześciana, powinnaś to uczynić, powinnaś być dla nich surową, powinnaś przede wszystkim chwałę Bożą mieć na celu... Surowość twoją policzy im kiedyś Pan, waząc winy i karę... A któż ci ręczy, że zdradą szatana zbląkanę nie użyłyby pracy twojej na złe, na grzech, na własną hańbę i zatrąte?... Ażalisz to dopuścisz?

— Mój ojczy, jam gotowa!—zawołała szlochając, przygnębiona staruszka. -- Gotowam zrobić wszystko, ale dajcie mi chwilę czasu... Niech zbiorę myśli, niech pokrzepię ducha, niech pokonam uczucie!... Znękana jeszcze jestem, i sił mi braknie!... Pozwól mi ojczy odetchnąć!... Ach, pozwól, pozwól odetchnąć!...

— Kusi szatan znowu serce twoje, odejmując ci odwagę... Westchnij do Boga, aby ci dał siłę, i nie unosząc się litością dla własnego niedołęstwa, rób to, co ci każe Paul!... Im prędzej, tem lepiej, tem bezpieczniej!... Ażali wiesz kiedy przyjdzie twój czas? Ażali wiadomym ci jest dzień i godzina?... Ach pomyśl jaką na siebie możesz ściągnąć odpowiedzialność twą opieszalnością... Jeżeli byś nie wypełniła woli Pana, nim cię powoła do zdania sprawy z twego szafarstwa, cóż byś Mu odpowiedziała wtedy, temu straszliwemu Sędziemu?... Gdzież byś szukała orędownika twej

sprawy?... A jeżeliby dzieci twe użyły pracy twej na złe, na grzech, na obrazę Boga, na kimżeby ciążyła wina, jeżeli nie na tobie?... I nie byłoby dla ciebie zmiłowania, a tylko wieczny żal, bo zbawieniem twem odpowiadasz za ich zbawienie... Westchnij do Boga i rób co ci kazał!

— Zrobię.

— Przyjdź jutro do kościoła o dziewiątej... Odprawię mszę na twoją intencję... Będę Go błagał, aby pokrzepił twe serce, aby zahartował twą wolę, aby podparł twój ducha Swą potężną dłonią.

— Dzięki ci, mój ojcze, dzięki!

— Przed Mszą przystąpisz do mojego konfesyonału, abym ci dał rozgrzeszenie, a potem staniesz u stołu Pańskiego, abys pokrzepiona anielskim chlebem, nabrała siły do wykonania tego, co tak ciężką było dla ciebie ofiarą.

— Dzięki ci, mój ojcze, dzięki!

— A teraz żegnam ciebie w Panu,—dodał, kreśląc krzyż nad jej czołem.—Przygotuj się do jutrzejszej spowiedzi rozmyślaniami i modlitwą!

W kilka dni po tej rozmowie, przybyli skutkiem wezwania pani Żymirskiej państwo Bronisławowstwo do Lwowa, celem traktowania dawno już obmyślanego, i przygotowanego interesu. Chodziło tym razem już nie o

dzierżawę, ani też o zarząd Wilkowa, ale o oddanie go na własność panu Bronisławowi, w drodze sprzedaży; — była to bowiem jedyna forma, według której prawnie i nieodwołalnie, przeprowadzić się dawało ograbienie rodzeństwa na korzyść faworyta, protegowanego przez hrabinę, i spowiednika.

Nizko licząc wart był Wilków przeszło sto pięćdziesiąt tysięcy; — cyfrę tę wykazywał również szacunek towarzystwa kredytowego przed kilku laty, przy zaciągnięciu pożyczki przyjęty. Tę samą jeżeli nie wyższą cyfrę wykazywał również szacunek na podstawie dwudziestokrotnego rocznego dochodu. Mimo to nie zawahał się pan Bronisław ofiarować za Wilków tylko sto dwadzieścia tysięcy, opierając się na tem, że stokrotny podatek gruntowy taką tylko cenę wykazuje.

Czyniąc zadość temu, co przyrzekła swemu spowiednikowi, przystała pani Żymirska na ten jej od dawna znany już warunek, boć przecie chodziło głównie o to, ażeby jak naj-szczodrzej wyposażyć pana Bronisława, który pobożnością swoją dawał rękojmię, iż uzyskane w ten sposób mienie na chwałę Bożą obróci. Skutkiem tego oszacowania zyskiwał więc pan Bronisław około czterdziestu tysięcy, podczas gdy rodzeństwo jego na tym interesie też samą traciło sumę.

Niemniej korzystnemi dla państwa Bronisławowstwa — oboje bowiem występowali tu jako kupcy—były i dalsze warunki sprzedaży. Ciężyły na Wilkowie jak wiadomo dług towarzystwa kredytowego, wierzytelność Kamili Okrętowskiej, tudzież rozmaite zaległości, w łącznej sumie siedemdziesięciu tysięcy, które według kontraktu kupna i sprzedaży miały nadal pozostać przy gruncie. Niemniej pozostać miała przy gruncie i scheda Olesia, oprocentowana aż do jego pełnoletności po pięć od sta, i dopiero po dojściu Olesia do pełnoletności, wypłacić się mająca.

Po strąceniu tych ciężarów pozostawało tedy do wypłaty, czterdzieści tysięcy guldenów, —te atoli miały również pozostać przy gruncie, oprocentowane po pięć od sta, na rzecz pani Żymirskiej. Renta od tej sumy przypadająca, miała jej być wypłacaną aż do śmierci, w półrocznych ratach z góry. W chwili zaś jej śmierci, miała się umorzyć powinność płacenia renty na lat trzy, po upływie którego to czasu dopiero, miał odnośny kapitał, do równego podziału być wypłacony spadkobiercom.

Pokrzywdzenie rodzeństwa było więc tu oczywistem. Nie wydając centa, wchodzili państwo Bronisławowstwo w posiadanie majątku, za cenę o czterdzieści tysięcy niższą,

od właściwej jego szacunkowej wartości. Odbierając go w natychmiastowe posiadanie, korzystali na zwyczajce dochodu w stosunku do wypłacać się mającej renty, rocznie blisko dwa tysiące. Wkońcu zyskiwali jeszcze, skutkiem postawionego zastrzeżenia, w razie śmierci matki trzyletnie odsetki od sumy czterdziestu tysięcy, która jak wiadomo, dopiero w trzy lata po śmierci pani Żymirskiej, miała być wypłaconą spadkobiercom, do równego podziału.

Kontrakt kupna i sprzedaży, był tu jedynie formą, zabezpieczającą państwu Bronisławowstwu nieodwołalność poczynionych zarządzeń. Nie mogły przeciw temu protestować starsze dzieci, ani też opiekun Olesia, majątek bowiem był własnością pani Żymirskiej, i wszystko było zrobionem legalnie. Jedynie tylko zapłatę adwokata i stemplów ponieśli nabywcy. Wróciło się im to jednak z okładem przy kupnie inwentarza, który wraz z całym domowym urządzeniem, i wszelkimi ruchomościami, na cenę trzech tysięcy został oszacowany. Pieniądze te wypłacili nabywcy pani Żymirskiej przy podpisie kontraktu, i tegoż jeszcze samego dnia pojechali państwo Bronisławowstwo objąć w posiadanie Wilków, pożegnani, błogosławieństwem wyzutej z mienia swego staruszki.

ROZDZIAŁ VIII.

Jako wilcze plemię zrzuciło kozuch barani, który mu się stał zbyt ciężkim i niedogodnym od czasu, jak porosło w ciepłe pierze.

Upłynęło lat dwa. Państwo Bronisławowstwo przenieśli swą rezydencyę do Wilkowa, wyczekując umorzenia trzyletniego dzierżawnego kontraktu, ciążącego jeszcze na tym majątku, a kończącego się właśnie w tym roku. Do Olchówki, którą w własnej zatrzymał administracyi, dojeżdżał tylko od czasu do czasu pan Bronisław. Nie było tam co robić. Urządzone raz już gospodarstwo szło dalej, jak nakręcony zegarek, podczas gdy w Wilkowie, sama już eksploatacya lasu, pilnego wymagała nadzoru.

Zaraz w pierwszym roku swego pobytu w Wilkowie, zajęli się państwo Bronisławowstwo upiększeniem swej nowej rezydencyi, Dobudowano pięterko, fronton przyozdobiono herbami Żymirskich i Niegodzkich, werandę i

dach opatrzone drewnianymi ozdobami na wzór szwajcarskich szaletów, odświeżono glockietę w ogrodzie i sztachety, a wjazdowe bramy osadzono w murowanych słupach, na których szczycie umieszczono kamienne wazony z blaszanymi kaktusami.

Wszystkie te, i liczne inne jeszcze upiększenia, nie przydawały Wilkowi wdzięku ni wartości. Mimo to chętni się państwo Bronisławowstwo wielce temi zarządzeniami, a Porajowie głosili sławę pana Bronisława, nazywając go Kazimierzem restauratorem. Był to dowcip hrabiego Tola, który przybywszy do Wilkowa na polowanie, w rok po objęciu tego majątku przez nowego dziedzica, zachwycał się przeprowadzonymi reformami, zapewniając, że „Bróncio zastał Wilków drewnianym, a murowanym go pozostawi“.

Odpowiednio do majątku, urządzili też państwo Bronisławowstwo tryb swojego życia. Pomnożono służbę i stajnię, dla której z Olchówki dowozić musiano owies, a dokupywać siano i słomę, gdyż kontrakt dzierżawy tylko utrzymanie czterech koni zastrzegał. Zaprowadzono osobne zaprzęgi dla pani, osobne dla pana; powiększono psiarnię, której nadzór oddano Maćkowi, podniesionemu do godności łowczego. Wreszcie zaprowadzono beagle i hauty, na wzór hrabiego Tola, jakkolwiek miej-

scowość wcale się do polowań *par force* nie nadawała. Dla Porajów zjeżdżających coraz częściej na czas dłuższy do Wilkowa, urządzano polowania, wycieczki, wieczory i t. d., jednym słowem postawiono życie na równej stopie z licznymi, w tej okolicy majątynymi sąsiadami, z którymi blizkie zawiązano stosunki.

Wszystko to kosztowało wiele, a jakkolwiek dochody państwa Bronisławowstwa zwiększyły się były obecnie o kilka tysięcy, to jednakże pochłaniało życie tę zwyczaję, tak iż nowi dziedzice Wilkowa nie zawsze byli w stanie, zadość uczynić przyjętym obowiązkom. Nie bolała ich zresztą głowa o to bynajmniej. Brak pieniędzy odbijał się w pierwszej linii na Olesiu, któremu bardzo nieregularnie wypłacano procent od jego sumy. Biedny chłopiec służący w konnicy, i zmuszony żyć na równej z kolegami stopie, był zniewolonym uciekać się coraz częściej do zaciągania pożyczek. Skarżył się też matce biedaczek na opieszałość brata, nie mogąc go własnymi listami nakłonić do pamiętania o przyjętych obowiązkach. Aliści upomnienia pani Żymirskiej nie odnosiły żadnego skutku. Ażeby usunąć przyczynę do waśni pomiędzy braćmi, łagodziła zazwyczaj staruszka te kwasy, wspomagając młodego żołnierza własnymi funduszami.

Niemniej nieregularnie wypłacał pan Bronisław rentę pani Żymirskiej, składając się wielkością przyjętych obowiązków, którym podołać nie może. Nie zwracając na to uwagi, że tylko własne wystawne życie stawia go w tem trudnem położeniu, a zapominając jak hojnie, z krzywdą nawet reszty rodzeństwa, został przez matkę obdarzonym, narzekał bezustannie, iż się poświęcił dla rodziny, i pieniędzy dla niej nastarczyć nie może. Kłóło go szczególnie w oczy to, co matka czyniła dla Olesia, dla dzieci starszego brata, a nawet dla ubogich. Nadmienić tu bowiem wypada, że pani Żymirska szczerze wspierała wszelką nędzę, a mieszkając w wielkiem mieście, częstą ku temu miała sposobność.

Staruszka kulila się i ograniczała w wydatkach coraz bardziej, folgując synowi i zwalnając go co chwila z obowiązku wypłacania wiecznie zalegającej renty. Wszystko to nie zadawałoby atoli synowstwa, którzy zrzucili byli maskę obłudną przywiązania, szacunku, i uległości. Zagarnąwszy majątek, uważali się obecnie za prawowitych jego właścicieli, i postępowali tak, jak gdyby łaskę robili matce i bratu, wypłacając winne im pieniądze. Bezwzględność ich postępowania rosła w miarę ustępstw, jakie im czyniła pani Żymirska.

Żyła tedy biedna staruszka, opuszczona przez państwa Bronisławów, i co chwila przez nich w uczuciach swych brutalizowana, w smutku i tęsknocie, — zajmując wraz z panią Heleną, która już uzyskała była separacyę, a napróżno ciągle jeszcze o rozwód w trybunałach kołatała, skromne mieszkanko, złożone z trzech pokojów i kuchenki, przy jednej z drugorzędnych ulic miasta. Panie te prowadziły życie skromne i samotne, pani Helena bowiem unikała ludzi do czasu, aż się wyjaśni jej sytuacja, a przygnębiona smutkiem pani Żymirska, nie myślała wcale o zabawie. Książd Koromesło opuścił był Lwów, używszy wreszcie u swych przełożonych pozwolenie udania się do Tonkinu, gdzie podążył pełen zapału, w nadziei, iż pomiędzy Anamitami zdobędzie oną palmę męczeńską, która była jego marzeniem. Co się tyczy hrabiny, która niegdyś tak natrętnie prześladowała panią Żymirską swemi odwiedzinami, ta, po sprzedaży Wilkowa ostygła w swojej przyjaźni, i nie nagabywała już więcej znękaney staruszki.

Przez życzliwców swych opuszczona w nadziejach, które na panu Bronisławie pokładała, zawiedziona, przyszła pani Żymirska do przekonania, że państwo Bronisławowstwo nie obracają wcale mienia, którem ich wyposaży-

ła, ku chwale Bożej, lecz owszem obrażają Boga nienasyconą chciwością, i bezwzględnością dla rodziny. Słowa, które jej mąż umierając powiedział, przypominały jej się co chwila, napawając jej umysł niepokojem i obawą bez granic. Czuła się winną wobec tych dzieci, które skrzywdziła, wpuszczając wilka do owczarni, a myśl o dalszych następstwach tego błędu, przajmowała ją grozą. Sądziła, że szczepi chwałę Bożą, a przekonała się, że posiada krzywdę, waśń między rodzeństwem, nienawiść, kto wie zbrodnię nawet może i hańbę.

Starła się więc nagrodzić Olesiowi i pani Helenie krzywdę, którą im wyrządziła. Jakkolwiek nie była zadowoloną z dążenia córki do rozerwania zawartych ślubów, to jednakże nie potępiała jej obecnie, bacząc na wielkość cierpien które przebyła, i żywiąc nadzieję, że Bóg jej w swem miłosierdziu także przebaczy, iż znękana boleścią odtrąciła od siebie nieznośne brzemie. Wszakże przebaczył upadek na duchu Piotrowi, gdy się go zaparł wobec niebezpieczeństwa! Chłód, który niegdyś córce okazywała, znikł był zupełnie. Miała dla niej zawsze słowo serdecznej pociechy, miała łzy współczucia dla jej niedoli.

Ze swej strony otaczała zawsze pani Helena matkę najserdeczniejszą, tkliwością i mi-

łością. Nie dawała jej nigdy do poznania, iż dawna jej niechęć zakrwawiała niegdyś jej serce boleścią. Unikała pilnie wszelkiej w tej mierze z matką rozmowy, i starała się zatrzeć w jej umyśle wspomnienie jej niesprawiedliwości. Nie mniejszą tkliwość okazywała staruszka w listach swych Olesiovi, o którego los wielce była niespokojna. Były to bowiem czasy wojenne, i pułk jego spodziewał się lada dzień rozkazu udania się na linię bojową.

Wreszcie stało się to, czego się tak srodze obawiała pani Żymirska. List Olesia datowany z marszowej już etapy, przyniósł tę wiadomość. Omal że wieści tej życiem nie przypłaciła biedna staruszka; — posty bowiem surowe, liczne umartwienia, a nadewszystko moralne cierpienia nadwątlily były jej zdrowie. Umiejętna pomoc lekarska zażegnała wprawdzie niebezpieczeństwo, lecz nie zdołała pokonać jej moralnego cierpienia. Miotała rozpaczą srogie sobie czyniła wyrzuty, iż zezwoliła na oddanie Olesia do wojska, do którego nigdy nie miał szczególniejszej ochoty. Z bólem przypominała sobie serdeczną miłość, uległość i cześć, którą jej zawsze okazywał, i nie mogła sobie przebaczyć, iż odtrąciła od siebie to serce, tak tkliwe i tak dla niej wylane.

Żal i rozpacz spać jej po nocach nie dawały. Co chwila przywidywały się jej straszne jakieś obrazy. W gorączkowych snach widywała często Olesia leżącego na pobojowisku, z poszarpanemi członkami, z głęboką w pierśsiach raną, któredy uciekało życie. Porzucony tam bez ratunku, bez opieki, patrzył na nią szklanemi oczyma. Oszalała bólem zrywała się wtedy z pościeli, wołała go: Olesiu! „Olesiu!“ Ale nie odpowiadał na jej wołania okiem ni uśmiechem. Błady i martwy leżał tam, na zakrwawionej murawie, on — syn jej, krew jej krwi, płód jej żywota, zabity zamordowany przez nią — przez nią, którą tak kochał serdecznie!

Zaniepokojona przybiegała wtedy do jej łóżka pani Helena, i utulała ją w żalu jak dziecko, pocieszając, i starając się w niej obudzić męstwo. Modliły się obiedwie i płakały razem, oczekując listu od młodego żołnierza, który co kilka dni do matki pisywał, opowiadając jej swoje przygody. Ilekroć nadchodziło pismo takie, nie było już końca radości. Pani Żymirska odczytywała je co chwila, całowała ze łzami, kładła przy sobie na wezglowiu, aby mózdz na nie patrzeć bez przerwy. I śmiała się i radowała wtedy, i zdawało się jej, że tuli w objęciach syna, który tymczasem bojował w stronie dalekiej.

Wreszcie skończyła się kampania, szczęśliwie dla Olesia, który wyszedłszy z kilku bitew i potyczek bez szwanku, dostał awansu, i uzyskał w rozkazie dziennym pochwałę. Uradowany powodzeniem, donosił matce otem młody wojownik, ubolewając tylko, że nie może się napić widokiem jej uciechy. Pisał jej szeroko o nadziejach swych, o widokach na przyszłość, którą malował oczom jej w świetnych barwach, opromienioną chwalebniemi powodzeniami, i zaszczytem. Nie chciała jednak o tem słyszeć wcale pani Żymirska. Wzywała go aby rychło wracał, poprzysięgając sobie, iż go więcej nie puści.

Tymczasem jednak nie pozwalało trwające jeszcze wojenne pogotowie Olesiovi natychmiast zadośćuczynić życzeniom matki. Doniósł jej o tem ze smutkiem, malując swoją tęsknotę, i przyrzekając, iż wszelkiego przyłożył starania, aby jaknajspieszniej uzyskać urlop, i pośpieszyć w jej objęcia. Pewność ta wielką sprawiła ulgę pani Żymirskiej, i pokrzepiła jej siły, nie mogła jednak zupełnie ukoić jej tęsknoty, ani też usunąć zarodku trawiącej ją słabości, którą wywiązały przebyte cierpienia.

Lekarz, który ją codzień odwiedzał, stwierdził ubytek sił wzmagający się coraz bardziej, i wyraził pani Helenie powątpiewanie o mo-

żności wyratowania staruszki. Gdyby—tak utrzymywał—można odgadnąć i usunąć przyczynę trawiącą ją zgryzoty, wtedy byłaby nadzieja wyleczenia cierpiącej. Niestety, niedawało tej otuchy ciągle rozdrażnienie, w którym się znajdowała, a które coraz mocniej się odbijało na jej zdrowiu.

Wreszcie doczekała się staruszka tej tak upragnionej wiadomości. Młody oficer uzyskał urlop trzymiesięczny, a pułkownik oddał mu transport żołnierzy powracających do domowego ogniska, ażeby podróżując po służbie, oszczędził koszta dalekiej podróży. Był to dowód życzliwości przełożonego, i nie sposób się było wymówić od danego polecenia. Oles donosząc o tem matce, ubolewał niezmiernie, iż powrót jego do domu dozna skutkiem tego niemal czternastodniowej zwłoki. Zaczęła tedy staruszka liczyć dni i godziny powolnie upływającego czasu, transport bowiem posuwał się małemi marszami, i odbywał co kilka dni wypoczynkową dniówkę. Zdawało się biednej staruszce, że wyczekiwanie jej nie będzie miało końca.

Aż dnia pewnego nadszedł list od Olesia, przynoszący rozpaczliwe wieści. Młody oficer donosił, iż ordynans jego przyboczny umknął z etapy, skradłszy mu w czasie snu transportową kasę, wynoszącą tysiąc siedemset

guldenów. Oleś truchiał nad moralną odpowiedzialnością, ciężącą na nim z tego powodu. Jakkolwiek bowiem fakt ucieczki ordynansa był oczywistym, to jednakże nie było na to dowodu, iż uciekając zabrał pieniądze, powierzone komendantowi transportu. Groziło mu podejrzenie, iż korzystając z ucieczki podwładnego, przywłaszczył sobie rządowe pieniądze, groziło mu upokarzające śledztwo, które w najlepszym razie, stwierdzając jego niewinność, nie zmniejszyłoby jego odpowiedzialności. W każdym bowiem wypadku odpowiedzialnym za te pieniądze był tylko on, nie zaś sługa, przed którym powinien by się był pilnować.

I nie było możliwej naprawy tego nieszczęścia, nie ulegało bowiem wątpieniu, że zbieg rozporządzając tak znacznemi funduszami zdoła przekroczyć granicę, i udaremnić w ten sposób pościg wszelki. Zrozpaczony Oleś zaklinał matkę o jak najspieszniejsze przysłanie tych pieniędzy, aby pokrywając stratę przez jego opieszałość skarbowi wyrządzoną, uniknąć hańbiącego śledztwa. Prosił ją, aby naleganiem wymogła na panu Brcniślawie wypłatę tych pieniędzy, na rachunek sumy, która przy dojsciu do pełnoletności miała mu być wypłaconą.

Pani Żymirska zmartwiła się wielce stratą

poniesioną przez Olesia, właśnie w chwili, gdy, powracając z wojny do domu, obiecywał sobie wytechnąć po tyłu znojach na łonie rodziny. Strata była w każdym razie wielce dotkliwą, wszelako, przy śpiesznym ratunku, mogło być grożące niebezpieczeństwo odwróconem od biednego chłopca. Na szczęście, znajdował się właśnie we Lwowie pan Bronisław, któremu po dokonanych żniwach, nie trudno było zadośćuczynić proźbie Olesia. Potrzebna młodemu oficerowi suma nie była tak znaczną, by jej, przy licznych stosunkach i kredycie, z łatwością nie mógł uzyskać pan Bronisław. Oleś nie żądał zresztą łaski;—należały mu się te pieniądze, wprawdzie dopiero za lat pięć, mimo to nie było dobrego powodu odmawiania mu tej wypłaty, tembardziej, że wobec naglącej potrzeby, ustąpić musiały wszelkie względy. Zawezwany przez staruszkę celem rozmowy w ważnym i pilnym interesie, pojawił się pan Bronisław u matki, podchmielony nieco po dobrym obiedzie u hrabiego Tola, a niekontent, iż go od przyjemnej oderwano kompanii.

— Cóżto tak pilnego?—zapytał zgryźliwie, po dość chłodnem przywitaniu.

Pani Żymirska podała mu list Olesia w milezeniu.

— E, he, he, he!—zawołał, przebiegłszy pi-

smo oczyma,—komedyant... I mamą wierzy tym romansom?

Staruszka popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

— Jakże nie mam wierzyć?... Widzisz przecie, jaki zropaczony!

— Bo mu potrzeba pieniędzy na hulankę, więc zmyśla jakieś awantury arabskie... Kto wie: może w karty przegrał rządowe pieniądze, a teraz rzuca podejrzenie na swego ordynansa?

— Jak też ty możesz mówić coś takiego Bronisławie?—zawołały równocześnie z oburzeniem pani Żymirska i pani Helena.—Jak możesz posądzać Olesia o tak okropną podłość?... Cóż cię uprawnia do takiego posądzenia?... Toż to przecie twój brat!

— No i cóż, no i cóż?— tłumaczył się pan Bronisław, spostrzegłszy iż przeholował. — Czy ja wiem jak tam było?

— A więc jak możesz mówić, skoro nie wiesz?

— Mój Boże! Mówię, bo tam rozmaicie bywa u nich w wojsku, zwłaszcza w wojennych czasach... Hulają, piją, grają w karty... Mogli go wciągnąć do gry; mogli spać, ograć.. W tych razach człowiek nie wiem co robi.. Mógł bardzo łatwo przegrać rządowe pieniądze, a teraz wstydzi się przyznać do winy.

— Nie, Oleś by tego nie zrobił! — zawołała pani Żymirska. — Wszak wiesz jaki on prawdomówny, jaki honorowy!

Pan Bronisław ruszył niecierpliwie ramionami.

— Może być!... Zresztą cóż mnie to obchodzi?

Kobiety spojrzały na niego, jak gdyby nie rozumiały jego słów.

— Jakto? Toż nie czytałeś całego listu? — zawołała pani Żymirska. — Oleś prosi abys mu posłał te pieniądze na rachunek jego schedy.

— Ja?

— Tak jest ty!

— Ani myślę!

— Jakto?... Toż przecie się Olesowi należy dziesięć tysięcy!

— Jak dojdzie do pełnoletności... Za pięć lat...

— Tak, ale wobec tej potrzeby powinienes, musisz mu wypłacić to czego żąda.

— Ani myślę!

— Bronciu opamiętaj się!... Toż to przecie twój brat!... Nie możesz go opuścić w tem nieszczęściu... Wiesz jaki jest... on sobie życie odbierze!

Pan Bronisław ruszył obojętnie ramionami.

— Cóż ja na to poradzę?... Czy ja temu wi-

nien że on taki mazgajowaty?... Niech by się był pilnował, toby go nie byli okradli!

— I ty masz sumienie tak mówić, — ty jego brat? .. Tybyś go opuścił teraz?... Tybyś, obarczył sumienie twoje krwią jego, ty człowiek chełpiący się sprawiedliwością swą i pobożnością?... Nie, ty chyba żartujesz Bronisławie?... To nie czas żartować... Słuchaj Bronisławie, to czas działać... Proszę cię Bronisławie, zaklinam, nie baw się z mojem sercem, nieigraj z moją boleścią!

Pan Bronisław jął niecierpliwie stukać nogą o podłogę.

— Nie mam pieniędzy! — odparł sucho.

— Jakto? Wszak sprzedałeś właśnie pszenicę?

— To była olchowiecka pszenica... Majątek mojej żony, która już czeka na te pieniądze... Nie mam prawa nimi rozporządzać.

— Ależ to wszystko jedno!... Masz przecie Wilków... Masz dochód z wilkowskiego lasu... Wszakże zakontraktowałeś dostawę progów do kolei.

— No i cóż, no i cóż? — zawołał pan Bronisław zapalając się gniewem. — Wilków potrzebuje wkładów... Odbieram go właśnie od dzierżawcy .. Mam pieniądze, ale ich potrzebuję na gospodarstwo... Nie mogę ich oddać

dla pięknych oczu pana Aleksandra... Potrzebuję tych pieniędzy sam.

— To pożycz, a oddaj bratu to co mu się należało... Nie opuszczaj go w nieszczęściu... Pożycz i zapłać; masz przecie kredyt Bronćciu.

— Ani myślę!.. Ja długów nie robię jak pan Aleksander.

— I ty mu to śmiesz wymawiać, ty? — zawołała oburzając się pani Żymirska — Ty, z którego winy właśnie musiał się zapożyczyć biedaczek, dlatego żeś mu nigdy regularnie nie wypłacał procentu, pomimo zaciągniętego obowiązku, — dlatego żeś go krzywdził, ty człowiek jak utrzymujesz pobożny i sprawiedliwy!

Pan Bronisław zachnął się pod tym ponownie mu w oczy rzuconym zarzutem obłudy.

— No i cóż! — zawołał zaperzony — nie posłałem mu wczas procentu bo nie miałem... Ciągłe płać i płać... Czy to ja robię pieniądze, abym nastarczył wszystkiemu?

— Wszakże ci dałam Wilków bez pieniędzy... Wszak płacisz z niego hurtem mnie dwa tysiące, a Olesiowi pięćset, podczas gdy dochód z dzierżawy, nie licząc intraty z lasu trzy tysiące pięćset wynosi?... Czy nie robiłam ci ulg, opuszczając ci zaległą rentę?... Podołałbyś obowiązkowi, gdybyś nie żył tak wy-

stawnie, gdybyś nie trwonił pieniędzy, pnąc się do życia na równej stopie z Porajami i Zasławskimi.

— Co mi mama rachuje moje wydatki! — zawołał w furji — Czy to ja rachuję co mama wydaje, marnotrawiąc pieniądze, wspomagając jakichś dziadów, robiąc prezenta Olesiovi, Kazimierzowej?... Ja maminej kasy nie rachuję, a Olesiovi pieniędzy nie dam, bo mi się nie chce!... Niech sobie w łeb strzela i owszem!... Mniej będzie o jednego kpa na świecie!

— Co on mówi? co on mówi?... Boże, Boże, cóżem ja uczyniła myśląc, że ci chwały przysporzę!... Niewdzięczniku! obsypałam cię dobrodziejstwami, a ty śmiesz mi wyrzucać marnotrawstwo, śmiesz wymawiać jałmużnę, którą daję ubogim?... Wyrodku, bez miłości, bez sumienia, gotów rodzzonego gubić brata! sądzisz, że tego Bóg nie widzi, że go oszukasz, że ci to przebaczy?... Cóżem ja uczyniła?... Dzieci, moje dzieci!

— Dzieci moje dzieci! — powtórzył, przedrzeźniając matkę pan Bronisław, rozmarzony trunkiem, i gniewem rozszalały.

— Precz! — krzyknęła staruszka, zerwawszy się z poduszek. — Precz wyrodny! — powtórzyła raz jeszcze wskazując mu drzwi wychudłą ręką. — Precz!... precz!

I blada, z wyciągniętą chudą ręką, z oczyma w szept zwróconemi, siedziała na swojej pościeli jak gdyby posąg z gładu. Tylko łzy jej płynęły ciurkiem po wynędzniałem obliczu, i tylko sine jej wargi mełły jakieś niezrozumiałe wyrazy. A taki był w niej majestat boku i powagi, że pan Bronisław wytrzeźwwszy się z zapamiętałości, zerwał się z fotelu, gdzie wygodnie siedział rozparty, i zbliżył się do niej korny, a kto wie może nawet i pełen skruchy, prawdopodobnie aby się tłumaczyć, aby zagniewaną przebłagać. Spostrzegłszy ruch ten, a odgadłszy może zamiar rzuciła się pani Żymirska, jak gdyby pod wrażeniem obrzydzenia.

— Weźcie go ztąd, weźcie! — zawołała dobywając resztę głosu. — Widok jego mnie zabija... Zabierzcie go, jeśli nie chcecie abym umarła!

I domawiając słów tych osunęła się bezwładnie na poduszki.

— Idź już, idź Bronciu — szeptała łkając pani Helena. — Idź! Widzisz jakie sprowadziłeś nieszczęście!... Ach! Boże, Boże, idź!... Dam ci znać kiedy będziesz mógł powrócić!

Ze spuszczoną głową wyszedł pan Bronisław z pokoju chorej. W uszach mu tętniły słowa matki, w oczach mu stała jej twarz bla-

da, a piorunująca wyrazem wzdargy i potępie-
nia. Zdawało mu się, że się ziemia chwieje
pod jego nogami. Miał uczucie, jak gdyby
straszny jakiś wichur przekleństwa huczał mu
nad głową.

ROZDZIAŁ IX.

Jako Oleś, pozbywszy się kłopotów, do domu powrócił, i jako nie było już więcej mowy o wilczem plemienu.

Długi czas nie mogła się chorej docucić pani Helena. Wreszcie otworzyła oczy pani Żymirska.

— Tyś to Helciu?—spytała złamanym głosem wyciągając rękę do córki.

— Ja, mamol

— Dobrze, moje dziecko!—szepnęła starszka.—Strzeż mnie, pilnuj mnie... Z tobą jam bezpieczna!

— A on jest?—spytała po chwili.

— Poszedł.

— Dobrze, niewpuszczaj go do mnie... Ani jego ani żony... nikogo!... Rozumiesz?

Pani Helena milczała.

— Helciu! Nie chcę ich widzieć!... Widok ich by mnie zabił... A ja chcę jeszcze żyć... żyć, dopóki Oleś nie wróci!... Chcę, abyście mi zamknęli powieki... Helciu, proszę cię, za-

klinam, przyrzecz mi, że tamtego nie wpuszcisz!

— Przyrzekam!—odparła pani Helena, zalewając się łzami.

— Ani jego, ani żony—nikogo!... Przyrzekasz?

— Przyrzekam!

— Dziękuję ci moje dziecko, moje dobre, poczciwe dziecko!—szeptała staruszka, ściskając jej rękę, i niosąc ją do swych ust.

— Mamo, mameczko! niech się mama uspokoi!... Niech mama będzie dobrej myśli!

— Jakże się mam uspokoić?... Oleś!... Oleś, w niebezpieczeństwie!... a ja mu pomóż... nie mogę!

— To najmniejsza rzecz mamo!... Napiszę albo nie, zatelegrafuję do Krakowa, do bankiera, u którego złożyła pieniądze,—mój posag zwrócony mi przez męża... Zatelegrafuję, aby natychmiast wysłał Olesiowi to, co mu potrzeba.

— Tybyś to zrobiła, ty, ty?—zawołała staruszka zelektryzowana temi słowami.—Moje dziecko, moje dobre anielskie dziecko.

I objąwszy szyję pani Heleny, szlochała, to śmiała się naprzemian.

— I cóż w tem dziwnego mamo?... Przecież to mój brat!... Przecież to dla maminego i dla mojego własnego spokoju... A potem, to tak

mało, tak mało!... Gdyby była potrzeba, ja-
bym wszystko oddała.

— Dziękuję ci, dziękuję!... Boże bądź bło-
gosiawiony!... Bądź błogosławiony Panie za
tę pociechę!... O jakżem szczęśliwa, jakżem
szczęśliwa!... Idź Helciu, prędko, ułóż depe-
szę... Trzeba ją wysłać zaraz, natychmiast...
Albo nie, chodź tu.. Będziemy ją wspólnie
układać.. Przynajmniej tyle winna jestem
Olesiowi, jeżeli ty już wszystko robisz dla
niego.. Ale on ci to odda, on ci zwróci... On
wdzięczny!... Albo nie, ja ci oddam za
niego.

— Niech się tem mama nie kłopotuje... Oleś
mi odda, a choćby nie oddał, to cóż?... To
przecie mój brat!... Miło tak małym kosztem
dopomóż bratu w niedoli.

— Ha, ha, ha, ha!..! Brat! brat! brat! brat!
—zaśmiała się gorzko staruszka.— I tamten
brat takżel... Ale w rodzaju Kaina!... O, ja po-
wiem, ja powiem Olesiowi, jakie ty masz złote
serce, i coś ty dla niego zrobiła... Zobaczysz,
jak on ci będzie wdzięczny, jak on cię będzie
kochać za to... Wy musicie się kochać bardzo,
bo was już... tylko dwoje na świecie... Ale wy
sobie wystarczycie, wy będziecie szczęśliwi,
bo ja was błogosławię, a Bóg który miie tak
srodze doświadczył, — Bóg mnie wysłu-
cha.

W tem ozwał się dzwonek w przedpokoju. Pani Helena, sądząc że to lekarz przyszedł, pośpieszyła na jego przyjęcie. Był to woźny z telegrafu, niosący depeszę od Olesia, który donosił, że pieniądze nie są mu już potrzebne, gdyż zbieg zostawszy schwytanym, przyznał się do kradzieży, i zwrócił niemal całą sumę, którą sobie był przywłaszczył. Uradowany tym wynikiem nad wszelkie wyrazy, zapowiedział młody wojownik przybycie swoje za dni trzy.

Wiadomość ta, udzielona staruszce z wszelką oględnością, najpomyślniejsze na nią wywarła wrażenie. Snać przygotowała była umysł jej w tej mierze pewność, iż dzięki ofiarności pani Heleny, nie grozi Olesiovi żadne niebezpieczeństwo. Ożywiła i pokrzepiła chorą myśl, iż troska, która ją niepokoiła tak wielce, usuniętą została ostatecznie, a pewność, że już tylko dni kilka dzieli ją od upragnionego celu jej tęsknoty, napawała ją radością.

Zdawało się, że ta jedna chwila wróciła jej zdrowie i siły. Zmiana tak nagła zdziwiła mocno przybyłego lekarza. Przypatrywał się chorej pilnie, badał ją, zastanawiał się długo nad jej stanem; wreszcie, nie mogąc sobie zdać sprawy z tak niespodziewanego polepszenia, polecił pani Helenie, aby w razie

pogorszenia natychmiast go zawezwała. Przypuszczał widocznie, że ten zwrot pomyślny jest tylko pozornym, i obawiał się, że jak to w nerwowych słabościach zresztą często bywa, polepszenie to zbliżającą się zapowiada katastrofę.

Na szczęście płonna się okazała ta obawa. Polepszenie było istotnem. Staruszka prześpała noc najspokojniej, i czuła się widocznie pokrzepioną. Jadła z apetytem i rozmawiała z córką wesoło, rozwodząc się szeroko o dniach pełnych szczęścia i spokoju, które spędzać będą razem — zawsze razem Oleś, pani Helena i ona. Kreśląc te plany na przyszłość, nie wspominała nawet synowstwa. Zdawało się, że dla niej umarli. Pani Helena ciągle jeszcze o jej zdrowie niespokojna, nie śmiała jej nawet wzmianki uczynić o bracie, który po dwakroć przysyłał pytać się o zdrowie matki. Dopiero gdy lekarz stałe widząc polepszenie, wyraził nadzieję wyzdrowienia chorej, ośmieliła się dotknąć tej bolesnej struny. Staruszka nie odpowiedziała jej zrazu ani słowa. Następnie, gdy córka na nią nalegała, aby się dała przebłagać, i dozwoliła synowi wyrazić żal za popełnioną winę, oświadczyła stanowczo, iż go widzieć nie chce, i zakłęła panią Helenę, aby nie poruszała więcej tego przedmiotu. Widząc, iż matka trwa w swoim

gniewie, a dowiedziawszy się, iż zdrowiu jej chwilowo nie grozi niebezpieczeństwo, wyjechał pan Bronisław do Wilkowa.

Rozmowa z córką, przypomniawszy jej za-twardziałość niewdzięcznego syna, zachmu-rzyła chwilowo umysł pani Żymirskiej. — Niebawem jednak rozjaśniła go myśl o po-wrocie Olesia. Staruszka marzyła o nim bez-ustannie, trudząc panią Helenę przygotowa-niami na przyjęcie młodego wojownika. Nie chciała na to pozwolić żadną miarą, aby za-mieszkał w hotelu. Wszakże tak długo poz-bawioną była jego widoku! Pragnęła go mieć tuż blisko, koło siebie, w saloniku, gdzie mu urządzić kazała mieszkanie.

— Moja Helciu! proszę cię — mówiła co chwila, — czy będzie tam miał wszystko, co mu potrzeba?... Czy mu tam będzie wygodnie?... Pomyśl tylko, co on się naciерpiął niewygo-dy!.. Każ mu tam dać materace i poduszki. . Biedaczek, ile on nocy spać musiał pod gołem niebem, na twardej ziemi!... Ach Helciu, ja się boję, że nie będzie miał wygody.

— Niech się mameczka nie boi — pociesza-ła pani Helena — będzie miał wszystko co po-trzeba.

— Niezapomnij że kupić wina... Dobrego wina!.. U Żorża podobno najlepsze... Pamięt-taj, żeby miał zawsze wino przy obiedzie.

On przecie żołnierz, musiał się do tego przyzwyczajać za granicą, na wojnie.

— Niech się tem mama nie troska... Oleś z pewnością tego nie wymaga... On szczęśliwy że może być z nami!... Możeby mu nawet przykro było widzieć, że mama sobie dla niego robi ambaras.

— Moja Helciu, zrób to już dla mnie!... Niechaj nasz ułan ma wino codziennie, przy obiedzie... Niezapomnisz o tem?

— Nie mam!... Będę pamiętała.

— I mięso dobre, świeże!... Polędwica na bifsztyk... Pamiętaj bifsztyk!... Oni najlepiej lubią bifsztyki... A po obiedzie czarna kawa, likier i cygara... To przecie oficer... On musi lubić dobre cygara!

— Dobrze, droga, kochana mameczko!

— Ach, Helciu, Helciu... Ja się tak boję, że on się tu znudzi, że mu się tu przykrzyć będzie z nami... My takie smutne obiady!

— Co też mama mówi?... Mama przecież wie, jak on nas kocha.

— Ba, ale to żołnierz!... Gotów zateśknąć do wesołej kompanii... Żeby mu tylko było dobrze i wygodnie... Wiesz co, daj mu moje materace, a mnie połóżcie te, które miały być dla niego... Będzie mu wygodniej, a ja już nie

potrzebuje... Zdrowa jestem... Patrz jak się prosto trzymam!

— Nie, na to już nie pozwolę żadną miarą!... I Oles by się gniewał... Przecież on żołnierzem jest, i przyzwyczajony do niewygody.

— Ja też go chcę odzwyczaić! — mówiła pani Żymirska, uśmiechając się tajemniczo. — Jak się odzwyczai, jak zobaczy że mu tu lepiej, to nie będzie tęsknił do kolegów.

— Nie będzie tęsknił i tak, nie będzie!... Niech się mama nie boi... On tak kocha dom, rodzinę... On tak tęskni do niej... Poszedł do wojska bo mu kazali.

— Ach tak!... Poszedł bo mu kazali!..

Tak rozmawiały ze sobą matka i córka, czyniąc przygotowania na przybycie Olesia. Wreszcie nadszedł ów dzień oczekiwany. Pani Żymirska zbudziła się o wczesnej godzinie i oświadczyła zamiar opuszczenia łoża. Ledwie ją powstrzymała córka od tego zamiaru aż do odwiedzin lekarza, który jednakże widząc wesołość i rzeźkość staruszki, przychylił się do jej żądania. Kazała się więc zaczesać, włożyła najzgrabniejszy czepeczek, i najpiękniejszy szlafroczek, i z zadowoleniem przypatrzyła się sobie w zwierciadle.

— Mama chce Olesia skokietować! — rzekła śmiejąc się pani Helena, spotrzegłszy nie-

zwyczajną staranność jej tualety.

— Cyt—odparła uśmiechając się tajemniczo.—Cyt!... Zobaczysz!

I przeszedłszy do saloniku, jęła się przypatrywać, czy wszystko wykonane wedle jej zarządzenia. Nie było Matki Boskiej Częstochowskiej nad wezglowiem, nie było dywanika przed łóżkiem, nie było bukietu na stoliku. Wszystko to musiano uzupełnić, a uzupełnienia te, poprawy i zmiany, zajęły jako tako leniwo wlokące się godziny.

Wreszcie uderzyło wpół do jedenastej, i przed bramą domu zatrzymała się dorożka. W kilka sekund potem otworzyły się drzwi, i Oleś leżał w ramionach matki. Nie było końca radości, nie było końca łzom i śmiechowi. Pani Żymirska zachwycała się dzielną postawą młodego ułana, upajała się dźwiękiem jego głosu, pieściła się jego pocałunkami.

— Patrz Helciu, Oleś ma wąsy!... Widzisz jaki on przystojny... Jak on wypiękniał, jak on dzielnie wygląda!

Wistocie marsowato wyglądał Oleś, opalony słońcem, zmęczniały w trudach, i niewygodzie. Do twarzy mu było w granatowym opiętym mundurze z amarantowemi wyłogami. Oko jego pałało ogniem, twarz jego nabrała wyrazu onej pewności siebie, którą dają siła, zdrowie i męstwo. Nie był to już ów nie-

zgrabny i nieśmiały młodzieniaszek, któregośmy znali przed laty, ale mężczyzna w całym tego słowa znaczeniu, żołnierz doświadczony, który rozmaite przebywał przygody, i który miał co opowiadać.

Musiał też opowiadać Oleś bez końca batalie swe, trudy i niewygody, a pani Żymirska słuchała go, to drżąc i płacząc na myśl o niebezpieczeństwach, które przebywał, to znów śmiejąc się wesoło, i radując myślą, że go tu ma, i już więcej nie puści. Gwarzyli tak z sobą do późnej nocy, wreszcie się rozstali, ciesząc się nadzieją błogich dni, które spędzać będą razem, wolni od tęsknoty, i nie obawiając się rozłąki.

Zmęczony podróżą spał Oleś właśnie w najlepsze, gdy w tem zbudził go ze snu rozpaczliwy krzyk pani Heleny.

— Olesiu! Olesiu!—Mama chora!

Młody wojownik nie chciał uszom uwierzyć. Zdawało mu się to niemożliwem. Przed chwilą dopiero pożegnał matkę tak wesołą i rześką. Mówiła mu, że od czasu, gdy go ujrziała, czuje się zdrową zupełnie. Zaniepokojony ją nasłuchiwać, myśląc że mu się we śnie przesłyszało. Głuchy szmer, jak gdyby spowodowany cichem krzątaniem się kilku osób, dołatywał go z pokoju matki. Pełen trwogi zerwał się z pościeli, podbiegł ku drzwiom i o-

tworzył je ostrożnie, wmawiając w siebie ciągle, iż się może myli, i że niewczesną troskliwością zaniepokoić może śpiącą starszkę. Niestety ostrożność ta była zbyteczną. Cały dom był już na nogach. Pokoje były pełne światła. Przy łożu matki stała córka, podtrzymując mdlejącą staruszkę. Służące krzątały się w pokoju, podając lód i lekarstwo, pozostawione przez lekarza, na wypadek ataku. Tłumiąc dławiące ją łzy, zarządzała pani Helena tym doraźnym ratunkiem, w oczekiwaniu przybycia lekarza, po którego posłano przed chwilą.

Przywołany skinieniem matki, przystąpił Oles do jej łoża. Milcząc pochwyliła mu rękę lodowatą dłonią, przytuliła ją do ust składając na niej gorący pocałunek, a następnie do serca, które biło gwałtownie. Śnać nadeszła była kryzys, przewidziana przez lekarza. Spowodowały ją były zmartwienia, doznawane od tak długiego czasu, a odroczyła tylko chwilowa radość, z powodu spodziewanego przyjazdu Olesia.

Długą chwilę trzymała pani Żymirska na sercu rękę syna. Zdawało jej się, że jej to ulgę sprawia w cierpieniu, i rzeczywiście mniej silnemi były uderzenia tętna po niejakiś czasie, tak jakby folgować miał ataw swej gwałtowności.

— Zabili mnie!... Umieram! — szepnęła staruszka, odzyskawszy oddech chwilowo.

— Ach mamol — jęknęły dzieci, zalewając się łzami. — Co też mama mówi... Bęłzie dobrze... Oto już atak mija... Lekarz przyjdzie za chwilę.

Zaprzeczyła głową z smutną rezygnacją. Potem ująwszy rękę pani Heleny, włożyła ją w dłoń Olesia.

— Daremnie! — szepnęła cichym głosem. — Czuję jak życie ucieka... Umieram, — ale umieram szczęśliwa... Widzę was razem... Zamkniecie mi powieki... Kochajcie się, wspierajcie... Skrzywdziłam was.. Zaślepiła... Oszukana.. Przebaczcie mi... Bóg wam to wyuagrodzi... Będziecie szczęśliwi... Ja was błogosławię!

To rzekłszy, westchnęła głęboko. Twarz jej powlekała się śmiertelną bladością, powieki jej zasunęły się, jak gdyby zasypiała. Jeszcze raz wydało się Olesiovi i pani Helenie, jak gdyby uczyli słaby uścisk jej dłoni. Po chwili rozwiązały się jej palce, dłoń jej osunęła się na piersi. Umarła...

Koniec Martwicy.

INSTYTUT
BADAŃ LINGWISTYKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63



F

3789